

O CZEM SIĘ NIE MÓWI

GABRYELA ZAPOLKA



O CZEM SIĘ NIE
MÓWI

LEKTOR 1922

O CZEM SIĘ NIE MÓWI

- d'ALCOFORADO. Listy miłosne. Warszawa 1921.
BARBEY d'AUREVILLY. Plemię djabła. Warszawa 1922.
" " Pieczętka z onyksu. Warszawa 1922.
BOHOWITYN. Kobieta z przeszłością. Kraków 1922.
" Słoneczniki. Warszawa 1920.
BUKOWSKI K. O kobiecie i o miłości. Warszawa 1922.
EWERS H. H. Alraune. IV Wydanie. Lwów 1921.
" Indje i ja. Warszawa 1921.
FARRÈRE C. Człowiek który zabił. Warszawa 1922.
" Korsarz z Mało. Warszawa 1922.
" Ludzie cywilizacji. Kraków 1921.
" Nasze sojuszniczki. Warszawa 1922.
" Panieństwo panny Dax. Kraków 1921.
FRANCE A. Bunt aniołów. Warszawa 1922
" Czerwona lilja. Warszawa 1921.
" Historia komiczna. Warszawa 1922.
KELLERMANN B. Ingeborga. Warszawa 1921.
LOUYS P. Kobieta i pajac. Warszawa 1921.
PRZYBYSZEWSKI ST. Krzyk. Warszawa 1922.
" De Profundis. Lwów 1922.
RACHILDE. Godzina zmysłów. Kraków 1922.
SROKOWSKI M. Hedone (Akordy zmysłowe). Lwów 1922.
WIERBICKA. Pierwsze Jaskółki. Lwów 1920.
WILLY. Małżeństwo Klaudyny. Kraków 1920.
ZAPOLSKA G. Antysemitnik. Lwów 1921.
" Córka Tuśki. Kraków 1920.
" Fin-de-sieclè'istka. Lublin 1922.
" Jak tęcza. Lwów 1921.
" Janka. Lublin 1921.
" Kobieta bez skazy. Warszawa 1921.
" Małuszka. Lwów 1922.
" O czym się nie mówi. Warszawa 1922.
" Sezonowa miłość. Lwów 1921.
" Szaleństwo. Lwów 1921.
" Z pamiętników młodej mężatki. Lwów 1921.
" Znak zapytania. Lwów 1922.

GABRYELA ZAPOLSKA

O CZEM SIĘ NIE MÓWI

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

— PRAWDA TATUNCIU? JA MAM GRECKI NOS?
— TYŚ JEST CAŁA GRECZYNKA, O PORANKU!
BO KOCHASZ ŻYCIE I UMIESZ JE KOCHAĆ... BO
NIŻESZ UŚMIECHY DNI TWOICH NA NIĆ SWEJ
EGZYSTENCJI. JAK MUSIAŁY GRECKIE DZIEW-
CZĘTA NIZAĆ KWIATY RÓŻOWE DLA PRYZODO-
BIENIA SMUKŁYCH SZYI SWOICH!..
— NIE PLEĆ TATUNCIU...

SZÓSTY TYSIĄC



WYDAŁ ODDZIAŁ WARSZAWSKI
INSTYTUTU LITERACKIEGO „LEKTOR” SP. Z OGR. ODP.

WARSZAWA—LWÓW—POZNAŃ—KRAKÓW—LUBLIN

1922

SKŁADY GŁÓWNE:

W WARSZAWIE

„LEKTOR” SIENKIEWICZA 5

TELEFON 253-99

WE LWOWIE

„LEKTOR” MIKOŁAJA 23 (DOM WŁASNY)

TELEFON 525

„KSIĘGARNIA NAUCZYCIELSKA” BATOREGO 12

W POZNANIU

„LEKTOR” UL. RATAJCZAKA (RYCERSKA) 33

W KRAKOWIE

„LEKTOR” RYNEK GŁ. 22

W LUBLINIE

„LEKTOR” SZOPENA 5



884-3

78715

78715

N^R 5118

EGZEMPLARZE NIENUMEROWANE BĘDĄ PRAWNIE ŚCIGANE.

OKŁADKĘ RYSOWAŁ L. OSTROWSKI W WARSZAWIE,
ODBITO CZCIONKAMI Drukarni H. NEUMANA WE WŁOCŁAWKU.

I.

— Doprawdy, chce mi ją pan odstąpić?

— Jak Boga kocham.

— Dojadła panu?

— Nie. Ale widzi pan, upatrzyłem już coś innego.

— Lepszego?

Konitz poglądził wychudłą ręką rzadką bródkę.

— Coś całkiem innego. Ale to... całkiem.

A potem co tam gadać. Ja się przyzwyczajam do kobiety, a to najgorsze, panie tego...

— ?...

— Jaki pan naiwny. Można się przyzwyczaić do cygarniczki, do pióra, do palta, i to wcale dobrze. Wtedy człowiekowi swojsko, gdy mu tak co pod ręką się ułożyło. Ale do kobiety — wręcz przeciwnie. Nerwy, panie tego... nerwy muszą być, panie tego, podrażnione, bo inaczej — ferfaß die Klackes mit die weisse Kopytkes.

— Może.

Zapanowało milczenie. W tych obszernych, dusznych salach biurowych gorąco było nie do zniesienia. Stare piece, jak monumenta, wznosiły się po rogach. Bił z nich żar i czad węglowy. Konitz jednak chętnie przysuwał swoje biurko do pieca. Widać w nim było jakieś zastygające energie życiowe, które potrzebowały ciepła i drażniących nerwy wstrząśnień. Z miną małego kogucika,

z oczyma podkrążonemi wcale nie dwuznacznie, był typem biurowego pół-mola — pół-donżuana, puszczającego się galopem za spódniczką szwaczki lub lepiej odzianej sługi, którą wyczuł węchem, jak wyżeł zwierzynę.

— Ja, panie tego, tylko biuro i kobiety. Skoro pensję zafasuję, to... niech się strzegą... bo każda trup.

Była w nim łatwość sprowadzania życia do jakiejś jednej chwili, w której nie zdawał sobie sprawy ze swego istnienia. To było osią jego egzystencji. Poza tem nie więcej nie interesowało go.

Krajewski odłożył pióro, wsunął ręce w kieszenie od spodni i, odepchnąwszy się z krzesłem od biura, patrzył posepnie na całe masy „kawałków,” zalewające melancholijnie blat biurka. Deszcz padał cienkimi strugami i dzwonił dziwnie w szyby. Inni urzędnicy siedzieli cicho, pochyleni nad aktami. Czasem ktoś wstał, przeszedł do drugiego pokoju. W oddali słychać było gwar głosów kobiecych. To panny, pracujące w biurach, śmiały się z czegoś głośno. Krajewskiego przecież nie interesowały. Były to dziewczęta „uczciwe“ i dążące „do ołtarza.“ On żenić się nie myślał, a w duszy miał trwogę przed wciągnięciem dziewczyny w jakiś nielegalny stosunek. Był przecież po prostu zgłodniały jakiejś miłości, a choćby jej pozor. Od całych miesięcy pograżył się w czytaniu z cichą i skoncentrowaną namiętnością, która cechowała zawsze wszystko to, co robił. Rzec można, iż uczepił się powolnej dyssekcji duszy przez obce mózgi, która ma dać wreszcie poznanie esencji logicznego skojarzenia myśli.— Doznawszy niemiłego zawodu z powodu kobiet, rzucił się wpław w dziedzinę abstrakcji i zaczął pływać w błękitach, rozpostartych ponad dymami, wznoszącemi się z ołtarzy, gdzie ciała ludzkie składały całopalenie swym zachceniom i dążnościom. Kobieta przestała istnieć dlań. Istniał tylko Kartezjusz na razie i jego R o z m y ś l a n i a. Mało to było, skromnie. Czuł to sam.

Łotny był i rączy umysłowo. Lecz i leniwy. Dreptał jakby w przedpokoju, nawet nie przedsionku prawdziwych R o z m y ś l a ń. Narazie mu to starczyło. Nie miał siły na więcej. Przeżuwał dawne. Powracał wieczorami sam do swego pustego pokoju i rzucał się na szeroką starą otomanę, która mu zastępowała łóżko. Obok stał kufer. Na nim Krajewski umieszczał prosty lichtarz ze świecą i otwierał książkę. Żółtawe, chorobliwe światło wydobywało na jaw jego dziwną, niepospolitą twarz, długą, wykrojoną starannie, z przepychem wielkich, szarych źrenic o ciężkich dużych powiekach. Jasne dość włosy nosił przycięte prawie przy skórze. Pełne wyrazu usta okalał miękki, krótki zarost. Wyniosły był, rasowy, doskonale ułożony, chudy, o ruchach powolnych, jakby smutnych, a pełnych prostoty. Gdy tak leżał w tym pustym prawie pokoju pochylony nad książką, nieruchomy, miał w sobie coś z mędrca, posiadającego już w duszy moc wyrzekania się wszystkiego, co nie jest głębią doskonałości zupełnej.

Czasami zjawiała się we drzwiach rozczochrana, typowa postać kamienicznej stróżki w obszarganej spódnicy i z dzieckiem na ręku.

— Może co przynieść?

Krajewski powoli odrywał swe źrenice od pagórków mądrości Kartezjusza.

— Co?

— Może wielmożny pan da na co?

— Al..!

— Są w grajzlerni szproty, masło. Ugotuje się jaja.

— A no dobrze! dobrze!

Lecz Romanowa nie ruszała się z miejsca,

— Pan wie... moją Mańkę znów poniosło.

— No?

— Jak Boga kocham. Mówiła żona krawca, że widziała ją na gumach i w nowym kapeluszu. To morowa

cholera. Żeby ją choć gdzie przytłukło, albo niechby się już raz do policji dostała.

— III

— A no tak. Wezmą, zapiszą, jak to bydlę, a ja już wtedy wiem, że niby ani dziecka nie mam, ani nic.

Krajewski odłożył Kartezjusza.

— Co wy też?

Ale rozżalenie Romanowej było wielkie. Pięścią uderzyła w piec i trząsnęła dzieckiem tak, że zdawało się, iż rozleci się na kawałki.

— Co ta... ona nawet niewinna tak Bogiem a prawdą. Toć to za nią pod kamienicą latali, że tylko ukropem lać... Sam pan...

— Ja?

— A no. Niby pan tak ostatecznie tam nie. Ale nie zaczepiał ją pan... nie? co? Przecie dziewczyna nie z kamienia. Wam, mężczyznom, to się zdaje, że to wszystko nie, a to tak ziarnko do ziarnka i ot po dziewczynie.

— Uspokójcie się, wróci.

— El wiem, że wróci, bo taki to już kobiecy los. Taki jeden odbierze uczciwą sławę, a potem won... A co mi po takiej.. To tylko śmiech...

Trzasnęła się pięścią w potargany łeb. Dziwaczna jej sylwetka miała na cieniu pozory Gorgony. Cała jej postać gięła się jakąś wielką rozpaczą samotnych wierzb tragicznych i rozczochranych na tle beznadziejnego nieba. Krajewski mimowoli patrzył na nią.

— To bardzo nawet przez pana... — zaczęła znowu. Ten Żyd, co się tu do pana włóczy w takich hyclowskich sprawach, że — no, to on mi ją zmanił. Kiedyś napadłam jak ją coś kusił w bramie. Żeby się tu był do pana nie ściągał, to byłby jej nie spotkał... A teraz ją tam gdzie musiał sprzedać.. A jakże...

I nagle żal wezbrał w niej, aż ryknęła całym głosem:

— A ino... sprzedał... dziecko moje... krew moją...
Żebyście z piekła nie wyrzeli za nią wszyscy...

Krajewski podniósł się z otomany i usiadł na brzegu
jakoś dziwnie zmieszany.

— Ależ, moja Romanowa, ja wam przysięgam, że ja
z Mańką nią nie miałem.

— Bo nie chciała!... Ale żeby się zgodziła, to byłbyś
pan, tak jak drudzy, ją sponiewierał.

Straszna była w cieniu, z twarzą nabrzmiałą, z pla-
mami ocz z pod brzegu chustki.

— Czego wy się do porządnych dziewczyn czepiacie?
Czego? — jęczała — mało wam już takich, coście je za-
tracili? Nie, wam się zachciewa takiej, co jeszcze przy
malce... o...

Nagle zaczęła trząść trzymaną na ręku dziewczynką.

— Ażebys ciebie sto choler zatłukł! Czego ty na
świecie, na żer dla jakiego, a potem na ulicę, pod latarnię.
Ażebys zdechł!

Zaczęła bić głową dziecka o piec.

— Ażebys za niewinnej duszy skonał!

Krajewski rzucił się dziecku na ratunek.

— Romanowa... co wyprawiacie? Chcecie dziecko
zabić?

— O! teraz to ją pan ratujesz, a jak dorośnie, to ją
pan sam sponiewiera i potem popchnie, aby ją na policji
zapisali i aby gdzie na barłogu zgniła... Już panowe serce
niechby szczezło i was wszystkich psiakrew dziwkarzy!

Krajewski postawił płaczące cicho dziecko, cuchnące
w masie barchanów. Dziecko było brudne, i Krajewski,
który miał w sobie estetykę czystości kociej, z odrazą
spojrzał na swoje ręce.

— Moglibyście lepiej dziecko umyć!—rzucił przez zęby.

Ale Romanowa spojrzała na niego z nienawiścią,
jakby w nim koncentrowali się ci wszyscy, którzy na sznu-

rach swych rozpasanych nerwów wlekli od wieków dziewczęta do błotnistych jam.

— Właśnie... — odparła — będę ją cackać i pięknić, abyście mieli ładniejsze łajno dla swojej uciechy i żeby Żyd za nią więcej faktornego wziął, jak wam ją nastręczy. Porwała puszczone dziecko i otworzyła silnem pchnięciem drzwi.

— I żeby was jaki mór spotkał.

Postała chwilę we drzwiach tak na rozcież otwartych. Zgnie zimno buchało, i ciemnica była w tej sieni straszna.

— A co mam przynieść? — odezwała się wreszcie już głosem stłumionym, choć drgały w nim jeszcze resztki wściekłości, szarpanej w najboleśniejszej strunie, bo swego macierzyństwa istocie.

— Nie trzeba nic! — odparł szorstko Krajewski — wyjdę na kolację z domu. Lepiej zaświećcie w sieni.

Baba obejrzała się na niego ruchem drażnionego szpicrutą głodnego zwierzęcia.

— My bierzemy dwa guldenty miesięcznej pensji, jako stróże, i za to mamy kupować naftę na schody... a pan chce, żeby się świeciło od czwartej... I zaraz...

Znikła w ciemnicy, zatraskując drzwi za sobą.

Krajewski podjął rzuconego na ziemię Descartes'a i chciał zanurzyć się w tym ojcu filozofii scholastycznej, który wyprowadził na scenę dualizm i dał szalonym miecz w rękę.

II.

Lecz nie był w stanie.

Krzyk Romanowej, jej potworna sylwetka, wrzask rozbijanego dziecka, a potem głębia jej słów — sprawiła

na nim jakieś gniotące wrażenie. Przedewszystkiem czuł, że ta kobieta, wyjąca za swą córką, pędzącą w kał prostytucji, ma słuszość, że jest w swoim prawie, że ona właśnie stoi na straży świętości wolnego ciała kobiecego, które, skopane, sprzedane, rozwłózione po pieklach upadku, zatraci szlachetne porywy tego słabego duchowego płomyka, jakie w sobie mieć mogło.

Tak — on był winien i jemu podobni.

Nie dlatego, że szukał ujścia swym popędem w nielegalnych związkach. Lecz właśnie, że pragnął, aby te miały choć pozory związków, te chwile zapomnienia, te „wypicia szklanki wody,” jak nazywają inni stosunek swój z kobietą. Wykwint i jakiś instynkt samozachowawczy odtrącał go od tych, co pod latarnią taksują swe nieszczęsne ciało. Nie. On pragnął mieć jakieś złudzenie, gdy obejmował postać kobietą i tulił się do niej. Kilka „romansów“ z kobietami ze świata, czecznych i pełnych nieaktów, głupoty i niesmaku, odtrąciły go na zawsze od tego sortu, podatnych dla chodzących manowcami mężczyzn. Przytem był romantycznie leniwy i czuł dziwny wstyd i smutek, że musi wyławiać złodziejskim sposobem to, co mu się równie w życiu należy jak, pożywienie, napój, promienie słoneczne i tlen do oddychania.)

Pozostawały mu więc te drogi pośrednie, te szwaczki, powracające do domów o zmroku, zmęczone, zdenerwowane od szycia na maszynie, pół-dzieci, pół-kobiety, często zgłodniałe, marzące o filiżance czekolady, o ciastku z kremem z łakomstwem wygłodzonego kota. Była to armja bezbronna, tragiczna, głupia, nieopatrzna, świeża, choć już nadwiedła od atmosfery dusznych pracownianych izb. Twarzyczki, obramowane włosami, starannie ufryzowanymi, staniki, woniejące potem i perfumami, a dołem spódnice, cuchnące od błota, źle wykruszonego, od długiego codziennego użycia.

Szło to wieczorem powoli, rozprostowując zmęczone plecy, przecierając słabnące już oczy.

Naprzeciw nich szedł jeden, drugi, trzeci Krajewski, niosąc tym bezbronnym swe żądze, przystrojone w kwiaty jakiejś niby uczuciowości.

Gdy szwaczek nie stało, były jeszcze bony, sklepowe, dziewczęta, zajęte w administracjach. Skoro zjawiała się gdzieś jakaś świeża, nieznana, mająca jeszcze przesąd swej uczuciowości do stracenia, sygnalizowana była na wszystkich punktach.

— Tam i tam jest jedna uczciwa. Ach! wreszcie.

I rozpoczynał się pościg.

Dziewczyna naturalnie nie opierała się zbyt długo. Szła na lep chętnie, znudzona, zmęczona, rada, że „się trochę rozerwie.“ Więc przedewszystkiem występowały na plac cukierenki uboczne, drugorzędne, gdzie nikt nie widzi, potem bilety do teatru, dalej jakieś bluzki taniutki, pierścionki skromne, drobiazgi, grzebienie z celuloиду i szczyt marzeń; jedwabna halka.

Wreszcie po długich wahaniach przyjdzie w niedzielę po południu do kawalerskiego pokoju, gdzie dobrze napałone w piecu, jakaś słodka wódka, trochę szynki, herbata na maszynie.

I cichy krzyk dziewczyny, jakby pomieszany z radośnem powitaniem nowego życia.

Potem szereg takich niedziel, potem jakiś zatarg i znów nowa cukierenka, nowe grzebienie z celuloиду, nowe słuzenie za tę jakoś „coś lepszego,“ co daje pewną uludę zwierzęcej czysto chwili.

Tak — to do pewnego punktu.

A potem?

Rzeczywiście. Tak jak owa Mańka. Snują się faktorzy. Sława atlasowej skóry, pięknej karnacji, ładnych kształtów rośnie.

I snują się faktorzy.

Dziewczyzna jest zniechęcona, zgorzkniała. Ten i ów całujący ją nawet po rękach wykazał się w jej oczach prostym brutalem.

I co jej przyszło z tego.

Była już w kilku rękach. Żaden nie zatrzymał jej dłużej przy sobie. Jest w nędzy, a ta cukierenka i skromne bluzki zaczynają jej nie wystarczać. Czuje, że właściwie jest płacona, bo ta miłość, którą tacy Krajewscy jej dają, nie jest wcale miłością, ale nędzną grą i oszukiństwem.

— Niech przynajmniej mam co za to!
Oto pierwsza myśl.

I idą tam, gdzie oczywiście mają co za to!

Idą tam, ale właściwie kto je pchnął „tam?”

Krajewski odłożył powoli książkę na kufer i patrzył teraz w sufit, leżąc wyciągnięty na sofie.

Pchnął je on i jemu podobni.

A potem, gdy już są sklasyfikowane, opodatkowane, gdy już stanowią inwentarz państwowy i pracują usankcjonowane i konieczne, odwraca się od nich z dreszczem pogardy i wstrętu.

Dlatego, że obraża się w nim poczucie wyłączności. I że pragnie, mimo wszystko, tego „błękitnego kwiatka” w sprosności grzechu.

Jak wywołane zakłębieniem z jakichś bagien gnijących, zieją ku niemu wspomnienia tych, które tutaj przeszły, które miał pomiędzy Dantem i Kantem, Biblją i Platonem, pomiędzy napadem melancholji i staniem u kresu rozpaczycy życiowej. Przesuwały się martwe i blade. Miały niektóre nawet wdzięk i jakąś prostotę w swych pieszczotach. Mając sam sposób postępowania z kobietą wytworny, pomimo ubóstwa otoczenia, nakazywał każdej ze swych kochanek jakiś ton o jeden stopień wyższy i nie

dozwalał jej z niego się zsunąć. A może zdawało mu się. Był bowiem bajecznie subtelny i w każdej najbanalniejszej chwili umiał odnaleźć ukryty na spodzie djament, który według woli oświecał kolorami, czerpanemi we własnym nastroju. Leżąc tak, przechodził myślą nie tylko wspomnienia, ale i całokształt postaci tych kobiet. Były przeważnie, młode miały ładne uśmiechy, ładne linje karków, ramiona wdzięczne nimf, stopy często delikatne i nie zdeformowane, włosy puszyste i miękkie, płynące swobodnie po trochę chudych a dziwnie wygiętych plecach. Ta umiała wpijać się w usta nienasycenie, ta tuliła mu się do ramienia senna i zmęczona, ta znów przygarniała go na swe kolana i kołysała jak małe dziecko, ta całowała go po rękach, obsypywała go tysiącem zdrobniałych śmiesznych imion, które miały czar zerwanych nieśmiało rosnących kwiatków..

Wszystkie były bezinteresowne, zadawałniając się drobiazgami, wdzięczne za starania, znikające z jego życia bez awantur i tragedji.

A przecież ziało do niego jakby zgnilizną bagien, świeżo poruszonych potężną ulewą...

— To słowa tej starej! — myślał — to ona...

I po chwili zawieszenia myśli dodał:

— A przecież ona miała rację.

— Nie powinienem! Trzeba te lepsze zostawić w spokoju. Na to są już poświęcone tamte z pod latarni. Lecz pokręcił głową.

— Nie mam już dwudziestu lat... to nie dla mnie.

Sięgnął po książkę. Zgarniał ku sobie swą ciszę samotną, w której się rozkoszował z wykwintem sybaryty. Napróżno. Po kilku minutach rzucił ją znowu z niechęcią.

— Po co mam czytać o dualizmie i tracić czas na przeżuwanie dowodów. Najlepszy dowód jest mój stan obecny.

Zaczął febrycznie odziewać się. Staranny był w odzieży. Nosił długopole surduty, które coś nadawały mu z cech

trzydziestego roku O ile nie dbał o to, gdzie przebywał, o tyle bezwiednie dobierał to, w czym przebywał.

— Pójdę do knajpy, a gdy się trochę ogłuszę muzyką i ludźmi, wrócę do swoich książek...

W głębi duszy, w bardzo wielkiej głębi, tam, gdzie chowają się te myśli i postanowienia, które już się stały, zanim się stały, w świecie rzeczywistym coś szeptało:

— Niedługo będzie tu dziewczyna...

Szarpnął się.

— Nie chcę. Niech je djabli. Ma tam znów za nią jaką matka ryczeć...

A tam w głębi szeptało:

— Ach, nie bądź tak wrażliwym. Jutro, pojutrze — będzie tu znów dziewczyna ..

A gdy już drzwi zamykał i do ciemnej sieni wchodził, to „coś” rozswawolone podśmiewało się jakby:

— I znów będzie... coś lepszego!

Aż przystanął. Rękę położył dziwacznym gestem, jakby jakąś przysięgę składał.

— To nigdy! — już wolę nie albo jaką mężatkę; albo moich filozofów.

Ale czuł wybornie, że nie woli.

I że tak będzie, jak być ma.

III.

Dlatego też, gdy zaraz nazajutrz z wielkim cynizmem i spokojem Konitz ofiarował mu ni stąd ni zowąd swoją dotychczasową kochankę, ani na chwilę nie przyszło mu na myśl — odmówić.

I owszem. Przyjął zaofiarowanie uprzejmie, jakby rzecz naturalną. Ci dwaj panowie od biurka do biurka ustępowali sobie kobietę i jej pieśszoty i wszystko, co jej było, tak jakby ustępowali sobie łaskę, albo jakiś inny przedmiot, którego jeden miał już nadto, a drugi potrzebował. Przy szmerze ciekącego po szybach jesiennego deszczu, w zimnie i szarudze zanurzeni w duszne ciepło biura z jego nudną i śmiesznie ogłupiającą farsą rozmaitych hec ocleniowych, dopełniali swej szarej, monotonnej egzystencji tym bezpłatnym handlem, jaki pomiędzy sobą prowadzili.

Pierwszy znów ozwał się Konitz:

— Więc kolega chce ją naprawdę?

Krajewski, nie zmieniając pozycji, odparł obojętnie:

— Chcę!

Po chwili przecież dodał:

— Kto to?

— Szwaczka.

— To dobrze.

Konitz powstał i zbliżył się do niego.

— A cóż kolega myślał? że co?

— Nic. A dawno się puszcza?

— Czy ja wiem! Powiada, że nie. Ale kto tam może co wiedzieć. Grunt jest tylko w tem, abym był jeden. Prawda? No naturalnie, że wolę, że jest tak, jak jest. Ale... jeden. O! to grunt.

— Dużo pan na nią wydaje?

Konitz się zachłysnął.

— Coś tam, ale prawie z miłości. Wierna mi jest...

— A skąd pan masz tę pewność?

— O! z takimi dziewczętami wiedzieć zawsze można. To jeszcze szczerze. Dopiero później nauczy się kłamać. Przyprowadzę ją panu jutro. Albo czekaj pan. Zrobimy tak. Przysłę ją do pana i powiem, że sam przyjdę. Kup

pan co bądź, kota, kanarka. One mają pasje do zwierząt. Więc wmówię w nią, że będziemy oglądać. Ona przyjdzie, a ja nie...

Śmiał się i ręce zacierał.

— Co, dobrze? będzie czekać, czekać — no a pan tymczasem skorzystaj. Gdy już stanie mi się niewierną, skończy się wszystko. Jest bardzo... jakby to powiedzieć... romansową. Przeniesie swoją romansowość na pana. Przeprowadzka nie będzie ją wiele kosztować. Co?

Krajewski kiwał głową.

— Dobrze.

Chwilę ogarnął go niesmak, że on to właśnie ma dziedziczyć tak bezpośrednio metressę po tym małym, czupurnym i trochę brudnym kogucie. I ogarnął go znowu smutek szary i beznadziejny.

— Więc jutro o trzeciej?

— Dobrze.

Konitz jednak nie odchodził. Kręcił papierosa brzydko i szukał po kieszeniach zapalek.

— Ta moja nowa... — zaczął znowu — to sklepowa. Gdzie? nie powiem panu, bo jeszczebyś mi ją odebrał. Nawet prowadzi się dobrze. Jak Boga kocham. Miałem masę trudu, żeby ją sobie urobić. Nawystawiałem się pod sklepem, a szczególnie w deszcz. Pan się dziwi? El to pan nowicjusz. W deszcz najłatwiej się takie sprawy załatwiają. Taka dziewczyna jest przedewszystkiem jakaś znużona, smutna. Potem wychodzi na wicherę, na słotę. Błoto, ciemnica — przejmują ją strachem. Zawsze się zatrzymuje przed bramą i waha się chwilę, jakby nie wiedziała, gdzie iść. Na dorożkę nie ma, a takby chętnie w nią wsiadła. Więc podsunąć się wtedy--powiadam panu Duszka szczerą. I nie być natarczywym. Broń Boże! tylko tak... niby że smutno, że tak okropnie jakoś... Ja tak tę moją wziąłem i tę, co ją panu dam, i tę, co ją będę miał.

Uporał się wreszcie z papierosem i stał teraz, kołysząc się przed Krajewskim, który patrzył znów przed siebie cichy i jakby skupiony w sobie.

— Bajecznie dużo mają w sobie sentymentów!.. — skrzypiał znów Konitz — ale to dla nas lepiej. I widzi pan, właśnie woda na nasz młyn. Bo niby kochają się, a jak kochają, nie zdradzają. Bezpiecznie dla nas i dobrze. Cóż pan nic nie mówi?

— Nic. Słucham!

— I ma pan rację. Ja kobiety na pamięć umiem. Tylko popatrzę, oho! już wiem, co ona warta. Mnie nigdy żadna nie nabierze na fałszywą minę. Czasem idzie taka, że przysięgniesz, to coś dla nas, a tu, panie, to już takie coś, co to splunięcia nie warte. Mam taki węch. Zaraz odróżnię. Ja w całym mieście wiem, gdzie jest jeszcze takie jakieś, co ma coś do stracenia. Tylko przekonałem się, że źle wam dawać adresy. Lepiej samemu, po kolei.

Krajewskiego ogarnął jakby śmiech.

— Bój się pan Boga, a coś będzie, gdy już żadnej godnej pana nie będzie.

Mały Konitz pokołysał się trochę, zmrużył oko, namyślił się, wreszcie odrzekł.

— Wtedy się ożenię!

— Al...

— Tak — tak.

Zapanowała cisza; tylko w oddali słychać było dyskretny, monotonny głos jakiejś pani skarżącej się, że jej kazano zapłacić dwa razy jeden i ten sam podatek.

— Z tysiąc dziewięćset pięć... osobisto dochodowy — czternaście koron i coś... dwa razy.

— Tak — podjął znów po chwili Konitz — ożenię się. I wtedy dopiero dobioreę sobie kobietę taką, jaka mi się należy. Bo, choć wybieram bardzo starannie, co sam pan przyznać musi, i każda jest nie byle co i przyzwoita dziewcz-

czyną, to przecież jeszcze nie to, czego pragnę. I widzi pan, jak patrzę na pana tu u nas w biurze, to myślę sobie tak. Pan tutaj po co? Skończył pan dwa fakultety i jest pan w biurze podatkowym! To samo ja. Co do kobiet to jakbym skończył dwa fakultety. Znam się — no! z oczami zamkniętymi powiem panu, co to. A przecież muszę poprzestawać na szwajkach, na sklepówkach... To zupełnie jak pan.., pochylony przy tem biurku, zamiast być w dyplomacji albo gdzie...

Krajewski uśmiechnął się słabo.

— Ja czuję się zadowolony.

— No.. i ja muszę także się zgodzić z losem. Ale daję panu słowo, że czasem pasja mnie ogarnia taka na te kobiety... że biłbym je.

-- Prosty sposób. Zostawić je w spokoju. Ja naprzykład teraz. Cztery miesiące nie spojrzę na żadną.

— El pan jesteś, jak nasz szef kiedyś powiedział, figura fantastyczna.

— Tak szef powiedział?

— Jak Boga kocham! A przecież i pana ciągnie, bo godzi się pan, żebym mu tę, co mam, teraz odstąpił.

Krajewski zastanowił się.

— Prawda! — odparł po chwili — ani rusz zwalczyć zwierzę.

Konitz ramionami wzruszył.

— Co pan mówi komunały! Zwierzę? Kto? Chyba taki, co idzie przeciw prawom natury, a nie taki, co żyje, jak powinien.

— Tak... ale widzi pan... Ja myślę, że te dziewczyny później —

— Co później? co pana to obchodzi. Byle nie być pierwszym. Bo to rzeczywiście troszkę tego coś na sumieniu. Ale niby potem?

— No tak, Ale taka dziewczyna raz padnie Dobrze. Ale potem, gdyby nie ja, gdyby nie pan, mogłaby...

— Co? co?

— No... inne życie.

— El śmieszne! Jakie życie? Czy pan powstrzyma kamień, co leci z góry? My musimy przecież jakoś nasze kawalerskie czasy przebiedować. Trudno — księżniczki nie dla nas, a już trudno, żebyśmy po byle co sięgali.

— Więc te dziewczęta, to jak parasole — od deszczu.

— Ha, no... niby...

Aż wyło jakąś szarą ohydą z kątów i z całej tej rozmowy, która Krajewskiego napełniała strasznym, chorobliwym niesmakiem. Dama, pokrzywdzona przez c. k. urząd podatkowy, nie zmieniła ani na chwilę tonu, ciągle monotennie mówiła swą skargę, a deszcz siekł po szybach z jednąką zaciętością.

Konitz zdecydował się wreszcie powrócić do swego biurka..

— No... jakże? Czy mam ją jutro przysłać? — zapytał odchodząc.

— Proszę! — pochylił się z kurtuazją Krajewski, jakby przyjmował jakiś dar, który do tej chwili był tamtego prawną własnością.

IV.

Bez entuzjazmu wszakże Krajewski czynił nazajutrz przygotowania na przyjęcie tej „od Konitza“, jak w myśli nazywał odstąpioną sobie dziewczynę. Kupił trochę ciastek, pół butelki maraschino krajowego wyrobu (bo tańsze) i troszkę gwoździaków. Kanarka ani kota nie kupił.

— Po co? — myślał gdy przyjdzie, powiem jej, że uciekł. Gdy już uprzątnął trochę, usiadł na swej otomance i chciał

czytać. Lecz nie był w stanie. Widział kiedyś na wsi starą, dziwną kapliczkę, zamkniętą i pełną jakichś niewypowiedzianych wiekowych tajemnic. I około tej kapliczki stała krowa, zwykła chłopska krowa i tarła swe rogi o ciemne pleśnią pokryte ściany. Krajewski aż targnął się na ten widok. I teraz mu było tak jakoś, gdy o tej godzinie chciał skrócić sobie czas czytaniem biblij.

Coś zapukało do drzwi. Byłby wolał w tej chwili, aby to się nie stało. Pukanie było szorstkie, nieprzyjemne.

Wstał powoli z otomany. Otworzył drzwi. Usunął się.

Dziewczyna weszła.

— Pan Konitz jeszcze nie przyszedł? spytała od progu.

— Nie. Ale pewnie zaraz nadejdzie. Może pani zechce usiąść, odpocząć.

Silił się na grzeczność i dobry humor. Ogarniał ją równocześnie wzrokiem. Nie podobała mu się. Była duża i koścista. Twarz miała płaską i nieprzychylną. Czuć było łatwo, że jest jakby zniechęcona i musi być podejrziwa. Brunetka była silna, a cera jej miała żółtawe tony. Tylko czoło jej było silnie zarośnięte równo w pięć zębów i brwi, jak skrzydła jaskółcze, zarysowane cudownie. Odziana była ubogo, bezpretensjonalnie, w cienkim żakiecie i słomianym letnim kapeluszu.

Widocznie Konitz nie rujnował się na swoją metresę.

— Niechże pani wejdzie! On zaraz się zjawi!

Weszła wreszcie i obejrzała się dokoła. Ascetyczna abnegacja Krajewskiego była dla niej źródłem pogardy.

Nie wymówiła jednak swej myśli, tylko wydeła wargi. I tak stała milcząc.

Krajewski uczuł, jakby jakiś ciężar walił mu się na ramiona.

— Niech pani siada.

— Gdzie?

Nic nie zdoła oddać tonu, z jakim to „gdzie?” zostało wyrzeczone.

Krajewskiego zaczęła nagle bawić grandezza obdartej dziewczyny. Swoją właśnie abnegację form i drobiazgów, które uważał za balast niepotrzebny w życiu, cenił tak wysoko, iż ktoś, okazujący mu z tego względu jakieś tony, przejmował go śmiechem i litością.

— Tu... na tej perskiej otomanie, podawszy mi poprzednio swą cudowną łapkę.

Lecz dziewczyna zacisnęła swe ręce w zjedzonej przez mole mufce i usiadła sama na brzeżku sofy.

— Tu u pana pustol — zaczęła — niema firanków. Czemu?

— Nadejdą mi meble — ze wsi — z majątku.

— Tak? to co jenszego.

Nalał jej kieliszek maraschino.

— Proszę... może pani pozwoli.

— Dziękuję. Ja wódki nie pijam.

— To nie wódka. To likier.

— Zawsze... spirytualia.

— Czy pani przysięgała?

— Także coś!

— No... myślałem. Bo teraz to poczwórna jest wstrzeźliwość. Eleusis. Słyszała pani?

— Nie znam.

— A wie pani, od czego się przysięga? Od pijaństwa, od kart, od palenia i od... kochania.

Duża dziewczyna aż podskoczyła.

— I... co pan!

— Naprawdę. Tak ludzie przysięgają.

— Gdzie?

— Jedni przed drugimi.

— Chyba u czubków.

— I ja tak myślę. Jeszcze od kart, od wódki, od tytoniu możnaby się wstrzymać, ale od kochania? Co? jak pani myśli? panno... jakże imię?...

Usiadł przy niej i zaglądał jej w oczy.

— Niby mnie?

— Aha!

— Stefcia. Ale mnie nazywają Funia.

— Ślicznie. Funia, Funisia, Funiusieczka...

Modulował głos, a tymczasem myślał, że ta Funiusia jest gruba, niemiła i że niewiadomo jak się do niej zabrać i jakiego tonu użyć.

Na owe bowiem spieszczanie swego imienia zmarszczyła brwi i wydeła znów usta.

— Pan to też... poufały! — odcięła się dość ostro. Czemu ten Józek nie przychodzi? Pan ma podobno uczonego kanarka. Gdzie jest?

Krajewski się roześmiał.

— Uciekł mi dziś rano! Ale dlaczego pani tak koniecznie chce widzieć tego Józka? Do czego nam on potrzebny? Czy to nam źle we dwoje?

Nie odpowiedziała nic. Patrzyła uporeczywie w ziemię. Zaczynało się powoli ściemniać i po kątach rozwłóczyła się jakby mgła.

— Niech pani zje choć ciastko... — próbował znów Krajewski.

Ale nie poruszyła się nawet. Tylko cała zdawała się przemieniać w słuch. Lowiła zdaleka szmery w sieni. Widoczne było, iż z wytężeniem oczekuje Konitza.

Krajewski czuł się dziwnie zderutowany i wysadzony z siodła, on, zawsze pełen elokwencji i romantycznych wynalazków wobec dziewcząt, które posiąść pragnął. Teraz patrzył na jej włosy sztywne, jak druty, pozlepiane i coraz mniej czuł do niej pociągu i chęci. Pragnął nawet, aby istotnie Konitz namyślił się i przyszedł zabrać „Funię” —

z powrotem. Lecz Konitz się nie zjawiał a natomiast Funia odwróciła się nagle ode drzwi i spojrzała się ostro na Krajewskiego.

— Pan i on jesteście dwa łajdaki! — wyrzekła dobitnie.

Było to niespodziewane i dziwne. Krajewski zaprzeczył gorącym gościem.

— Co pani?

Ale ona aż poczerniała od złości.

— Dwa łajdaki! — powtórzyła dobitnie — przecie mnie nie oszukacie. Konitz mi tu kazał przyjść, żeby mnie panu wpakować. Bo ma mnie dosyć. Ja to widziałam. Ja mam na tyle sprytu. Jakem tu weszła, to zaraz z pana miny poznałam, co się święci...

Zatknęła sobie mufką usta, jakby tłumiąc łkanie, które gwałtem darło się jej z piersi.

— A to hycell! — dodała tylko.

Lecz Krajewski skorzystał z okazji.

— A więc tak! — wyrzekł. — Konitz nie przyjdzie, bo chciał z panną Funią zerwać!

— Ale czemu? przecie ja nie od niego nie chciała czemu?

Patrzyła mu prosto w oczy. Zmieszał się. Nie umiał jej odpowiedzieć, dlaczego tamten odpędza ją wierną, ubogą, oddającą mu się bez żadnych zastrzeżeń.

— Nie wiem... nie wiem... ale niech się panna Funia uspokoi. Co tam Konitz! Czy to on jeden na świecie, Ja sam!...

Siedziała nieruchoma, a na nią zapadał cień i owijał ją powoli.

— Czemu? — powtórzyła raz jeszcze.

Przysunął się do niej, objął ją. Zdawała się nie zwracać uwagi. Była bez gorsetu i Krajewski uczył, że pomimo pozorów trywialnej budowy miała dość ładne kształty. To mu wystarczyło. Dante i Descartes, filozofja i czar

słowa wionęły daleko. Pozostała tylko kobieta. Jakieś łagodne, właściwe mu uczucie, graniczące z sentymentem, ogarnęło go.

— Funiu! — zaczął i, znalazłszy kawałek jaśniejszego ciała pomiędzy kołnierzykiem i policzkiem, zaczął całować go namiętnie.

Ona nie odpychała go. Wytarła przez ten czas nos i wreszcie wyrzekła jakby do siebie:

— Co ja teraz będę robiła?

Trzymał ją zupełnie przy sobie i delikatnie zdejmował jej kapelusz.

— Zostaniesz ze mną. — wyszeptał jej prawie w ucho. Lecz ona teraz jakby się zbudziła.

— Co pan? co pan chce? — zaczęła ostro — pan myśli, że ja tak od jednego do drugiego... Niech mi pan da spokój!

— Kiedy on cię nie chce...

Nie odpowiadała nic, tylko patrzyła znów we drzwi i znów zmieniała się w słuch.

Krajewski wstał, zapalił papierosa i zaczął chodzić po pokoju. Sytuacja stawała się dziwna. Nie przypuszczał, że będzie taka.

Stała wreszcie przed nią, zdecydowany nie wypuścić tej okazji z ręki. Przed chwilą nie pragnął jej wcale, obecnie ten opór podniecił go.

— Funia powinna ukarać go i zemścić się! — zaczął — takby zrobiła każda kobieta.

Milczenie.

— To mu najwięcej dokuczy. Niech Funia się we mnie zakocha, co?

Obrzuciła go długim spojrzeniem, poczem odwróciła z niechęcią głowę i dalej we drzwi patrzyła.

Krajewski zadziwił się niepomrotnie. Nie miał wiele w sobie zarozumiałości, ale sądził, iż nie wytrzymuje raso-

wością swoją porównania z małym i śmiesznym Konitzem. Tymczasem Funia osądziła inaczej.

— Chyba, że panna Funia nie ma ambicji! — zaczął z finezją.

Ona odezwała się wreszcie:

— To nie to.

— A co?

— Tylko... że tak zmieniać. Ja przecie nie myślałam. Ja się zgodziłam, ale zawsze przecież...

— Panna Funia stała w miłości, to ładnie.

— No.. a jakże!

Miała jakiś pewien czar w odezwaniu się tem, czar istoty, ścielącej swoje ja, jak płaszcz pod nogi komuś, kto tuli i pieści. Krajewskiemu zrobiło się nagle jej żal. Uczuł, że pod tą szorstką powłoką kryć się musi jakieś lepsze serce, pragnące, jak pies, pana i dobrego słowa.

— Panna Funia sama? — zapytał.

— Jakto — sama?

— Bez rodziców?

— Ja — sierota!

To było proste, krótkie, nawet szorstkie, ale było.

Jedno słowo — cały świat.

Wszystko.

Krajewski znów zaczął chodzić po pokoju i od czasu do czasu spoglądał na Stefkę. Nie siedziała teraz już wyprostowana i harda, tylko skurczyła się i niejako zatoneła w sobie.

Krajewskiemu przez umysł przesunęły się słowa Nietzschego:

Wszystko co żyje, podlega czemuś...

Tak. Lecz nikt, tak jak kobieta, nawet chwilowo z pewną gracją składać umie swą energię i wolę. To brzydkie, strzępiaste stworzenie w skurczeniu swem umiało już zaznaczyć ten wdzięk. Podlegała temu, który ją po-

rzucał, podlegała temu, który wdzierał się na jego miejsce brutalnie i niesympatycznie.

Odgarnęła włosy i otarła nos dość nieczystą chustką.

— No... to zresztą dobrze!

Zaskoczyło to już Krajewskiego. Zaczął się pogrązać w jakieś niewyraźne sfery. Zdawało mu się, że Stefka oddala się od niego, spowija w mgłę, staje niedościgłą „kobietą“.

Nagle znalazła się przed nim gotowa i bierna. Zbliżył się machinalnie. Wyciągnął rękę ku guzikom bluzki. Ona przymknęła oczy i nagle przez zęby wyrzuciła:

— Możebyśmy jeszcze poczekali...

Ogarnął go śmiech i zadowolenie. Doprawdy, że ta miłosna sprawa zaczynała go śmieszyć i nudzić.

— Zaczekajmy.

Usiadł znów obok niej i palił papierosa. Zauważył, że była bardzo zziębnięta. Płaszczyk prawie letni leżał koło niej. Wyciągnął rękę — dotknął. Odzienie było ledwo wystarczające na jesienne słoty.

— Dlaczego panna Stefcia tak lekko ubrana?

Wzruszyła ramionami.

— Za co?... dawno już się zbieram, są gotowe watanne podszewki. Raz, dwa — podszyć można w godzinę plecy, piersi i gotowe. Ale to kosztuje parę reńskich, bo to na atlasie robią. Zebrać się trudno.

Krajewskiego ogarnęła dobroć. Wykwitła nagle na tle zamierającej namiętności. Wstał i wziął płaszczyk.

W kamienicy mieszkała krawcowa.

— Proszę tu siedzieć! — wyrzekł szybko.

— Co? pan?...

— Nic, nic...

Wyszedł, drzwi na klucz zamknął i klucz wziął. Przeszedł ganek i zastukał do drzwi szwaczki. Zaduch go owionął. Pochylona stara panna siedziała przy maszynie.

Zdziwiona patrzyła na Krajewskiego rybiemi oczyma. Wytłomaczył jej, o co chodzi. Jakiś uśmieszek przesunął się po wybladłych wargach kobiety. Widocznie osądziła dziwnym ten sentymentalizm bladego, inteligentnego i ślicznie ułożonego urzędnika od „podatków“. Lecz — skłoniła głowę i chętnie podjęła się migawkowej roboty, przyrzekając podszyć plecy i piersi wata najdalej za dwie godziny.

— Skoczę na rynek, do Frenklowej, tam dostanę gotową podszewkę...

— Proszę, tu pieniądze. To dla mej kuzynki ze wsi, zaraz odjeżdża.

— Dobrze, dobrze.

Coś fałszywego prześlizgnęło się pomiędzy nimi.

W tem mieszkanku szwaczki znć było nędzę złego sezonu, brak roboty i chęć podjęcia się byle czego, aby zarobić jutro na trochę ciepłej strawy...

Krajewskiemu zdało się, że nadużywa właśnie tej sytuacji, dając taką pracę, dobry jego „uczynek“ wydał mu się zbyteczny.

— Ja tu przyjdę za dwie godziny!

— Tak, tak — proszę!

Gdy Krajewski wyszedł na ganek, chciał skierować się ku swemu mieszkaniu, ale jakby go coś powstrzymało.

— Nie. Nie chcę jej! — pomyślał. — Za taką nędzę, trochę waty na zziębnięte plecy, nie... to niepodobna!

I poszedł chodzić po ulicach oślizgłych od błota, jakiś smutny i pełen melancholji.

V.

We dwie godziny — równo — znalazł się w mieszkaniu szwaczki.

— I cóż? — zapytał.

Szwaczka ukazała mu popruty płaszczyk Stefki i kawałki przykrojonej podszewki.

— Niegotowe!

— Nie. Dostać nie mogłam. Dopiero wróciłam.

Uczuł jakąś niecierpliwość.

— A więc? kiedy?

— Za godzinę.

— Ale... już z pewnością.

— Widzi pan, że robię.

Wyszedł i zwrócił się do swego mieszkania. Zimno mu było. Nieprzyjemnie. Chwilę stał jednak pode drzwiami. Coś go odręcało. Otworzył drzwi. Stefka siedziała na sofie. Ujrawszy go, porwała się.

— Co pan? wściekł się? Czego mnie pan zamknął? Ja chcę sobie iść!

Aż się cofnął, taka mu się wydała niemiła jej obecność i ten krzyk niekulturalnego głosu.

— Palłocik kazałem podwatować, zaraz będzie.

Wzruszyła ramionami. Obrzuciła go spojrzeniem, jakby powątpiewała o jego zdrowych zmysłach.

— Także coś! Jeszcze mi popsują.

— Nie, nie, będzie ciepłej.

Wzruszyła znów ramionami swym ulubionym gestem.

— Także coś!

Usiadła.

Chwilę jeszcze patrzyła na niego.

— Pan ma w głowie kręćka... — zadecydowała spokojnie.

Roześmiał się. Wolał brać tę rzecz ze strony komicznej.

Nagle uczuł głód.

— Zjemy co... — zaproponował.

Nie odpowiedziała nic. Ale widoczne było, że jest bardzo głodna.

On rad pochwycił pretekst wyjścia z tego pokoju, który wypełnił się dziwną wonią jej zmoczonych spódnic.

— A niech mi oddadzą mój żakiet! — krzyknęła w ślad zanim, gdy drzwi zamykał.

— Dobrze! dobrze!...

Za pół godziny powrócił, niosąc szynkę, chleb, masło, trochę owoców, piwo. Wstąpił do szwaczki, siedziała pochylona nad robotą, zmęczona i wyczerpana. Ściemniło się. Szyła, wciśnięta we framugę okna.

— Czemu pani nie zapali światła?

— Nie mam czasu. To więcej roboty, niż myślałam.

Podniosła ku niemu swą bladą, zwiedłą twarz kobiety, która „się nie liczy“ — i coś jakby nienawiść pchnęło go w żrenice.

— Tak... więcej roboty!

Wycofał się z tej ciemni razem ze swą szynką, owocami i ćwierć funtem deserowego masła. Gdy stanął pod progiem swego mieszkania, czuł, że i tu nienawiść dysze nań także. I nagle targnęła nim jakby gorąca chęć łagodnej, miłej, dobrej istoty kobiecej, która objęłaby go za szyję i jakby uchroniła od tej nienawistnej grozy, jaka ku niemu płynęła.

Otworzył drzwi cicho i powoli. Stefka siedziała w cieniu nieruchoma. Odczuł ją w tym cieniu. Odrazu chrapnęła ku niemu.

— Żakiet jest?

Stropił się, choć był przygotowany na to pytanie.

— Za małe pół godziny.

Porwała się z sofy jakby pijana od głodu i zdenerwowania. Zionęła na niego okropną wściekłością. I on, i Konitz, zbili się w jedno w tej masie błota, jaką ich obrzuciła. Krajewski zmarszczył brwi i szukał zapalek, aby rozświecić tę bagnistą ciemnię, w której coś nienawistnego rzucało się ku niemu i pieniało. I równocześnie tłoczyło mu się do umysłu to, że właśnie ta plugawość charcząca była tu wleczone po to, aby dać mu najwyższą sumę rozkoszy, jaką kobieta mężczyźnie sprawić jest w stanie.

Poczuł się nędznym i biednym. Zaczęły mu drżeć ręce.

— Proszę... proszę... — zaczął — tu jest kolacja, proszę jeść... tymczasem żakiet się skończy, przyniosę!..

— Nie chcę.... nie chcę! niech pana razem z jego kolacją djabli wezmą!

Cofnął się do drzwi.

— Ja pójdę, może już gotowe...

Uciekł poprostu przed tym głosem charczącym, przed tą „Funią“.

— Dobrze mi tak... — myślał — trzeba było zaraz za drzwi wyrzucić. Zachciało mi się znów dobre serce okazywać!

Powoli schodził ze schodów jeszcze ciemnych. W sieni dostrzegł stróżkę, jak zapalała lampę, mruczając coś do siebie.

— Pan wie? wróciła!

Mimowoli przystanął.

— No co? wygnaliście ją? — zapytał.

— Niby gdzie?

W pomruku tym była cała matka.

Nie odczuł jej. W tej chwili mimo wszystko załopotała w nim myśl, że, gdyby nie miejsce, zajęte przez niešťczęsną „metressę“ Konitza, Mańka, o wiele ponętniejsza, mogłaby bawić się z nim w parę „zakochanych“. — Zwrócił się do stróżki.

— Mańka jest u was?

Ale ona w mdłym świetle lampki pokazała mu spróchniałe zęby.

— Czego? czego? mało panu ta jedna, co jest u pana? co? Zawstydził się, że posądza go o jakąś skomplikowaną rozpustę.

— Co wam? ja tak tylko.

— Dobrze! dobrze!

Odeszła, powłócząc nogami. On wyszedł na ulicę i szedł pod latarniami w mżącej, kłującej mgle. Całe swe zdenerwowanie zwrócił ku sobie samemu. Jaka głupia historia z tym żakiem! Po co? na co? Często wyrwał się z taką donkiszoterją nie w porę. Kiedyś u swych krewnych w odwiedzinach na wsi dowiedział się, że w jakiejś rozwalonej chałupie wegetuje uwiedziona przez sąsiedniego rządcę nauczycielka, wegetuje z dzieckiem kilkomiesięcznym, przymierając z głodu. I zaraz nazajutrz wybrał się tam, zobowiązał dawać parę guldenów miesięcznie, wzruszony przyjemnie i wdzięczny sobie za to wzruszenie. Później wprawdzie, gdy znikła owa sensacja, żałował tego zobowiązania, lecz wypełniał je skrupulatnie, starając się choć w myśli odtworzyć rysy twarzy kobiety, którą ujrzał w półmroku izby, przesiąkłej odorem kwaśnego mleka i stęchlizny. Słyszał tylko jej głos cichy, słodki i miły. Stała się dla niego mitem, czemś z baśni. Wiedział jej adres, jak się nazywa i odbierał od niej listy, pełne wdzięczności i błędów, które go (jako u nauczycielki) w podziw wprowadzały. Lecz ta historia z Funią i jej żakiem nie dała mu ani chwili małej sensacji, przeciwnie, zaczęła przejmować go wstrętem.

— Byle sobie poszła!... tamta miała przynajmniej głos ciągnący — ta chrapie...

Wrażliwy był bardzo na głosy kobiece. Były dla niego — pieszczotą. W pragnieniach swoich widział za-

wsze półmrok i z niego płynął ku niemu głos jakby dziecka z intonacją, którą mają te o duszach czystych mimo wszystko i sercach łagodnych.

— Trzeba jej było kupić jaki ciepły żakiet nowy — kosztowałoby mnie więcej, ale nie miałbym jej załogą u siebie.

Lecz zaraz targnął się w nim mężczyzna.

— Za co? nowy żakiet?... za co?...

I zapragnął całą duszą ciszy, spokoju, swych czterech ścian, książek, siebie samego.

— Pójdę, może już będzie można ją wyrzucić,

Szybko wdarł się na schody i pobiegł do mieszkania krawcowej. Uderzyło go, że w okienku, wychodzącym na ganek, ciemno. Zastukał. Nie odpowiedział nikt. Stukał ponownie. Drzwi były zamknięte. Krawcowa wyszła, albo — czując, że nie skończy na czas, położyła się -- zatarasowała. Ogarnęła go rozpacz. Co począć? Powoli wyjęczała nad miastem dziesiąta. Łomot zamykanej bramy oznajmił, że ludzie porządni spać idą. Krajewskiemu przeszło przez głowę, żeby iść do hotelu i tam noc przepędzić, ale zaraz tę myśl odrzucił. Kto wie, co ta wściekła dziewczka urządzić może? Jaki skandal, widząc, że noc nadeszła, a ona jest zamknięta i bez odzieży? Cicho i delikatnie otworzył drzwi i wszedł do swego pokoju. Doznał uczucia ulgi, a zarazem dziwnego wrażenia. Na otomanie, z włosami rozpuszczonymi, które ją do pół pleców okrywały, leżała Funia uśpiona. Twarz ukryła, i widać tylko było jej kształty kobiece bezwładne i jakby bezwiednie we wdzięczną ułożone linję. Ten twór żywy i ziejący kobiecością, jakby zdany na jego łaskę i niełaskę, jakby oczekujący na niego w cieple i świetle czterech ścian, chroniących od chłodu i ciemni, wytworzył w nim złudzenie, że pragnienie jego zaczyna się ziszczać. Usiadł opodal i ujął delikatnie żółtą małą książeczkę. Rozpadła się sama na

pieśni V. I oto Semiramis, Kleopatra, Helena zwionęły
ku niemu, dantejską mową zagrzane. Ku Francesce słod-
kiej i białej, jak gołąb,

Przez prąd wichrowy w powietrznym zamęcie

gnanej mocą męczarni, poniosła go wyobraźnia. Kochał
tę córę Gwidona z Polenty, którą przystroił w delikatność
najwyższą, jaką miał na dnie swej duszy. Urywał zawsze
na tym wierszu cudownym:

„Pisarz tej księgi był nam Galeotą,
Jużeśmy więcej w tym dniu nie czytali...

I odkładał ukochaną książeczkę.

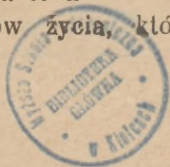
Tak samo postąpił i dziś. Odłożył Danta, zasunął
się w fotel i wpatrzył się w czarne rozsypane włosy śpią-
cej kobiety.

W tej chwili nie była mu metressą małego Konitza,
Funią, objedzoną szynką i ponadgryzaniem jabłkami, lecz
k o b i e t ą, królewną w dziedzinie uśmiechów i spojrzeń
tych, które same przez się cały świat stanowią. Była to
k o b i e t a, a więc istota, zdolna przetwarzać wszystko, co
dokoła niej drży, ciśnie się. Soki przetwarzać na heroiczne
i piękne życiowe objawy, całe utkane z miłości, uczucia,
adoracji i pobłażliwości.

Była to k o b i e t a, więc to źródło konieczne, jakkol-
wiek ledwo dosłyszalne czasem i ledwo dostrzegalne w aksa-
micie mchów i srebrze stalowem skał.

Była to k o b i e t a, więc cała głąb cierpienia i smutku
jęków dławionych, płomieni, gaszonych łzami, namiętności
starganych i szarpanych, jak wieńce bezużyteczne w święto,
które mróz i wicher warzy.

Była to k o b i e t a, więc jeden z tych wewnętrznych
uśmiechów życia, które się nosi w sobie wspomnieniem



chwil, z nią przeżytych, i pogardza, a zarazem podziwia dla jej przeczuć cudownych, z którymi przychodzi naiwnie, jak dziecko z sukienką pełną ziół na pól zwiędłych. I niewiadomo, co przeważa, czy uwielbienie dla tych skrzydeł, nagle rozpostartych w porywie uczucia, które ją wznoszą na wyżyny i pozwalają patrzeć z tych wyżyn na przeznaczenie tych, którzy są pięknoscią i podstawą jej istnienia, czy jakby uśmiech ironji, właściwy tym, którzy zaprzeczają wszystko, co wykracza poza ich świat zmysłowy.

Była kobietą, której pocałunek otwiera drogę do życiowego nieba i przez której ciało prześwieca delikatny, nie zrównany blask różanej jutrzienki — zwłaszcza gdy oblewa ją płomień rozkoszy i szczęścia z możności wyjawienia tej rozkoszy.

Była kobietą, więc tym ideałem najsubtelniejszym, a najbardziej despotycznym, złożonym z drobiazgów i przegromnych uderzeń skrzydłem w błękity eterów, jeszcze nieznanych. Była to korona, tryskająca z kaskady wyobrażeń tęczyowych, olśniewających i do której wzrok unormowany dążyć może z trudnością, był to sen gniotący, pomimo lekkości swej i delikatnych zarysów...

Była to kobieta...

.
Krajewski patrzył na śpiącą ciężko szwaczkę i tonął cały w sobie i w tej ciszy, jaka go ogarniała. Deszcz lekko bił po szybach, jakby ćma kołatała oświetlany przytułek. Czasem w oddali zaturkotały koła.

Krajewski miał pełną duszę widoku nie metressy małego Konitza, ale... kobiety.

I tak zastał go świt.

Włożyła na siebie ów żakiet watowany, ciepły, podszyty i gotowała się do odejścia. Krajewski blady, niewyspany, po nocy, przemęczonej na fotelu, patrzył na nią z jakąś nieokreśloną wdzięcznością. Przez tę noc, gdy spała ciężko, nie budząc się ani na chwilę, jęcząc tylko, jak dziecko, niesprawiedliwie obite, była mu w dziedzinie abstrakcji słodką Dewaki i krwawą Jahel z pod fałdów namiotu Habera Cynejczyka, bijącego gwóźdź w skronie zwabionego wroga. Była mu czarnym płaszczem włosów Sulamithy i cudowną linią wygiętych bioder Magdaleny Corregia. Była mu tem wszystkiem w swej sennej nieruchomości i ukryciu zwiędłej i pospolitej twarzy. Była mu jeszcze kimś więcej, bo miłosną towarzyszką przeżywanej nocy w kręgu domowej lampy. I to towarzyszką milczącą, cichą, nie szarpiącą mu nerwów bezmyślnością swoją, a przecież przeżywającą swą życiową siłę tuż obok niego w jakimś biernym, kobiecym, niewolniczym poddaniu. Za to był jej wdzięczny, choć od rana samego owiała go nędza kobieca, nędza dziwna, o spłowiłych oczach, zrezygnowana i bijąca weń różgą dotkliwą. Otwarcie drzwi przez szwaczkę, jej potulna postać, oczy obrzmiałe od zbyt ранnego wstania, to wysunięcie nieśmiałe ręki z żakiem — spłynęło mu pod stopy, jakby zupełna abnegacja praw człowieka na korzyść silniejszego. I później tragiczność, wyrznięta na zmiętych rysach Funi, ubierającej się w milczeniu w podaną jej ciepłą odzież, była jakby dopełnieniem tej zjawy zwyciężonej i uległej.

Szybko nalał dziewczynie herbaty, którą mu przez drzwi podała stróżka.

— Proszę wypić!

Mruknęła coś, wskazując gardło. Widocznie nerwy

zaciśnęły się jej w przełyku. Zdawało się jej, że „nie przełknie.“

On sam także nie pił i zaczął się zbierać do biura. Dzień był, jak zwykle u nas, szary, posępny. Deszcz sączył od rana. Chłód przejmował i ściągał mięśnie. Krajewski czuł, że powinien coś przemówić do Funi. Zapytał ją wreszcie, co ma powiedzieć Konitzowi, stawiając jasno kwestję najdrażliwszą.

Spojrzała na niego z pod brwi ściągniętych.

— Nie! — odparła głucho.

Był pewien jej odpowiedzi, lecz nalegał.

— Przecież, coś... może panna Funia chce, żeby się z panną Funią zobaczył?

— Po cholere?

— Może się porozumiecie.

— My? Jabym mu tego łajdactwa, że chciał mnie panu wpakować, nie przebaczyła.

Wyszła do sieni. Za nią szedł Krajewski.

— Ale się nic nie stało.

— Bo ja i pan — oboje głupie.

— ?

— Tak! tak.

Wyszli na ulicę. On szedł obok niej i mimowoli patrzył się na ów zakręt, dziwiąc się, że to tyle kosztuje, a prawie nic nie znać. Mimowoli zapytał:

— Ciepło?

Wzruszyła ramionami. I nagle dojrzał w jej oczach łzy. Nie wiedział, dlaczego zrobiło się i jemu głupio. Stał przy słupku tramwajowym.

— Ja siadam do tramwaju.

Chętnie dałby jej parę reńskich, ale nie wiedział, jak się do tego wziąć. Aż biło od niej hardością świeżo opuszczonych kobiet.

Sądził, że zaraz odejdzie, nie skinąwszy mu nawet

głową, tymczasem ona stanęła już przy nim i, nie patrząc, wyciągnęła zziębniętą rękę w nicianej rękawiczce.

— Dziękuję panu! — wyrzekła, jakby walcząc ze sobą — pan jest trochę pomyłony, ale pan jest pocziwy...

Zanurzyła mu w źrenice swoje załzawione oczy na króciuchną chwilkę i odeszła powoli, wlokąc za sobą zbyt długą z jednej strony spódnicę, a jemu się zdawało, że to odchodzi od niego na przepadłe jakiś pies bezdomny, któremu dał chwilowy, choć przymusowy przytułek.

Ogarnął go wstręt do Konitza, do mężczyzny wogóle i nawet do siebie samego.

— Zawsze ona biedna naprawdę! — pomyślał, mając ciągle w pamięci to ciche odejście w szarugę i bezmiar obcych, obojętnych ludzi.

— Znajdzie sobie kogo! — szydził Konitz — ja tam jej nie wpuszczę, niech się mnie nie czepia.

— Ona się pana czepiać nie będzie! — rzucił mu przez zęby Krajewski, kołysząc się na swem krześle przed biurkiem.

— Ta, to jeszcze niewiadomo! — parsknął Konitz — chyba, że się w panu rozkochała.

— Mówilem panu, że między nami nic nie było.

Konitz zmrużył oko.

— Bajki, przewielebny sędzie.

— Wierz pan lub nie wierz, wszystko mi jedno.

Odwrócił się z niesmakiem od tego małego Ahaswera miłości i udał, że się zajmuje pisaniem. Lecz Konitz odczuł ten niesmak i z całym brakiem taktu nacierał.

— Pan czegoś na mnie krzywy! — zaczął — czy za Funię? To nie moja wina, że głupia tak się do mnie przywiązała, iż na w e t p a n u się nic nie udało.

Krajewski odłożył pióro i znów na krześle kołysać się zaczął.

— Nie o to chodzi.

— Więc?

— O to, co z nią teraz będzie.

— A cóż? chodzić będzie do magazynu, jak chodziła do tej chwili. Przecie jej chleba nie odebrałem. Ja — jestem cwany. Niejedna już mówiła. Ja się z tobą zostanę. Nie pójdę do szycia. Ja ci będę gotować, sprzątać. To będzie taniej. Ale ja wiem, czem to pachnie. Ol Safo!... Więc tłumaczę, w ambicję wbijam, że przecież tak zejdzie na utrzymankę, a tak jest... coś lepszego. I każda się na to weźmie. Każda!

— Nie w tem rzecz. Ja mówię co do jej uczuciowego życia.

Konitz zaczął śmiać się jak szalony.

— A mnie co do tego?

— Pozwól pan. Ona, zdaje się, pana naprawdę kocha. Mały człowieczek wydał się komicznie.

— One wszystkie tak. Mam w sobie coś specjalnego. Umieję z kobietami. Ale co do Funi, to raz jeszcze powtarzam panu, nic mi do tego. Nie ja byłem pierwszy. Ol — widzi pan. To moja moralność. Gdybym był pierwszy... Ol to co innego.

Przybrał pozę szlachetną. Wyciągnął się w górę.

— Wtedy czułbym się w obowiązku.

Brwi zmarszczył — rękę położył na kamizelce.

— I dopełniłbym go... Ale tak? Dziś, jutro choćy z rozpaczny znajdzie dziesięciu innych i pójdzie!

Niepodobna opisać akcentu, z jakim to „pójdzie“ zostało rzucone.

.

Zdawać się mogło, że to ktoś bije w pochylony kark kogoś, co mu się niepotrzebnie na drodze płacze. Ręka żelazna wali i chwyta za włosy, które rozsypała rozpusta świeża jeszcze na twarz, rozognioną od niewystygłych po-

całunków, na piersi, poznaczone czerwonymi stygmatami szalonych pieszczot.

Ręka ta chwyta za włosy, okręca je sobie dokoła i gestem, któremu niema równego, rzuca precz z drogi wygodnej, utartej, obwarowanej ludzkimi i boskimi prawami, po której chadzą „sprawiedliwi” — i uczciwi ludzie.

— P ó j - d z i e l...

Prawie p a - s z o ł prawie niech B ó g o p a t r z y ł — prawie trzaśnięcie okna przed konającym i targającym się w konwulsjach ptakiem. Gdyby jeszcze to „pójdzie” — choćby w gąszcz lasową, gdzie od wichrów jakaś ochrona — ale to w płaszczyznę, po której hula lodowaty huragan i chłoszcze, podrzuca w kałuże, szaleje.

— Pójdzie!...

Ta — która według Montesquieu ma tylko „une petite âme...”

A według Cycerona „przeszkadza mężczyznom do rozmowy z bogami.”

.

A według mnie przeszkadza mężczyznom do zbyt częstej rozmowy z szatanem — kosztem wielkiej abnegacji i wielkich poświęceń.

.

Lecz mimo to — pójdzie!

.

Krajewski się zachnął i gestem niecierpliwym odsunął od siebie Konitza.

— Powtarzasz się pan! — rzucił.

Konitz się jednak nie stropił.

— Ha no... trudno! Skoro się mówi o kobietach, człowiek musi się powtarzać, bo to psiarstwo w gruncie rzeczy jednakie.

Krajewski nie odpowiedział nic.

W szybę patrzył.

A w samem dnie serca plątała mu się jakaś straszna, księżycowa, wyjąca tęsknota. Taka z wołyńskich chat, gdy digitalis i jaśmin kwitną.

I sierp srebrny nad łąkami śnieżnej hreczki wisi.

I słyhać z daleka dzwonki pędzącej czwórki i poszczekiwanie psów zgłodniałych.

A w cieniu czarnym szkieletem znaczy się świeżo spalona sadyba.

Taka straszna, księżycowa tęsknota.

VII.

Tego wieczora wyszedł Krajewski na ulicę i siedławszy jawnie zgłodniały — kobiety, pragnąc coś sobie znaleźć.

Gdy bowiem zapalił o zmierzchu lampę, przypomniała mu się śpiąca tu w nocy Funia. Jej cichy jęk, jej nieruchome życie, pulsujące tajemniczo, jej obecność kobieca — wypełniająca ściany, otulająca jakoś duszę mimo wszystko i mimo to, że była mu niczem.

— Nie mogę tak sam! nie mogę!

A przecież nie pragnął domu, rodziny, małżeństwa. Wyrwał się już naprzód z zakreślonych kół. Wiedział, że to jest zasadzka na wciągnięcie w wieczyste jarzmo i pracę nad siły mężczyzny, czuł to wybornie. Zresztą, środki mu nie pozwalały. Sprzedać się nie chciał. Nie mógł być sam, lecz kaźni, obwarowań prawami, rządem, kościołem i wszelką mocą nie chciał.

Życia znów dziko, na wiarę — bał się, jakby przenoszonej cudzej odzieży.

— Źle mi! źle!

A w głębi wyła mu tęsknica pieśczoł, tulenia się w ciepło i dobre, cichutko szeptane słowa.

— Pójdę — może co znajdzie.

Jak na polowanie, tak wybiegł węsząc, z rękami w kieszeniach paltota. Zostawił palącą się lampę.

Tu dziś musi być kobieta...

Minął kilka nocnych ciem, które już zwionęły na bruk.

— Może choćby taką...

Lecz cofnął się.

— Nie, nie... co mi taka przyniesie. Wygnam ją za pierwszym słowem. Znam siebie.

Mimowoli skierował się w dzielnicę, gdzie wiedział, iż gęsto rozsiadły się pracownice „sukien damskich.“

To był teren, gdzie nocną porą wyłowić można „coś lepszego“.

A zaklinałem się! myślał, że nigdy tego robić nie będę — znów to samo...

Co pocznę wszakże? co pocznę? Za mało mam pieniędzy, aby kupić sobie za nie legalną żonę, błotem się brzydzę, gdzież więc się mam zwrócić? gdzie?

.

Straszne, wadliwe, błędne koło urządzeń i układów społecznych ogarnęło go w swe szpony. Jak potwór o oczach świetlanych i łapach miękkich a silnych potęgą niezwalczoną, potwór, Saszy Sznajdra — oto pełza ku mężczyźnie i obejmuje go w dziwne swe i śmiertelne objęcia.

Poczuciem zależności spętany, bezsilny — miota się i męczy. Siłę swą życiową, nadmiar ducha i ciała, który wytwarza w nim nieznana potęga, tak genialnie normująca utrzymanie gatunków, człowiek ten uważać musi jako swą torturę i chorobliwie zapierać się wypełnienia przeznaczenia swego.

Oto — dla niezrozumianych przyczyn, które tysiącem węzłów motają się, tworząc nierozzerwalne pęta — jak zwierzę dziki a chytry, wybiega nocą na żer i szuka sobie zdobyczy. Jawnie, otwarcie wziąć sobie kobietę, zabronione

mu, bo nie ma dostatecznych środków, aby stworzyć tak zwane „ognisko rodzinne.“

A że w duszy ciągnie go do tego ogniska, więc rozbija inne, gasi je, rozrzuca — wykradając dla siebie trochę żaru...

Winnym jest — bez winy.

Bo patrzeć trzeba w głąb, w głąb — pochodzenie rzeczy — w to, co układa w warstwy tak zwaną nikczemność i zbrodniczość ludzkich czynów.

Panna z dobrego domu nie „pójdzie za mąż“, gdy nie wie, że jej ognisko rodzinne nie składa się z tyłu i tyłu pokoi - pudełek, z takich i takich łachów-portjer, z tyłu i tyłu dań mięsa poduszonych i pokłutych bydła...

To wszystko nazywa się... ognisko rodzinne.

To wszystko jej ma dostarczyć mężczyzna.

A ona w zamian ofiaruje mu w całej serji grymasów — rozkosz bardzą wątpliwą i komiczne często ciepłko domowe.. W zamian..

Lecz, gdy się na to nie ma, mężczyzna musi stać się *franc-tireur*em i uganiać po ciemniach i zakamarkach, gdzie jeszcze cicho i smutno wyczekują bezbronne swej kolei.

.

Z rękami w kieszeniach od palta, wyciągnąwszy swój profil rasowy, biegnie Krajewski wzdłuż domów. Biegnie, patrzy, węszy, tropi. Z bram powoli wysuwają się grupki kobiet, przystają jakby leniwe, schodzą się, rozbiegają i oto — nikną w ulicznych cieniach.

Szwaczki idą do domów, do kochanków — zatrzymują się przed oknami sklepów. ukazując swe twarze czasem świeżych jagód, czasem znów wybladłych, wymęczonych masek.

Krajewski patrzy na nie, lecz żadna nie zajmuje go i nęci. Żadna nie ma w sobie, oprócz tej koniecznej, mu-

sowej kobiecości, tego wdzięku stworzenia *par excellence* domowego, čmy przypadłej w krąg lampy domowej.

Przytem jest ich za dużo. Jest ich prawie cała armia. A twarze ich mają piętna zaczepne. Wiedzą, że są obserwowane i pożądane. I chcą być niemi.

Ślizka, ciemna, leniwa noc otacza to wszystko. We mgle palą się niewyraźne żółte latarnie. Z niektórych sklepów wylewa się białe światło. Dziewczęta w światło to wpadają, czerniąc się sylwetkami zgarbionemi i bez fantazji. Tylko te, które mają nowe buciki, idą jakoś śmielej i pewniej. Inne raczej wloką się rozmokłe i miękkie.

Tu i owdzie potrąca się o jakiegoś pana w palcie z naciśniętym na oczy kapeluszem. Cichy chichot przebiega całą grupę. Pan przystaje, ogląda się uśmiecha. One przyspieszają kroku. Jedna się ogląda.

— Idzie za nami!...

Rzucają się w boczną ulicę, w czerń zupełną.

Pan w palcie dąży za niemi.

Zniknęli.

Słychać tylko odgłos ich kroków.

I to ustaje.

.

Krajewski także ma podniesiony kołnierz palta i naciśnięty kapelusz. Właściwie, nie wie, dlaczego to robi, bo mało ma znajomości „na świecie” — i wogóle nie robi sobie wiele z tego, co ludzie mówią. Lecz jest taka tradycja, taki zwyczaj. W ten sposób markuje się wyjście na łowy. Dziewczęta o tem wiedzą. Jedne uciekają, jakby spłoszone, inne (te, które mają już... kogoś) wydymają wzgardliwie usta, inne rzucają przelotne, ale znaczące spojrzenie. I one wiedzą, znają dobrze tych łowców, ostrzegając się, informując wzajemnie.

— Ostrożnie... to ten po Julce od Strzelbickiej z Akademickiego placu, Urządził ją... ostrożnieli..

Coś tragicznego dreszczem przebiega. Szpital, jakby jakiś krzyk rozpaczliwy dziecinny, potem cisza, a w niej tylko długie, przeciągłe westchnienie i wreszcie trzask zamykających się drzwi gabinetu lub gorzej — trzask drzwi kamienicy, na straży której stoi widmo z piętrem rózu na twarzy, a w ręce trzyma opłacony podatek i dowód dopełnionych przepisów.

A w oddali cienie jakieś, kohorty aniołów z opuszczonemi skrzydłami, z zasłoniętymi twarzami.

O nędzo kobiecego ciała!

O nędzo kobiecego ducha!

O nędzo ty, otaksowana, zamknięta w domu, do którego tak gościnnie otwarło społeczeństwo wrota.

Tam każdy wejść może.

Tylko ty, gdyś weszła, pozostaniesz na zawsze. Bo, choć cię wyrwą dobre dusze i kohorta aniołów wyniesie cię na swych skrzydłach, toć część twego życia już tam pozostała.

A część twego życia to ty sama.

O nędzo kobiecego ciała!

O nędzo kobiecego ducha!

O nędzo!

.
Z rękami w kieszeniach palta biegnie Krajewski pod domami. Nie spotkał żadnej „dla siebie,“ nie spotkał żadnej, którą chciałby przygarnąć i do której chciałby się przygarnąć.

A potem — mimowoli mierzy wzrokiem ich odzież.

I widzi, że są przeważnie zziębnięte i źle odziane.

Są takie Funie w lekkich zakietach...

I myśli.

Biedne, zimno im.

Ten syntymet nie pozwala mu zająć się wyborem.

Wreszcie parsknął śmiechem.

— Posprawiaj im żakiety albo daj im wszystkim okrycia do podważowania, Tołstojowski bohaterze!

Zawrócił się na pięcie.

— Nie będzie dziś nic z tego... Pójdę.

Potknął się o przystanek tramwajowy.

— Siadę w tramwaj.. pojadę lepiej pod złotą hjenę.

Tramwaj był pełen tych dziwnych, nieokreślonych twarzy, które zdają się być we wszystkich krajach specjalnie dla tramwai robione. Są to całe szeregi ludzi niewymownie brzydkich i niewymownie żadnych.

Wiele od nich przenoszona odzież i zmaltretowanymi duszami.

Ścisnęli duch i ścisnęli ciało. Siedzą cicho, spokojnie, dusząc w rękach przygotowane pieniądze.

A gdy dają konduktorowi nędzny naddatek, są dumni albo znów zawstyżeni, jakby coś złego popełniali.

Krajewski stanął na platformie pomiędzy jakimś jednorocznikiem i elegantem w angielskim saku.

— Lepiej, że żadnej nie wzięłem! — myśli — lepiej..

I zapytuje sam siebie:

— Po co jedziesz pod złotą hjenę! Przecież nic nie weźmiesz... co ci po tym.

Wie.

Ale jedzie.

VIII.

Hotel pod złotą hjeną.

Tak się to nazywa.

W ciemnicy dziwnej i cuchnącej. Z dala słyszeć jakiś orkiestron, grający w przygodnym cyrku. Czasem obszargana dorożka. Sklepiki zamknięte. Po ulicach suną

cienie. Słysząc lekki szwargot, szept. Czasem coś zaszumi. Przemknie szybko. W ślad za tem szumiącym dąży drugi cień usłużny i gładki. Gina w jamie jakiegoś domu. Tu i owdzie w oknach światło. Widać strzępy firanek ciemno-czerwonych, za którymi zdają się odprawiać jakieś tajemnicze, nikczemne obrzędy. I grozą, i trwogą aż wieje dokoła.

Rzędami stoją hotele o zda się wymarłych i zastygłych wnętrzach. Tylko czasem rozlegnie się wrzask, klótnia. Czasem przesyje powietrze krzyk — otworzy się okno. Ktoś bije rozpaczliwie rękami o szybę, tłucze je, woła pomocy. Walka ostatniej chwili, walka zbudzonego pragnienia ocalenia się przed ostateczną zagładą. Lecz nikt nie śpieszy z pomocą. W dzielnicy tej zakłętej i wyklętej jest wszystko tak, jak na dnie przekłętego jeziora. Zapadło się i zamarło. Zakryło tę toń, gdzie tragiczna odbywa się walka, cała powłoka gładka społecznego układu. Wszystko jest w porządku i okryte normą, przyjętą ogólnie. Całe lata dzieją się tu zbrodnie, za które w kodeksie martwe są paragrafy karne. A wszystko dookoła mileczy i nie zakłóca spokoju tych bram (otwartych paszcz), tych okien o czerwonych firankach, poza którymi dzieją się tragiczne i potworne rzeczy...

.....
Het — daleko, a może nawet bardzo blisko, jest wschód słońca o różowej cudownej smudze i rozkwitają lilje nieplamne a wonne, jak alabastrowe kadzielnice, złotego pyłu pełne, są gdzieś dworki, w których chmury gradowe odżegnywuje czarno ubrana babcia, mówiąca zmęczonym głosem ewangelję, są sypialnie białe z błękitnymi lampkami, w których świetle zasypiają panienki, nie wiedzące nic prawie. I są trawniki zielone i wonne, po których biegają wesole pieski i dobrzy panowie, pędzący pierwsi do purpurowo płonących chat, i naiwni

księży, witani przez tłum weselny z radością i prowadzeni do chat przy dźwiękach „Dąbrowskiego“. Jest jeszcze cały świat cichy, czysty, mający swoje szczęście i troski, dramaty nieszkodliwe i nie zdejmowane wdowie żaloby i krzyże nad polami, rozciągające miłosierne ramiona swoje. Tam są spojrzenia łagodne, spojrzenia madon Sassoferata i cisza zimnych wieczorów, wśród których szczebiocze mała dziewczynka, wyznająca swej niani gorącą i niezmienną miłość.

Ach, światy — nie unormowane i nie pociągnięte szklistą powłoką praw, a pokryte lepką tęczową patyną wieków i dobroci ludzkiej!

Ach, światy ciche i wonne, łagodne i szlachetne, dyśzące wonią bzów, jaśminów i grzęd liljowych matioli. Z czarem tych kwiatów łączy się delikatny szept doskonałych uczuć, które, jak cenne klejnoty, w sercach się przechowują! ..

.

Ach, światy! tak dalekie od Stuckowskich orgji — i hoteli pod złotą hjeną, z których wnętrza jęk albo krzyk się wydiera.

.

Krajewski wszedł do bramy hotelu i skierował się do izdebki portjera.

— Faktor gdzie?

— Na mieście... może pan poczeka.

Szybko Krajewski cofnął się z lepkiej, ciemnej sieni.

— Nie, nie.

Ruda broda mignęła w okienku.

— Może... ja... ja także znam gust pana dobrodzieja...

— Niel nie!

Uciekł, bo zatargało w nim coś we wnętrzu piersi.

— Jakież straszne... jakież ohydne... po co tu przyszedłem!

Przypomniał sobie jednak, że był czas, w którym był tu stałym gościem.

— Poszarpałem część życia w strzępy, i to najpiękniejszą, wtedy właśnie, gdy mogłem zbierać najświeższe, najcudniejsze wspomnienia...

— W tych jamach!..

Orkiestron wył jakąś polkę, chrypiał, pluł fałszywymi nutami. Wicher kołysał w oddali latarnią.

Aż jęczało od smutku i rozpaczycy życiowej.

Krajewski oczy przed siebie wbił, aby nie widzieć okien hotelowych, ziejących ku niemu, jak oczodoły plugawych bestji.

— A gdy przyjdzie czas, że nie pozostanie mi nic, tylko zasiąść wśród wspomnień, do czego się zwrócę? Do tego tu piekła?

Przesunął się właśnie koło bramy hotelu pod Lampartem. Z głębi sieni dolatywały nieludzkie wrzaski:

— Polikier!.. policjant!..

A potem:

— Mordują!..

I chargot, plucie słów, kołysanie się zgniłych światel.

Zupełna swoboda rozpusty, gwałtu i zbrodni.

W Krajewskim zaszemrały słowa Danta:

„A teraz smutno nam w tem czarnem bagnie.

Tu muł połyka, kto powietrza pragnie...”

Mu!l

Tak — tak!

Czarne cienie przelatywały po jamie bram, splecione, gniewne...

Jak straszno!

To-le-ro-wa-nel

Tak! tak!

Orkiestron rozwył się rozpacznie jakimś marszem.
Coś żałobnego tłukło się o ściany.

— Policaj!...

Znów krzyk.

I milczenie.

Tolerowane.

Krajewski wskoczył do tramwaju.

— Kobieta jest złem, z którym żyć nie można, a bez którego żyć także nie można! — zaśmiał się ironicznie.

Po dwoje, po dwoje, paramil

Jak papużki zielone, słodkie i ciche, zwane „nierozłączne.“

Oto jest przekleństwo tragiczne życia.

I dla nas, i dla nich!

.....
Tramwaj był pusty prawie.

Krajewski wszedł do wnętrza i osunął się ciężko na ławkę.

Był zmęczony dżdżem powietrznym i miał duszę jakby zmrożoną.

Patrzył tępo w szybę, po której płynęły cienkie strugi deszczu.

Myślał, że wróci do domu sam i smutny, że ciężko mu będzie i chłodno.

— Nie dla tego.. chciałem, ale bo mi ciężko... — tłumaczył się.

Ścigał leniwie w całość rozproszone jakby jakimś prądem oczekiwania cząstki swej zdolności myślenia.

— Kogóż miałem sprowadzić? dziewczę z jasną kosą, nieplamne i pełne serdeczności wytresowanej, a wyczekujące na męża, czy jaką Aspazję lub Pompadour'ę z aksamitką na szyi i owianą wonią róż.. Żadna nie wejdzie na próg mego „kawalerskiego“ mieszkania, nie zasiądzie u mego

stołu ani na kraju mego posłania... Pozostały mi hotele pod złotą hjeną.

Zachnął się.

— I byłem:.

— A prawda leży po środku. Tylko ją odnaleźć trzeba...

Skurczył się jeszcze bardziej. Miał dziwny sposób składania swego olbrzymiego szkieletu. Uosabiał zupełne zniechęcenie. Oparł brodę na lasce.

— Odnaleźć trzeba... — powtórzył sennie.

Naprzeciw niego siedząca pasażerka podniosła nagle opuszczoną nisko głowę i spojrzała nań.

Coś zabłąkitniało.

— Lecz gdzie znajdę kobietę, która chciałaby dla mnie być razem człowiekiem i zwierzęciem? Gdzie?

Siedząca naprzeciw niego dziewczyna ponownie spojrzała na niego i już tak ze wzrokiem utkwionym weń pozostała.

I on jakby się oczami w nią wpіл.

IX.

Patrząca na Krajewskiego dziewczyna napozór mało się wyróżniała z grzędy przeciętnie przystojnych twarzyczek.

Ciemna blondynka o włosach lśniących, o niskiem równo zarośniętem czole, cerze trochę zbyt różowej, brwiach silnie podkreślonych; rysach twarzy prostych, prawie regularnych, a mimo to dość pospolitych, trzymała głowę wyciągniętą w górę i podaną naprzód, co uwydatniało okrągłą linię jej szczęk i podbródka. Lecz co zastanawiało głównie w tej zupełnie gładkiej i młodej twarzyczce, to

świeżość skóry atlasowej, zupełny brak jakichkolwiek, charakter nadających zmarszczek.

Była to gładka biała kartka, na której ani jednego rysu sztylet tragiczny losu nie nakreślił do tej chwili. Tylko dwa dołeczki drgały leciuchno pod powłoką jasno-różowej skóry policzków. Ale i one w tej chwili zaznaczyły się ledwo, ledwo — niewyraźnie. Było w tem brak jakiejś głębi duchowej, lecz zarazem cudowne zrównoważenie i zadowolenie z tego, co dziewczyna miała w sobie i dokoła siebie.

Poza tem, zastanawiała jeszcze — szafirowa, cudowna barwa jej oczów. Był to kolor bławatkowy, modry, nieskażony. Oczy okrągłe, bynajmniej nie wabiące ukosem, ale tak prosto idące w serce, niosące jakby dar ze siebie samych i z tego, co zdziałać mogły.

Przytem — wiało od tej dziewczyny domem, cichem czemś, zamkniętem, co mają w sobie niektóre, nawet bardzo strojne kobiety. Pragnęłoby się je mieć w czterech ścianach domowych. Tam rozkwitają czarem sobie właściwym.

Są to kobiety *d'interieur* — kobiety wewnątrz.

I te są najwięcej kochane.

.
Dziewczyna o błękitnych oczach była ubrana bardzo skromnie, a nawet z pewnem zaniedbaniem. To wszystko, co miała na sobie, miało raczej cechę jakby narzuconej naprędce, a znoszonej odzieży.

Kapelusz niemodny, z rozfryzowaniem dużem piórem, przypięty był pośpiesznie i krzywo. Z pod kołnierza żakiety wysuwała się zawiązana niedbale żółta, trochę brudna wstążka. Tylko włosy były bardzo starannie uczesane i nawet o n d u l o w a n e.

W ręku trzymała spore zawiniątko, opięte w kawałek ciemnej satyny.

Siedziała spokojnie, pewna siebie, ale nie arogancka, i patrzyła na Krajewskiego.

On — również w nią patrzył się przeciągle i snuł jakby mimowoli komunał.

— Prawda jest w pośrodku.

Dziewczyna, patrząc na niego, zdawała się właśnie tkwić w takim „pośrodku“. Nie szarpała się, spokojna i cicha.

— Byłaby w niej p r a w d a?

Te błękitne oczy ogarniały go powoli jakimś miłym rozmarzeniem. Zdawało mu się, że promienieje z nich ciepło. Mimowoli uśmiechnął się.

Dziewczyna w lot mu ten uśmiech oddała.

I rozpromieniła się cała.

— Jak — słońce.

.....

Nie była to minoderja sprzedajnej lub rozpustnej. To było całkiem coś innego.

Zawiało od pól, od łąk.

W tę jesienną szarugę, w ten klekot tramwaju wpadł nagle poszum jęczmiennych, pszenicznych lub chlebnych mórz.

Z poza wierzb drżących i tajemniczych powstał poranek czerwcowy i rozróżnił się smugą przedziwnego blasku. Miłośnie objął ziemię, otulił ją ciepłym spokojem, zabłysnął tęczą, drżącą w kroplach rosy na koronkach traw.

Zapachniało od świeżo rozkwitłego jaśminu i lilji — rozstęskniły się ku słońcu grzędy irysów.

Cały wdzięk i krasa wonnych mórz.

Cały poranek!

.....

W uśmiechu tej dziewczyny, w błękitach jej spokojnych oczów.

.....

Krajewski wyprostował się, pogładził brodę, przygryzł usta.

Ona wciąż uśmiechała się mile i słodko.

A w nim budziło się pragnienie, aby już nie zatracić tego poranku, który w tej ohydzie błotnistej ku niemu się zjawiał.

— Pochwyć ją... powiodę ze sobą.

Naciągnął jednak mimo wszystko kołnierz palta mocą nałogu.

— Kto być może? Szwaczka. Niesie w rękę zawiątko z jakąś suknią lub stanikiem. Odnosi robotę. To widoczne.

Otakował jej odzież. Znał się na tem. Ileż już tych biednych bluzek przesunęło mu się przez ręce, bluzek przepoconych, zwiędniętych w atmosferze pracownianej pod światłem lamp lub gazu.

— Staniczarka co najwyżej, a może od spódnic. W każdym razie niedawno pracuje. Jeszcze wdzięczna i świeża... I oczy takie jasne.

Obejrzał się.

Nikogo nie było w tramwaju, tylko ich dwoje i jakiś staruszek zaczytany w gazecie. Krajewski patrzył ciągle na dziewczynę, i jakiś sentyment zaczął go ogarniać. „Coś” — domowego, co od niej płynęło falą ku niemu, biegło i przejmowało go dreszczem.

— Gdyby ją mieć u siebie... gdyby... jak byłoby inaczej, jak byłoby miło... Lecz — choć się uśmiecha, coś innego, lepszego od niej bije. Tak, tak. I kto wie. Może to jeszcze niewinne dziecko, może. Jest w niej coś jasnego, prawie dziecinnego...

Ogarnął go na tę myśl żal. Gdyby tak było, musiałby pozostawić ją w spokoju, wyrzec się jej. Byłaby dla niego stracona.

— To głupie, nie wiem, jak z nią zacząć.

Nagle zauważył, że dziewczyna gotuje się wysiąść. Porwał się i usiadł obok niej.

— Panienka wysiada?

Roześmiała się cichym dziecięcym chichotem.

— Panienka wysiada?

— Przecie mnie nie wyniosą.

Sposób wymawiania słów był trywjalny. Otwierała szeroko usta, ale głos jej był przedziwny, łagodny, miękki wkładał się do duszy.

— Ja panienkę odprowadzę.

Znów zachichotała.

— Czy można?

Powstała i ukłoniła mu się lekko.

— Proszę!

Była wysoka i szeroka w plecach. Resztę krył długi, puszczone żakiet.

Wyszli z tramwaju. Podał jej przy wysiadaniu rękę. Była bez rękawiczek. Ale rękę miała miękką i gładką. Przytrzymał jej rękę w swej dłoni. Nie opierała się. Poszli tak, trzymając się za ręce.

Czarowała go tą uległością, tym brakiem minoderji zwykłej w takich razach lub wyzywającej arogancji prostytutki.

— Co panienska niesie? — zapytał.

— Coś.

— Proszę dać. Ja poniosę.

— Nie. Jeszcze pan zgniecie.

— To bardzo delikatne?

— Pewnie. Koronkowa bluzka.

— Dla kogo?

— A dla mnie!

Roześmiał się.

— Gdzież się panienska w nią ubierze?

— A na szansy... do Colosseum.

Śmiała się. On także.

— Ale żart żartem. Niech panienka powie, gdzie odnosi robotę? Na którą ulicę? daleko? Ja odprowadzę... a potem...

— Hil hil hil...

— Cóż to zabawnego?

— Hil hil hil...

Aż się zanosila.

Migała mu się w świetle latarni różowa i biała.

Deszcz przestał mżyć — a Krajewskiemu zdawało się, że nawet jest bardzo piękna pogoda. Dawno nie czuł się w takiej werwie i nastroju.

— Panienka wesoła.

— Czego mam być smutna. Żli ludzie są smutni!

— Może.

— No, więc daleko panienka idzie? Bo, jak panienka nie śpieszy, to...

— To co?

— To może wstąpimy do cukierni, na czekoladę.

Spojrzała na niego i pokręciła głową.

— Kiedy ja nie głodna.

— Ale... skoro się napracowało cały dzień, to jeść się chce.

— Hil hil hil...

Dziwił się, że chichot jej nie denerwował go. Przeciwnie, łaskotał go mile i nie był mu obcy.

— No więc co — pójdziemy?

Spowaźniała nagle i stanęła na chodniku. Smuga jasnego światła biła na nią ze sklepu. Pióro od kapelusza powiewało, rzucając na jej twarzyczkę podłużne cienie.

— Ja pójdę z panem, bo mi się pan podoba, ale musimy tam pójść, gdzieby nas nikt nie widział.

Ucieszył się.

— Dobrze, dobrze. Panienka się boi?... Panienka ma ojca? matkę?

Milczała.

— A... może narzeczonego?

Wzruszyła ramionami.

— Gdzie zaś.

— No to chodzi o ludzi?

Znów milczała.

— To wie panienka...

Głos mu drżał. Sam nie wiedział, dlaczego był jakby wzruszony.

— To... wie panienka. Najlepiej chodźmy — do mnie. Kupimy po drodze ciastek, ugotujemy herbaty ..

— Hi! hi! hi!...

— Tam nas nikt nie zobaczy. Co? Chce panienka?

Bardzo prosto — bez żadnych min i grymasów ujęła go pod rękę.

— Dobrze.

I poszli.

X.

— Panience na imię?

— Frania.

Byłby się zadziwił, gdyby powiedziała inne imię. Tak do niej ta Frania pasowała. A mimo to przykro mu się zrobiło. Kilka już Franek przesunęło mu się przez ręce. Zwłaszcza wtedy, gdy był gościem częstym pod Antylopą, co chwilę jakaś Frania pojawiała się przed nim.

— A ja panienkę inaczej jakoś nazwę.

— Jak?

— Jeszcze nie wiem.

Siedział naprzeciw niej i patrzył na nią z rozkoszą. Była młodością, jasnością, życiem. Aż ciepło biło od niej, ciepło prądów ożywczych i silnych. Rozebrana z zakietu, w bluzce lekkiej muslinowej, bez gorsetu, zachwyciła go kształtem cudownym piersi, podnoszących tkaninę stanika. Były młode, dziewczęce, jak dwie odwrócone kruże. Reszta ciała zaznaczała się gibko, ale dość rozrosłe. Był to i kby materiał na matkę, na taką, która kołysze na kolanach śpiące dziecko w połączeniu z wdziękiem jeszcze dziewczynki, garnącej ku sobie odnalezioną pozostałą gdzieś z dzieciństwa lalkę.

Siedziała na otomanie wdzięcznie, trochę leniwie, kołysząc się lekko. Obie ręce położyła na kolanach, wyciągnęła nogę, obutą w bardzo ładne nowe lakierowane buciki. Noga była dość duża, ale wązka i długa. Ręce miała prawie inteligentne, nawet inteligentniejsze, niż uśmiech i wyraz całej twarzy. Bo głównym jej czarem była ogromna moc kobiecości i dobroci wrodzonej, a nie wymuszonej siłą faktów.

Krajewski wdzięczny jej był przedewszystkiem za niebanalne wejście. Dopomogła mu zapalić lampę i nie zadziwiła się ubóstwem jego interieur'u. Nie pytała, jak inne:

— U pana niema firanków?

Nie wydymała ust, lecz odrazu znalazła się jakby w dawno jej znanem *milieu*. Widząc, że Krajewski woła stróżkę, powstrzymała go.

— Po co?

— Nastawi samowar.

— Na co? Widzę tu maszynkę, kakao. Ugotuję. Umieć doskonale... To pożywniejsze.

Zaczęła mu się przypatrywać.

— Taki z pana chudziak, powinien pan jeść dużo i dobrze!

Zakrzętnęła się — rozpałała ogień pod rondelkiem i pochwyciła pusty dzbanuszek.

— Jaksmy szli, widziałam grajzlernię, pójdę i kupię mleka.

— Ale ja sam...

— Hił hił hił

— ?

— No — pan patrzy na jakiego hrabiego i mlekoby nosił. Ja polecę przez kapelusza i będzie.

Rzuciła to przez znaczące i równocześnie zrzuciła kapelusz. Odkryła głowę zgrabną, troszkę oszpeconą modnym nad czołem fiokiem.

Gdy wróciła, Krajewski ożywiony, rad — czekał na nią koło drzwi. Chciał odebrać z jej rąk dzbanuszek.

— Ale... jeszcze pan rozchłapie.

— Dziękuję paniencie.

— Za co? Żeby tak w śródmieściu, tobym tak we wło s a c h nie poszła, ale tu na odludziu.

Teraz — siedzą oboje naprzeciw siebie. Wypili kakao, zjedli ciastka. Dobrze im, i Krajewski nie ma najmniejszej ochoty przerwać tej jakiejś dziwnej sytuacji. Ona — także jakby zapomniała, jakby nie wiedziała, że może być inaczej, że mogą, a nawet może powinni zbliżyć się do siebie w gorętszym uścisku.

— Pan kto taki?

— Urzędnik.

— Przy czym?

— Przy podatkach.

— To cholerne. A pan co robi?

— Piszę.

— Ja myślałam, że pan po ludziach chodzi i odbiera egzekucje... To strach, jak takiego ludzie klną. Taki to i poduszki z pod głowy wyciągnie..

— A gdzie panna Frania widziała taką egzekucję?

— Hi! hi! hi!

— ?

— Ale ja zaraz myślę, że to na pana ani patrzy. Gdzież, pan taki ma pański wygląd, a taki to jak hycel... Przeciągnęła się, wyprostowała.

— A pan myśli, że ja kto? — zapytała po chwili, mrużąc oczy.

— Szwaczusia...

— Hi! hi! hi!... z pana to numer. Pan zaraz poznał. Wziął ją za rękę. Palce miała gładkie, nie pokłute.

— Ale dlaczego Frania niema paluszków pokłutych? Odparła natychmiast:

— A bo teraz w porządnym szwalniach to panny mają takie ochraniacze na wszystkie palce, żeby sobie nie dziurawiły skóry...

— To dobrze.

Pochylił się do jej rąk i zaczął je całować. Przyłgął do tych miękkich, ciepłych dłoni kobiecych z całą rozkoszą. Poczuł tylko, że jakby przez chwilę chciała je cofnąć, ale pozostawiła je, tylko oparła się o poduszkę sofy

— Dobrze Frani tu! — wyrzekła jakimś pieszczonym głosem.

Oparł głowę na jej kolanach i pozostał tak. Czekał, że mu zacznie teraz opowiadać „swoją historję” i był na to zrezygnowany. To zwykle należało do programu.

Lecz ona milczała.

Powiedział więc, nie odrywając głowy.

— Niech mi Frania powie co o sobie.

Milczenie.

— No, skąd Frania, kto Frani rodzice, czy Frania miała już kogo...

Milczenie.

— Czy Frania...

Niechętnie przerywa.

— Na co to? Najlepiej nie gadać, siedzieć cicho, bo wtedy człowiek nie grzeszy.

— ?

— No tak. Bo jak gada, to kłamie.

Powiedziane to było prosto, szczerze, a przecież Krajewskiego ziąb przeszedł.

— A Frania także jak mówi, to kłamie?

— Hil hil hil ..

— Niech Frania odpowie.

Milczenie.

.

Krajewski nie odrywa głowy od rąk, od kolan dziewczyny, a czuje, że w chwili, gdy ona milczy, niema jej przy nim.

Ucieka, ginie w przestrzeni. Chciał podnieść głowę, spojrzeć Frani w oczy, lecz zdejmował go jakiś lęk, że zobaczy coś, co spłoszy urok tej chwili.

Nagle dziewczyna, która nieruchoma zdawało się, że stężała w tej ciszy, wyprężyła się i wstrząsnęła.

— Która godzina?

— Nie wiem...

— Bo, jak ósma, to ja pójde.

— Gdzie? do domu?

Milczenie.

— Odnieść robotę? A co jest w tem zawiniątku?

— Bluzka, już mówiłam.

— A dla kogo?

— Dla jednej takiej...

— Jakiej?

— No... pan wie. Ona ma iść do Colosseum, bo tam będą tacy, co ją zamówili, i potem będzie heca.

Krajewski podniósł głowę i patrzył prosto w oczy Frani sennym, zamglonym wzrokiem.

— Niech Frania da tę bluzkę, a ja ją odeślę przez moją stróżkę.

— Hil hil hil

— ?

— Nie można. Ja sama muszę odnieść.

— Kiedy ja nie chcę, żeby Frania t a m chodziła.

— Ja jutro znów do pana przyjdę.

— Mnie chodzi o to, żeby Frania do takiej byle co nie chodziła.

— Al...

Spowaźniała nagle. Oczy jej pociemniały. Przygryzła wargi. Utkwiła żrenice w lampę.

— Pan t a k i c h nie lubi?

Krajewski aż splunął.

— Fel... fel...

Frania wciąż patrzyła w lampę.

— Może pan bez taką miał jakie zmartwienia? może pan się przechorował albo pana okradła?

Krajewski porwał się i zaczął chodzić szybko po pokoju.

— Tak! — zachrypiał nagle — okradła mnie taka, ale ze wszystkiego, co miałem najlepsze, Franiu.

— Zegarek panu złoty wzięła?

— Nie. Ona mi wzięła złudzenie... rozumiesz, Franiu, złudzenie lat młodych. Rozumiesz?

Patrzyła mu prosto w oczy z pod brwi ściągniętych.

— Szczęście, że się otrząsnąłem, że teraz wstręt, pogardę dla takich czuję. Za nichym takiej nie chciałem. Jak się która zbliży, to pędzę, jak psa.

Dziewczyna opuściła głowę na piersi i zdawała się myśleć chwilę.

— Kiedy pomiędzy niemi są bardzo dobre dziewczyny! — zaczęła.

— Bóg z niemi — przerwał jej Krajewski — każda z nich jest zbrodniarką, dlatego że jest—przez to samo, że jest..

— Ona może tak, bo biedna.

— To kłamstwo. Ot Frania. Ładna, młoda, a przecież pracuje, moje biedactwo.

Porwał ją za ręce, pociągnął ku sobie. Nie opierała się. Całował ją w brodę, w dolki twarzy, w oczy.

Jakiś zimny metal nasunął mu się pod wargi. Dopiero teraz dostrzegł, że dziewczyna miała w uszach jako kolczyki duże grube złote pieniądze.

— Jakie masz dziwne kolczyki... — wyrzekł.

Ale ona, śmiejąc się, szybko zasłoniła uszy rękami.

— To nie złote, to z blachy...

— Pokaż!

— Nie trzeba...

I w tej chwili jakby przełękła się, aby nie przypuszczał, że boi się powierzyć mu swoje kosztowności.

— Uszy mnie bołą, jak się je wyciąga.

Uwiesiła mu się teraz u szyi. Tuliła się miło, jak kotek.

— To... pan ma zawsze tylko uczciwe dziewczęta?

— Zawsze!

— Al...

— Dowód, że mi się Frania odrazu podobala.

— Kiedy ja się do pana śmiała w tramwaju.

— Tak. Ale to inny uśmiech. Frania ma w sobie uśmiech taki, jak małe dziecko.. aż promień jakiś od ciebie bije...

— O! o!...

Patrzył na nią z lubością, jak mu tak blisko twarzy rzucała całe snopy rozkosznej, miłej, lubej świeżości. Zdawało mu się, że to jeden pęk kwiecica, w których drży promyk porannego słońca.

- Ja wiem, jak Franię będę nazywać!
 - No — jak?
 - P o - r a n - k i e m !
 - Dobrze!
-

XI.

Podobała się jej ta nazwa. Położyła mu głowę na ramieniu i powtarzała:

— Poranek!... Poranek!...

A potem dodała:

— To śmieszne, bo to jakoś po lutersku, nie po katolicku, ale to ładnie...

Uśmiechnęła się.

— A takiej świętej to niema?

— Do tej pory nie. Ale ty będziesz taka święta.

Odsunęła się od niego ze zgrozą.

— Ja?

— Ty! A imieniny twoje to będą zawsze, kiedy raniem słońce wschodzi.

Klasnęła w ręce.

— No to będę miała dużo prezentów. Wszyscy będą mi musieli dawać prezenta.

— Nie wszyscy. Ja.

— Ale nie. Wszystkobyś przezemnie stracił.

— Niewiele co jest.

Obejrzała się.

— Nie — tu bardzo miło, tylko brudno. Ja tu przyjdę jutro i zrobię porządek. A wiesz, jak ty się będziesz u mnie nazywał?

— ?...

— Tatuńcio!

Ogarnęła go pewna melancholja. Wspomnił na swą twarz zmęczoną i bladą. Lecz ona już, przedziwną intuicją wiedziona, odczuwała jego myśli.

— Nie dlatego żeś stary, bo ty jesteś młody — podjęła — ale dlatego będziesz tatuńcio, bo jesteś mój ojciec chrzestny. Ochrzciłeś mnie na poranek..

Popatrzyła mu w oczy i dodała:

— A może pan nie chce.

Pochwyił ją znowu i usiadł. Osunęła mu się na kolana. Przyłgnęła całą, ciepłą i miłą.

— Ty jesteś jakiś dobry tatuńcio dla kobiet, podobasz mi się.

— A ty mi się podobasz, Poraneczku, i bardzo cię kocham.

Odwróciła głowę, jak mały ptaszek, który posłyszał jakąś ciekawą piosenkę.

— Tak zarazi

— Ja ciebie już dawno kochałem.

— Ty mnie znałeś, Tatuńciu, gdzie?

Zmarszczyła brwi, odchyliła głowę.

— Wszędzie, ciągle.

— Ja bardzo mało chodzę.

— Poranku, nie o chodzenie się tu rozchodzi.

— To może...

— Nie... nie... nie szukaj. Nie domyślisz się. Potem zrozumiesz. Ty tu już byłeś nieraz.

— Tu? nigdy! Jak Boga kocham.

— Tu i wogóle tam, gdzie ja byłem. To jest, gdzie była moja tęsknota.

Sądził, że wybuchnie swoim „hił hi.“

Tymczasem ona, nie zmieniając pozy, wyrzekła jakby z przechwałą:

— A ja to, Tatuńciu, zrozumiałam!

Ucieszył się całą duszą.

— Moje tyl... Moje tyl...

Ona znów oczy przymknęła.

— Jak ty umiesz z kobietami.. bardzo jesteś miły.

Gładziła go ręką po włosach, po brodzie i potem pół-sennie wyrzekła:

— A jak ci to przyjemność zrobi, to niech twoja stróżka odniesie ten stanik.

Ucałował ją gorąco.

— Tak! tak! — wyrzekł — im dalej będziesz od błota i od zepsucia, tem lepiej dla ciebie.

I zaraz dodał:

— A ty zostaniesz na noc.

Pokręciła głową.

— To nie. Ale wiesz co, Tatuńciu, mnie coś dziwi.

— Co?

— Niby tak dbasz o mnie, żebym ja się nie schodziła z takimi, a chcesz mnie u siebie na noc zostawić. Przecież to też świństwo.

Zatrzymał się przy drzwiach, bo szedł po stróżkę, trochę zbity z tropu jej uwagą.

— To, widzisz, co innego. My się kochamy, a tamta za pieniądze...

— Może!

Położyła się na otomanie, wyciągnęła i zdawała pogrążona w myślach.

Tymczasem do pokoju weszła przywołana przez Krajewskiego Romanowa. Stała w progu i nienawistnem wejrzeniem obrzuciła Frankę. Żal i rozpacz matki, wyjącej nad upadkiem dziecka swego, koncentrował się w tej wzgardzie i nienawiści, z jaką Romanowa patrzyła zawsze na szalejące dziewczęta.

Krajewski oddał jej stanik i zwrócił się do Frani po adres.

— Gdzie ma odnieść?

Milczała chwilę, wreszcie rzuciła:

— Lyczakowska 203, parter. Niech odda stróżowi, bo tej pani w domu nie będzie, i niech powie, że to dla panny Ireny.

Gdy stróżka wyszła, Frania nagle zadarła w górę nogi.

— Hi! hi! hi! — śmiała się, jak szalona.

Krajewski usiadł przy niej.

— Z czego się śmiesz? — zapytał, niemile jakoś tym śmiechem dotknięty.

— Śmieję się... bo mi wesoło!...

— Nie, nie dlatego. Śmiesz się jakoś inaczej.

— Niedobrze?

Przestała się nagle śmiać, spoważniała i leżała teraz spokojnie, patrząc znów w światło lampy.

Krajewski obserwował ją z lubością. Wydawała mu się coraz ładniejsza i pełna wdzięku. Nie mógł się nasyć jej widokiem i tą myślą, że wreszcie jest w jego domu... kobieta.

— O czym ona myśli? — zastanawiał się mimowoli — jest dziwna w niej komplikacja. Zrozumiała, co mówiłem o tęsknocie. Będzie wyczuwać mnie.. Jakaż radość! Będzie subtelna i wrażliwa. Jeżeli jeszcze będzie zmysłowa, będzie to harfa siedmiostrunna. Ale o to ostatnie mniejsza. Niech tylko się dusza moja przy niej grzeje, niech się do niej przytul!

A ona, jakby nagłą potrzebą mówienia zdjęta, zaczęła szybko opowiadać.

— Ta panna Irena to bardzo porządna, choć taka. Wierz mi, Tatuńciu...

— El dość to imię Irena.

— Dlaczego? brzydkie?

— Nie. Ale nie jej własne.

— A skąd wiesz?

— Bo one wszystkie zmieniają imiona. To pewnie jaka Piotrusia albo Weronka, a nalepiła na siebie — Irena...

— A czy to grzech?

— Nie grzech, ale głupie,

— Kiedy ona musiała, bo inaczej to nie miałyby powodzenia. A tak jest jej dobrze. Ma taki pokój, jak twój, z osobnym wchodem. I z meblami, i z opałem. Obiadów nie je, bo się zawsze tak na kolację naje, że już więcej jeść nie może. Tylko kawę jej stróż czasem przyniesie. I ma bieliznę bardzo śliczną. A już to — to ma bardzo ładne... Koronki i także czarne batystowe ze wstawkami... pończochy ma półjedwabne i halki i kostjum angielski. Ma dużo.

— Skądże ty to wiesz?

— Ja, Tatuńciu? A no... odnoszę jej przecie robotę, bo ona się dawno u mojej pani ubiera. Ona jest bardzo ze mną grzeczna, daje mi zawsze pieniądze i częstuje likierami. Jak Boga kocham!... Tatuńciu, nie wierzysz? Jak Boga kocham! U niej likierów dużo, bo musi mieć dla swoich przyjaciółek i dla panów czasem...

Zamknął jej usta pocałunkiem.

— Bóg z nią! Od tej chwili Frania tam więcej chodzić nie będzie. Ja o to proszę. Mów mi lepiej co o sobie.

— No co?

Gdziesz ty mieszkasz?

— El daleko...

— No.. ale...

— Na Zamarstynowie... Tak... tak...

— Sama?

— Nie... przy familji.

— A któż to?

— Ta familja?

— Tak!

— El.. takie sobie.

— No, ale kto?

-- Ot... takie ludzie.

Porwała się, zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła go całować.

— Tak! tak się całuje Tatusia, w oczy, w nosek, w uszki...

Owinęła go siecią pocałunków i pieszczot.

W nim krew zagrała.

Opuścił rękę, zdawało mu się, że napotkał jedwab.

— Co to? jedwabna halka?

— Ale nie! to satyna! zacisnęła dokoła nóg spódnicę i porwała się z otomany.

— Nie! nie dziś, Tatuńciu... ja tu jutro przyjdę umyślnie... zresztą ja muszę i tak iść...

— Nie! nie! zostań!

Cofnęła się aż pod ścianę i wyprężyła ręce.

— El ja myślała, Tatuńciu, że ty inny, a ty taki sam jak wszyscy. To pfuj... to nieładnie.

Opamiętał się i prawie ucieszył. To, że mu się opierała, w jego oczach dowodziło jakiejś wstydlivosti z jej strony.

— No już nie... nie... — wyrzekł uspokajająco — poczekam do jutra. Siadaj. Zapalę papierosa.

Wyciągnęła rękę.

— Co i ty palisz?

— Aha!

— Nie trzeba. Dla kobiety to brzydko.

— El tyle pali.

— To takie tylko. A kto cię nauczył?

— Ktoś.

— Pewnie panna Irena.

— Hi! hi! — zgadł Tatuńcio.

— A no widzisz, Poranku! Taka Irena to pali, bo

jej to przystoi. Ale takiej słodkiej dziewczynce, jak Frania, to nie uchodzi... Siadaj koło mnie.

Ale ona zaczęła kręcić się niespokojnie.

— To która godzina?

— Co ci do tego?

Ktoś zaczął walić we drzwi. To wracała Romanowa. Stała w progu zmoczona i wściekła.

— No co? — zapytał Krajewski.

— No co? oddałam.

— Nie było tej pani w domu?

— Niel

— Możecie iść.

Ale Frania porwała się z miejsca.

— Proszę was za drogę!

Wsypała Romanowej trochę w dłoń monety. Uczyniła to z pewną ostentacją.

Stróżka natychmiast spokorniała i niejako się zwinęła.

— Całuje rączki panience!

Wyszła.

— Dlaczego jej dajesz pieniądze? — zapytał Krajewski — ja jej już dałem i za drogę, i na tramwaj.

— Ja zawsze daję za drogę! — rzuciła Frania — taki już mój zwyczaj. Taka potem skłnie i jeszcze powie co w złą godzinę, i to się do człowieka jeszcze czepil...

— Co też ty mówisz?

Zakręciła się po pokoju.

— Muszę jeszcze pomyć naczynia! — wyrzekła, zakasując rękawy u bluzki.

— Ależ zostaw, Romanowa to zrobi.

— Niel nie! my naświnili, my sprzątniemy. Raz — dwa — i będzie fertig.

Z wielką wprawą, czysto, szybko pomyła szklanki, łyżeczki, maszynkę.

— E c c o ! — krzyknęła nagle trymfując.

Krajewski się zdziwił.

— Cóż to, mówisz po włosku?

— To jest po włosku? a ja myślałam, że to co żydowskiego.

— A skąd to umiesz?

— A od ludzi.

— Jacy?

— Ta na dwóch nogach i bez rogów na głowie.

Porwała za kapelusz.

— Całuję rączki Tatuńciu, idę.

— Ja cię odprowadzę.

Twarz jej przybrała wyraz serjo. Zmarszczyła brwi.

— Nie chcę.

— Dlaczego?

— Bo... ni!...

— Gdzież ty idziesz?

— Do pracowni.

— Teraz?

— Tak... mamy dziś nocne szycie. Pani kazała wrócić...

— Długo tam będziesz?

— O! długo! Dobranoc, Tatuńciu!... Jak się z miejsca poruszysz, to jutro nie przyjdę.

— Porankul...

— Pa, Tatuńciu!...

Ucałowała go gorąco.

— Pa, jutro po obiedzie.

— Jakże? przecież jesteś w pracowni?

— Al prawda! to lepiej nad wieczorem, o siódmej.

Zrobię znów kakao!

Wziął ją w objęcia.

I znów odczuł wrażenie, że garnie ku sobie bukiet świeżych kwiatów, tak mu zajaśniało i zapachniało w piersi.

— I... zostaniesz?

Podniosła ku niemu oczy-chabry. Cały prąd ciepła wewnętrznego i lubości spłynął w jego źrenice.

— Zostanę, Tatuńciu!

XII.

Przyszła, ale nie została.

Przyszła i od progu Krajewski poznał, że przychodzi chętnie, że pragnie módz przyjść, tak jak on pragnął jej przyjścia. Po jej wyjściu wczoraj wieczorem nie poszedł według zwyczaju na kolację, pozostał w domu i długo czytał. Ale mu nie szło. Odłożył na bok książki i patrzył w sufit. Pełno było wokoło niego tej dziewczyny.

— Poranek! — wyszeptał.

Przypomniął sobie słowa świętego Cypriana.

— Precz od nas ten mór, ta zaraza, ta ruina tajemna! Jej forma kryje w sobie grzech; to z niej powstała konieczność śmierci. Związek z kobietą jest źródłem wszystkich zbrodni; to lep zatruć, użyty przez diabła dla zwabienia naszych dusz. Związek z kobietą jest czemś potwornem...

Zaczął się śmiać.

— Chorobliwie śmieszne. Poranek taki, użyty przez diabła i źródło wszystkich zbrodni. Zresztą mniejsza, byle wróciła.

I cały dzień następny był niespokojny, czy wróci. Po południu parę razy przeszedł koło pracowni na Ossolińskiej ulicy. Nad wieczorem sprzątnął w swym pokoju, kupił ciastek, starając się wybierać te, które jej smakowały. Przedtem ogolił się, odział staranniej.

Gdy wszystko było gotowe, ogarnął go znowu lęk. Może nie przyjść.

Zdawało mu się, że go coś w sercu na tę myśl zabiło.

— Śmieszne! — pomyślał — przecież nawet mi się jeszcze nie oddała, a tak mnie wzięła.

Złakł się i starał się uspokoić.

— Skoro nastąpi to, co ma być, to już nie będę tak za nią ginał...

Siedział na sofie z wyciągniętą szyją, zdenerwowany i palił papierosa za papierosem. Przed siódmą zaskrobała do drzwi Romanowa.

— Może panu co potrzeba?

— Nie, nic... może potem.

— A ta... panienka nie przyjdzie?

— Co Romanowej do tego?

— Nic. Tylko ta to mi się podobała. Jakaś do ludzi podobna i grzeczna.

Krajewski się uśmiechnął.

— Prawda? to bardzo porządna dziewczyna.

Romanowa wzruszyła ramionami.

— No... to znowu insza inszość. Widać, że nie ostania... a jak porządna to dla niej gorzej.

— ? ..

— No... bo pan z niej łajdaczkę zrobi.

— Ja?

— A no. Czegóż ją tu pan przywłókl? Na gadanie pacierzy, czy może się pan z nią ożeni? Na łajdactwo ją pan przywłókl i tyle. Jak ją pan dobrze rozpuści, to będzie pan miał jej dosyć i wyrzuci ją pan... albo ona od pana ucieknie...

— No... no...

Romanowa wbiła w Krajewskiego swe mętne źrenice.

— I tak pan z takimi grzechami furt po świecie chodzi. To aż zgroza.

— Dobrze. Tylko niech Romanowa będzie w domu, bo mogę was potrzebować. Trzeba będzie coś na kolację przynieść.

Romanowa obrzuciła wzrokiem pokój i ciężko westchnęła.

— Biedna!...

Krajewski aż się zachnął.

— Co też Romanowa? Wzdycha jakby na pogrzebie.

— Ja tak wzdycham, jak mi każe macierzyńskie serce, jakby nad własną córką.

— No.. już idźcie.

— Idę.

Cofnęła się w głąb sieni, gdzie ledwo ledwo majaczyło małe światełko wysoko zawieszanej lampy.

— Że też się pan wielkich paniów nie czepi — charakała z ciemności — to choć nawet zgrzeszy, to pieniędzmi wymani sobie rozgrzeszenie. Nie tak, jak nasze dziopy.

Krajewski drzwi zamknął i zaczął chodzić po pokoju. W piecu palił się ogień, i drzewa trzaskały wesoło. Na stole w szklaneczce stała wiązanka kwiatków.

— Czemu się pan wielkich paniów nie czepia...

Nie przyszło mu to do głowy do tej chwili. Te bardzo ściśnięte w gorsetach, ze skórą pysznie utrzymaną, ubrane strojnie, a zwykle nie posiadające linii, te niedostępne, a łatwo przystępne, niosące swą duszę w głębi czaszki, a rozwiewające stereotypowe uśmiechy wachlarzami o długich strusich piórach, te w gazach, bramowanych kosztownymi futrami, lub w boach z gronostai, obejmujące miłośnię ich smukłe, opięte w perły szyje. Były one dlań żywymi obrazami, zjawiającymi się pomiędzy północą a braskiem na tle gobelinów, palm, lub świeżo wykończonych panoram. Lecz myśl, że taka kobieta mogłaby być przez

niego tak oczekiwana, jak pierwsza lepsza dziewczyna, że taka kobieta mogłaby wejść tu, zarzucić mu ręce na szyję, podać usta do pocałunku, a potem prężyć się, wić, konać i odżywać w jego objęciach — nie przyszła mu nigdy do głowy. Bywał w karnawale dużo, bywał wszędzie, gdzie bawiono się, dzięki swemu „dobremu“ pochodzeniu, pięknej powierzchowności i dziwnemu czarowi towarzyskiej inteligencji, jaką do siebie wносił. Ale to było wszystko. Miły towarzysz do przesiedzianego kadryla, pożądany przy kolacji, odchodził do swej pustki, jakoby od kohorty manekinów, rozwiewających się ze skończeniem karnawału w dal.

Nie był ani wodzirejem, ani fikalskim. Był to *causeur* niezwykły, coś z lepszej części życiowej, wiodący ze sobą całe gromady wrażeń, które stroiły takie zebrania jak grona światła lub pęki kwiatów, rozrzuconych po kątach.

On poddawał się tej roli, rad, że znajduje często bardzo wrażliwe, o napiętych nerwach słuchaczki. Świadomość jego stawała się wtedy nadzwyczaj czujna i jasna. Jak z klombu rozpachnionego o nocy upalnej i księżycowej, wybierał to, co mogło być odczute i znaleźć oddźwięk w jego partnerce, i podawał jej ten kwiat i powoli, jak wstęgę złocistą, tak rozwijał swe myśli, starając się wzbudzać, o ile możliwości, niezaspokojoną ciekawość, tęsknotę. Starał się uczynić duszę tej, która go słuchała, podobną do owej Shellejowskiej dziewczynki, która leży uśpiona, a przecież niespokojna wśród kwiatów.

I były to dla niego przesłodkie i wonne chwile, w której kobieta stawała się dla niego niecielesną, bo istotą, utworzoną z pierwiastka. Raczej była dlań jakąś czarą o przepysznych kształtach, okoloną kwiatami, w którą mógł powoli sączyć piękno, czy to ze strumienia sztuki, czy filozofii życiowej, czy nawet miłosnych, prawie zawsze tragicznych zagadnień.

Gdy piersi kobiety falowały rytmicznie, on nie pożą-

dał dotykać ich wargami, lecz widział w nich tylko puls życia i to przelewanie się myśli przez niego budzonych, razem z płynącą w tych delikatnych żyłach krwią. Były mu te chwile nad wyraz cenne i drogie. Nikt według niego nie umiał tak słuchać, jak kobieta, i to kobieta, wydelikaccona w szkole słuchania. Czuł, że nic nie pada w głuchą próżnię, bo, dobierając myśli i słów, o czędział sobie tego bólu, jakiego doznawać muszą ludzie nawołujący echo, które im nie odpowiada.

Tych chwil nie pozbyłby się nigdy, za żadną cenę. Wybrał je z życia, wydarł niejako, jak drogocenne kamienie z wnętrza czarnej, cuchnącej kopalni.

— Dlaczego pan się wielkich panów nie czepli... — powiedziała przed chwilą Romanowa.

— Oto dlatego... oto dlatego...

.

Zastukał ktoś leciuchno we drzwi.

Stał jakby zdziwiony. Odbiegł na chwilę myślą od Frani, od Poranka.

Z całą forsą przypomniał sobie, na kogo czeka, i po co ta dziewczyna tu przychodzi.

Lecz gdy otworzyła drzwi, gdy wsunęła się miła i uśmiechnięta, uczuł, że pragnienie posiadania jej, zatrzymania przy sobie było równie silne i pełne, jak poprzednio.

— Poranku!

Wyciągnął ręce. Uwiesiła mu się u szyi.

— Tatuńciu!

Była tak ubrana, jak wczoraj, tylko zamiast bluzki miała pod żakietem matinkę luźną, ozdobioną koronkami. Matinka była nowa, różowa i trochę trywialna.

— Widzisz, kupiłam umyślnie! — powiedziała zaraz, pokazując mu ów kaftanik.

On uśmiechnął się wesoło.

— Poranku! po co? ty i tak dla mnie zawsze cudna.

— Nie, nie. Nie miałam w czem do ciebie przyjść. Wszystko mam nowe. Jeszcze nie uprane, ale nie kupione u Żydów, więc niema strachu, żeby się co czepiło...

Ogarnęło go rozrzewnienie na myśl, że ta biedna szwaczka wydaje ze swej ubożuchnej pensyjki pieniądze, aby mu się przypodobać.

— Poranku!

Zamknął ją w swych ramionach. Zrodziła się w nim żądza, ale jakaś inna, zmieszana z sentymentem. Delikatnie powiódł Franię do otomany.

— Siadaj, dziecińko!

Zesunął z jej ramion różowe okrycie, i wykwitła nagle ku niemu trochę ciężka w połączeniach, ale bardzo dziewicza. Zwłaszcza skóra jej, od szyi począwszy, była delikatna i śnieżno-biała. Zapach od niej szedł młodości i czegoś, połączonego z wsią, z wonią skoszonych traw lub kładzionych świeżo snopów.

— Poranku!

Przysłoniła oczy rękami. Oddała mu ręce, usta, piersi — całą siebie.

Wielkie milczenie zaległo pokój. Oboje pili, zda się równocześnie, z kielicha rozkoszy. Tylko kobieta kornie i z poddaniem się, jakby przystępowała do czegoś, co jej się nie należało, co do tej chwili właściwie było przed nią oddalone i przez to samo nawet nie pożądane.

XIII.

Gdy za chwilę rozłączyli się, Krajewskiemu zdało się, że wypił przed chwilą czarę dobrego wina. To proste oddanie się Poranka, bez min i grymasów, bez słowa i w milczeniu dopełniło się, jak pokorna ofiara dawnej niewolnicy,

złożoną u stóp domowego bóstwa. Patrzył na nią, jak siedziała na brzegu otomany, kryjąc wdzięcznym ruchem obnażenie swych piersi. Patrzyła znów w światło lampy upornie i tylko oczy miała o wiele większe i ciemniejsze, a cała twarzyczka nosiła na sobie piętno wielkiego smutku.

— Co ci to? — zapytał, garnąc ją ku sobie.

Padła mu na piersi i jakiś wstrząs kurczowy zaczął podrzucać nią całą. Zdało mu się, że się śmieje. Dotknęło go to przykro, bo psuło mu nastrój chwili.

— Nie śmieję się — wyrzekł dość oschle.

Ale umilkł, bo uczuł gorąco łez na swej nagiej piersi.

A więc płakała.

Ujął delikatnie jej głowę i odwrócił ją twarzą ku sobie. Broniła się, jakby wstydziła się tych łez.

— Co ci? dlaczego płaczesz? o co ci chodzi?

Milczała.

— Powiedz... czy żałujesz tego, co się stało?

— Nie.

— A więc...

— Ale... ale mi żal, że to nie ty, Tatunciu, pierwszy...

I ukryła znów twarz na jego piersi.

On zastanowił się. Dopiero teraz mu przyszło do głowy, iż nie miał do czynienia z nowicjuszką w sprawach miłosnych. Lecz ani na chwilę nie spodziewał się tego i nie pragnął.

Przygarnął szlochającą dziewczynę ku sobie i delikatnie odgarnął włosy z jej czoła.

— Uspokój się — wyrzekł łagodnie — to mnie nic nie obchodzi...

— Nic?

— Daję ci słowo. Ja nawet wolę, że tak jest. Nie mam cię na sumieniu.

Milczała chwilę, wreszcie usiadła i patrzeć zaczęła w lampę.

— Dlaczego mówisz, Tatuńciu, że miałbyś mnie na sumieniu, gdybym jeszcze...

— Odebrałbym ci spokój, puścił na złą drogę.

— A!...

Zamyśliła się znów i dodała:

— Więc to winien tylko ten, który jest pierwszy?...

Krajewski zastanowił się. Nie wiedział sam, co odpowiedzieć. Wreszcie odparł:

— Winien taki, który bierze dziewczynę, nie kochając jej. Rozumiesz, Poranku.

Ona pokręciła głową.

— Nie. Bo to przejdzie i nic. Nie cierpi się, jak takie coś rzuci. Ale jak już kochanie przychodzi na stół, to dopiero prawdziwa męka... Więc chyba gorzej winien taki, co podchodzi dziewczynę z miłościami.

Jego przy tych słowach jakby ukąsił jakiś gad w serce.

— Ty, Poranku, mówisz, jakby z doświadczenia. Miałas dużo kochanków chyba, że tak wiesz, co i jak.

Wzrok jej stał się mętny.

— Co też Tatuńcio mówi... Ja? skąd?... Ja tak mówię, bo mam siostrę starszą, i ona dużo bardzo wie... to ona mi mówiła. Tatuńcio jest drugi. Jak Boga kocham!

Czuł, że może kłamać, że tam w tem krótkim istnieniu było coś więcej, niż jeden kochanek, ale nie chciał zakłócać narazie spokoju tej chwili.

— Twoja siostra tu w mieście?

Zdawała się wychodzić nagle z jakiejś nieobecności, która ją ogarnęła.

— No.. ta, o której mówiłaś przed chwilą.

— Tak — odparła z niechęcią.

Wzięła mu z ust papierosa i zaczęła się zaciągać.

— Tylko raz, tylko dwa, tylko trzy!

Odebrał jej papierosa przemocą.

— A co robi twoja siostra?

Zawahała się.

— Nic.

— A z czego żyje?

— Albo ja wiem!

Usiadł na sofie tknięty nagle jedną myślą.

— Słuchaj! — wyrzekł — powiedz mi całą prawdę, czy to nie owa.. Irena?

— ?...

— No tak!... Często się zdarza, że jedna siostra pozostaje uczciwą, a druga idzie w błoto. Może to twoja siostra.

Nadspodziewanie Frania parsknęła śmiechem.

— Hi! hi! hi! ..

— Z czego się śmiejesz?

— Żeś ty taki chytry, Tatuńciu.

— Więc zgadłem?

— Zgadłeś! zgadłeś!

Porwała go za ręce i zaczęła całować.

— Moje rączki! moje paluszki! O! jeden, dwa, trzy, cztery... prędko bo wystygną...

Usiłował być serjo.

— Słuchaj, Poranku, ale to postaci rzeczy nie zmienia. Siostra, czy nie siostra, ja ciebie proszę, żebyś tam nie chodziła. Słyszysz?

— Jeden palec, drugi palec, ham... ham... ugryzę.. nic się nie zostanie. Tatuńcio pójdzie na żebry pod cmentarz i będzie śpiewał:

Poszła baba do farosia...

Niepomiernie strapiona...

Usiłował jej przerwać, ale to było niemożliwe. Rozśpiewała się na dobre:

Powiedz że mi, mój farosiu,
Czy ja będę zbawiona!

— Przyrzeknij mi, że tam więcej nie pójdziesz.. zostaw ją jej losowi.

Zajrzał ci jej do paszczęki,
Baba zębów nie miała.
Nie będziesz cierpiała męki,
Czemżebyś tam zgrzytała!

Przedłużyła ostatnią nutę, porwała się i rozkosznie się śmiejąc, przyklękła na brzegu otomany.

— Ani nawet się spostrzeżesz, jak ci ten łatwy chleb może zasmakować, Poranku.

Wzruszyła ramionami.

Przestała się śmiać.

— Żeby ty, Tatuńciu, przestał już o tem raz.

— Bo mi chodzi o ciebie.

— Ależ, Tatuńciu, ja będę twoja, będę tu zawsze przychodzić, co wieczór, będę ci porządkować, szyć, hamać rączki, dopiero jak upieszczę, ucałuję, utulam, to pójde.

— Nie. Zostaniesz. Powiedziałaś wczoraj.

Była bardzo zakłopotana.

— Tak, Tatuńciu.. powiedziała. Ale wypadło.

— Czy znowu szycie?

— Tak, Tatuńciu.

— Ja nie chcę, żebyś się po nocy męczyła. Ja ci te parę reńskich, które stracisz, dołożę.

Zmarszczyła brwi. Cofnęła się

— Ja nic od ciebie nie wezmę, Tatuńciu.

— Dlaczego?

Znów mu padła na piersi.

— Dlatego, że kocham Tatuńcia. A od takich, których się kocha, to pieniędzy się nie bierze...

Coś nim targnęło.

Jakieś echo.

Coś, co powiało z domów zamkniętych, gdzie stoi na straży mara o wyróżzowanych policzkach, legitymująca się świadectwem zapłaconych podatków i przepisów, usankcjonowanych prawem.

— Co ty mówisz, Poranku?—zapytał, ujmując jej rękę.

— Nic. Mówię, że, gdybyś mi dawał pieniądze, tobyś mnie miał za byle co...

— A skąd wiesz o tem, jak się obchodzą z temi, które biorą pieniądze?...

— Mówiły mi inne dziewczęta. Skarzyły się często. Choć znów źle im nie jest... Ale, gdy już przychodzi kochanie, to o pieniądzach niema mowy.

— Tak samo, jak takie, które biorą pieniądze, nie mogą mówić nawet o kochaniu.

Jakiś wyraz zniechęcenia poruszył jej twarzyczką.

— Ach, Tatuńciu! — wyrzekła przeciągle — ach, Tatuńciu!... właśnie takie tylko umieją naprawdę kochać.

— Może twoja siostra Irena?...

— Pewnie, Tatuńciu. Ona miała takiego kochanka. Nazywał się Józik. Kochali się jak dwa warjaty. Zawsze chodzili pogryzione. Ona byłaby dla niego w piekło poszła.

Roześmiał się ironicznie.

— Tymczasem nie chodziła w piekło, tylko z innymi... Frania potrząsnęła filozoficznie głową.

— No... bo to był mus.

— Twoja Irena warta, żeby ją porządnie kijem obić.

Oto co...

Odsunęła się od niego i patrzyła chwilę nań uważnie.

— Ty, Tatuńciu, nie mógłbyś nigdy kochać się z taką, coby miała innych?

Za całą odpowiedź splunął z obrzydzeniem.

— Ja sobie tak zaraz pomyślałam, kiedym z tobą

trochę pobyla. Ty całkiem jesteś inny. Taki grzeczny, delikatny... Aż dobrze i miło z tobą. Aż się płakać chce... zaczęła się znów tulić do niego serdecznie i gorąco.

— Bardzo jesteś cacany...

Pociągnął ją ku sobie. Śmiała się, a oczy miała wilgotne. Objęła go miłośnie. Zaczęła go całować drobnymi, lekkimi pocałunkami, zarysowując kontury jego twarzy. Pieściła go z całą subtelnością i musiała nacisnąć tę strunę, która rozblękitniała w nim jakieś dziwne uczucia tęsknej rozkoszy.

— Co za przedziwny instynkt kieruje ustami tego dziecka... — myślał, poddając się w milczeniu cudownej torturze drżących, jak struny harfy, nerwów.

Zażądał od niej zesumowania i szczytu miłosnych dreszczów. Upadła mu w objęcia, jak wielki kwiat biały, i nie broniła mu kielicha swego świeżego ciała. Ogarnęła go tylko wzmocniona słodycz. Nie były to dawne pożarem tehnące szaly. Dziewczyna ta jakby równocześnie sprowadzała rozkosz ciała i kołysała łagodnie ducha. Zdumiony Krajewski wsłuchiwał się w tę nieznaną mu jeszcze fazę rozkoszy. Nie wyczerpany, lekko omdlały, wdzięczny, osunął się on teraz do jej rąk i całować je zaczął.

— Poranku mój!

Powstał. Uczuł się rzeźwy, przeniknięty rzeczywiście jakimś promieniem, czemś młodem i świeżem.

— Zaśnij, Poranku...

Lecz ona powstała i nagle ubierać się zaczęła.

— Muszę iść, Tatuńciu. W pół do dziewiątej.

Ubierała się bardzo śpiesznie.

— Jakże? pójdziesz szyć w tej różowej matince?

Milczała chwilę.

— No i co? — wyrzekła wreszcie — będzie mi wygodniej.

— Ale się będą dziwić.

— El co się mają dziwić. A potem, co im do tego. Niech całują gęś w kopyto.

Ubierała się powoli, jakby z żalem. Pokładała się, wyciągając nogi, odziane w długie, czarne, ale bawełniane pończochy. Patrzyła na te nogi uważnie i nagle zapytała:

— Tatuńciu, tyś tak ładnie wczoraj powiedział, że mnie już dawno znałeś i kochałeś, bo za mną tęskniłeś, czy to naprawdę, Tatuńciu?

Zatrzymał się przed nią rozradowany, że zdawała się i ona sięgać w tę błękitną głąb zawiązującego się ich stosunku.

— Tak, Poranku, tęskniłem i czekałem. Nie na ciebie, lecz na to, co mi ze sobą przynieść możesz.

Zafrasowała się. Usta jej ułożyły się w podkówkę.

— A co ty lubisz, Tatuńciu, może winogrona, są teraz doskonałe, świeże — u bojków na placu. Jutro ci przyniosę...

Ukląkł przed nią i zaczął całować jej kolana, taka mu się wydała prosta i niezmiernie miła w tej chwili.

— Nie, Poranku! Nie o to mi chodzi, co mogłabyś przynieść w darze z rzeczy widocznych. Ale o to mi szło, co mi możesz przynieść w twym czystym serduszkach, w twojej niezaprzeczanej duszyczce, w tej świeżości prawie dziecinnej, która za tobą jak smuga idzie.

Słuchała go ze zmarszczką uwagi na czole. Siedząc tak, zdawała się posągiem, a twarz jej nabrała nagle przedziwnej regularności rysów. Splecionymi rękami objęła kolano.

— Tak, Tatuńciu, mówisz do mnie, jak litanie...

Westchnęła.

— Słuchałabym cię bardzo długo.

— Zostań!

— Nie mogę!

Było wiele żalu w tem słowie. Jakby w oddali ktoś

szarpnął łańcuchem. Podjęła się ciężko z otomany. Nagle zaczęła pilnie oglądać paznokcie.

— Daj mi nożyczek, Tatuńciu! — wyrzekła.

— Po co ci... idziesz do pracowni, tam mieć będziesz nożyczki pod ręką...

— Prawda!

Zakręciła się, włożyła kapelusz.

— Ja cię będę zawsze bardzo słuchała, Tatuńciu! — wyrzekła nagle, zupełnie niespodziewanie.

.
Zdjęła ją widocznie nagle potrzeba wiekowej niewolnicy pójścia pod jarzmo ciągłe, bez którego nie rysowała się jej pełnia ekstazy miłosnej.

Krajewskiemu znów przemknęło przez umysł Nietzschejowskie:

— Wszystko, co żyje, podlega czemuś..

Ta dziewczyna w tej chwili wchodziła w pełnię życia. Zaczynała kochać, a więc zaczynała doskonale żyć. I wołała, stanąwszy u progu tejże przemiany, a raczej rozwoju swego istnienia:

— Chcę ci podlegać, chcę ciebie słuchać... chcę.. Tak.

Nikt ponad kobietę nie umiał stać się taką niewolnicą, zachowując w tej niewoli energię i stając się własnością swego pana, z rozkoszną gracją rozluźnić miłosnym dreszczem dłoń, która zaciska dokoła niej pęta.

„Bezgraniczne żądanie niewolniczej zależności napawa mnie cierpieniem“, mówi Massynisa, stojąc na klasztornym dziedzińcu wśród narcyzów i fijołków.

Krajewski zrozumiał, że Frania mogłaby odejść, nie powiedziawszy mu tysiąca innych rzeczy, które zdawałyby się tą rzeczą główną, podstawową i zasadniczą.

Ale nie mogła odejść, nie powiedziawszy mu, iż będzie mu posłuszną i że kładzie mu się kręgiem różowego

ciała u nóg, i że czuje to napozór kornie, a przecież z jakąś szlachetną dumą i smutkiem zrezygnowanej wobec swego losu istoty.

.

— Odprowadzę cię, Poranku!

Pozwoliła po chwilowem wahaniu. Wychodząc, zatrzymała się u proga.

— Szkoda, że to już minęło... — wyrzekła, opierając się plecami o drzwi i ogarniając wzrokiem pokój cichy i w półświatle tonący.

On, który właśnie przykręcał lampę, odwrócił się ku niej szybko:

— Nic nie minęło. Jutro znów będzie tak samo...

— Ale nie to samo! — odrzuciła jakimś nieswoim głosem.

Zbliżył się ku niej.

— Już nie będziemy pierwszy raz ze sobą szczęśliwi...
— dodała w formie tłumaczenia.

Ujęło go to delikatne analizowanie i segregowanie rozkoszy przez tę prymitywną naturę dziecka.

— Poranku mój majowy!

Oderwała się z determinacją od ściany.

— Chodźmy!

Wróciła się jednak.

— Trzeba w piecu poprawić, żeby, jak Tatuńcio powróci do domu, nie zamarzną.

Patrzył na nią z lubością, gdy pochyliła się tak troskliwie, dbając o niego... ona, prawie jeszcze obca, o niego, prawie jej obcego.

Nareszcie wyszli i idą razem, równo, przyciśnięci pod parasolem, bo deszcz rozplakał się na dobre. Chciał wziąć dorożkę, ale ona zaprotestowała:

— Nie trzeba, Tatuńciu, szkoda pieniędzy.

Do tramwaju wsiąść nie chciała.

— Dlaczego? — zapytał.

— Tak sobie.

Szli więc dalej, a podobało mu się, że gdy wchodzili w smugę światła, ona odwracała głowę, kryjąc twarz w cieniu. Widocznie chciała ocalić swoją dobrą sławę. Zaczął ją prowadzić ciemnymi zaułkami.

— Nie bój się, Poranku, nikt nas nie zobaczy.

Przycisnęła mu ramię z wdzięcznością.

Gdy doszli do śródmieścia, zatrzymała się nagle.

— Teraz puść mnie, Tatuńciu, pójdę sama.

— Nie, dziecinko, nie masz parasola, zmokniesz...

— E! takie fece, co mam na sobie, to nie żal.

— Zawsze żal. A potem chcę być jeszcze z tobą.

— Kiedy to daleko.

— Gdzież ta pracownia?

— Tu — między temi ulicami.

— Jakże się nazywa ta ulica?

— Nie wiem.

— A numer?

— Też nie wiem.

— Co też ty gadasz?

— Jak Boga kocham! tak zawsze trafiam, jak pies.

Ale nie wiem.

— No to i teraz trafi

Zaczęła iść w milczeniu, skręcając po siatce ulic, która się w tych stronach wiała. Deszcz siekł coraz gorszy. Bramy powoli zamykały się z trzaskiem. Wicher chwiał płomieniem w latarniach. Rozpaczliwa jakaś nędza zdawała się rozsnuwać wśród tej wilgoci.

— Straciłam się jak w lesie! — wyrzekła nareszcie Frania ze śmiechem, — idź sobie, Tatuńciu, ja sama łatwiej się odnajdę.

Lecz on upierał się.

— Gdzieżbym cię puścił po nocy samą, najlepiej będzie, gdy wrócimy do mnie.

— A! co znowu. Tam na mnie czekają.

— Kto?

— No... pani w pracowni.

— Powiesz, że byłaś chora.

— A mówiłeś, Tatuńciu, żeby nie kłamać.

— No więc?

— No więc idź.

— Nie!

Stali na ulicy Ossolińskich — szerszej, piękniejszej. Zabłądzili tam zakamarkami od Akademickiej. Ona wykręcała głowę, jak szczygieł, złapany w klatkę. Nagle rozśmiała się i wzruszyła ramionami.

— Jaka ja głupia, Tatuńciu. Ot, stoję przed swoją bramą i nie mogę się odnaleźć. To tu!

Spojrzał. Rzeczywiście, kilka szyldów krawcowych czerniało na ścianie.

— Al... ale tu jest kilka krawcowych.

— A tak. To często. Jakem raz chciała dać suknię do roboty, to nie wiedziałam której. Było ich tyle.

— Jakto? dać do roboty? to ty sama nie szyjesz sobie sukien.

— Czasem... no! dobranoc, Tatuńciu...

— A u której szyjesz?

— A... u tej na górze. Dobranoc, do jutra!

Przedłużał chwilę rozstania.

— Pokaż mi okna, w których jest pracownia.

— O patrz, Tatuńciu, idzie stróż, żeby zamknąć bramę... szkoda szper y. Idź! Pal

Spięła się na palce i pocałowała go szybko w same usta.

Miała wargi ciągle cokolwiek wywinięte. Smak ich był słony i dziwny.

Wpadła do siem.

Stróż bramę zatrzasnął.

Krajewski powstał jeszcze chwilę i patrzył na zamkniętą furtkę. Było mu czegoś miło i smutno.

— Już za nią tęskni! — pomyślał.

Lecz, że wiedział już, za kim tęskni, uczucie to mu było znośne, a nawet mile.

I poszedł w wicher i ciemnię, unosząc je w piersi jak słaby, dopiero rozwijający się kwiat.

XIV.

Nazajutrz był w biurze milczący i zamknięty w sobie.

Napróżno Konitz wytańcowywał przed jego biurkiem swoje p a s zwierzeniowe.

— Wyobraź sobie kolega, że ta małpa, ta Funia, napisała mi korespondentkę, a w niej ostatnie głupstwa! Jak ją spotkam na ulicy, kijem obiję.

Krajewski usta wydał.

— To nie jest sposób rozwiązywania takiej sprawy.

— A jak? a jak? Cóż to? jakie ja mam względem niej obowiązki? Żadne. Nie dałem się rujnować...

Krajewskiego ogarnął nieokreślony niesmak.

— Daruje kolega, głowa mnie boli, przytem nie jestem usposobiony do rozwiązywania tych kwestji. To rzeczy osobiste...

— A, proszę darować!

Kochanek Funi nadał się i poszedł do swego kąta pod piecem. Biuro było tego dnia pełne wstrętnej melancholji. Coś wypełzało z kątów, coś oślizgłego i cuchnącego, o długich ramionach i wślizgiło na karki ludzi.

Jakaś panna w kobiecym pokoju śmiała się histe-

rycznie i powiększała tem smutną jaskiniową grozę biurowych zamknięć, w których, jak w studniach opuszczonych, bezdennych, konały bezimienne istnienia, ziejąc ze siebie jęk bez echa.

Krajewski oparł łokcie o biurko i rękami zasłonił powieki. Ciągłe był pod wrażeniem ubiegłego wieczoru. Z radością widział, że posiadanie Frani nie wyczerpało w nim chęci zbliżenia się do niej ściślejszego. Wdzięczny jej był niezmiernie za całą linię zachowania się, zwłaszcza w tej krytycznej chwili, w której mnóstwo kobiet przegrywa często stawkę całego życia.

.
Bo od jednego słowa, od jednego gestu, od jednej krzywej linii, od niewczesnego śmiechu lub zbytcej lży, zawisa często dola całego życia kobiety.

Najlepiej wychodzą te, które poddają się wrodzonemu pięknu, idą za głosem instynktu i nie chcą być piękniejsze, niż cud chwili je czyni. W świetlanym blasku aureoli dobroczynnego bóstwa schodzić powinny cicho niewolnice posłuszne i chętne, wyciągając ramiona zaokrąglone i wdzięku pełne. Uśmiech ich warg, płomienie ich oczu niech mają w sobie wszystkie uśmiechy i płomienie nieba i ziemi. Niech ten, który na nie czeka, odczuwa, iż idzie ku niemu wielkie pragnienie uczynienia go szczęśliwym zupełnie, bez żadnych wrogich mu uczuć. Niech to będzie doskonała harmonja zewnętrznego i duchowego piękna, nawet pomimo różnicy wyniosłości moralnej, na której się znajdują. Jedna chwila zrównoważy wszystko. Pozostanie tylko mężczyzna i kobieta w sferze błękitu, wyzwolenie z małostek, które ich ziemne istnienie formują.

Niech to nie będzie walka dwóch potęg, z których silniejsza pastwi się i zwycięża, lecz dążenie do rozkoszy nadcielesnej, do tego, co daje nam jakby przedsmak czarodziejstwa, godnego naszej siły twórczej.

Dlaczego nazywać akt rozkoszy szaleństwem, gdy najmniej wtedy jesteśmy szaleni, gdy nigdy nie odczuwamy tak wielkiej jasności w nas samych i nie czujemy się tak wzniesieni na jakieś niedostępne nam zwykle błękity?

Rozkołysanie, rozmarzenie, jakby z dala przyzywane przez chóry ciągnących głosów, pozwala właśnie kobiecie królować wdziękiem swej potężnej słabości. Napozór rola jej bierna i mało znacząca jest pierwszorzędną i sprowadzającą zwierzęce roznamiętnienie do przepychu, dostojności i słodkiego czaru.

Z pod przymkniętych rzęs błyszczą jej oczy szczęściem, a w pół otwarte usta milczą zakłętą jak u aniołów, stojących na straży rozkwitających wśród nocy wiosennej kwiatów.

Duch słodki i pieściwy owiewa ją całą. Jest to chwila, w której piękność kobieca sięga szczytu i rozjaśnia się blaskiem prawie nie do zniesienia. Kochanek, który nie widzi swej kochanki, żona, która kryje w zagięciach łokcia swe rozplomienione czoło, tracą możność wpicia się w drugą duszę całą mocą i siłą.

Tracą wiele.

Często — wszystko!

.....
Tak myślał Krajewski, zakrywszy swe oczy dłońmi i starając się oddzielić od całego otoczenia, w którym czuł niezrozumienie i nieodczucie tego, co przez jego myśl prądem silnym przebiegało.

Przypomniawszy sobie, że raz popadł w jakiś nieokreślony stosunek z panną z „dobrego domu“, którą matka głęboko dekoltowała na tańczące wieczory, a potem z obojętnością matrony patrzyła, jak mężczyźni kolejno szli „zapuszczać żórawia“ w piersi wystawionej na targ córki.

Panna ta wyrosła w domu, gdzie stanowczo strzeże się, aby nie pisano nie o położach i akuszerkach, a pisma

codzienne powinny mieć ton Przyjaciela dzieci (boć Nusia albo Lunia mają prawo wszędzie swój nos wściubić), panna ta miała sto razy więcej w sobie deprawacji od jego Frani. Umiała rozpalać i siebie i swego partnera i doprowadzać do kulminacyjnego punktu, wiedząc doskonale, że wyjdzie obronną ręką, bo jest z dobrego domu.

Opancerzona tą marką, szła na targ i piła całymi haustami rozkosz przyćmioną, która dla kobiety często bywa sto razy ponętniejszą, niż oddanie się pełne i naturalne. Krajewski pamiętał, jaką torturą była dla niego faza tej beczelnej rozpusty, nazwanej słodko flirtem, jak tracił swe siły fizyczne i duchowe, jak się targał w jakiejś ohydzie, która ogarniała go jakby potwornymi splotami, odrzucającymi ze wzgardą ustanowiony porządek rzeczy.

Gdy cisnął do siebie pełne i gorące ciało owej „panny“, zdawało mu się, że zapada w sen chorobliwy, w gorączkę zgnięłą, która go zawiedzie w bagno, pełne wyziewów ziół trujących.

Przez suknię, owijającą to ciało, czuł prężenie się umiejętne i niezdrowe, widział drżenie i rozszerzanie się nozdrzy na twarzy i rozumiał, że ona kocha w tej chwili nie jego, lecz swoją własną zmysłowość i szaleje za sobą samą.

O ileż czystsza, jaśniejsza, miłsza wydawała mu się jego wczorajsza kochanka.

Nie wymówiła jednego słowa, które byłoby dwuznaczne, nie wiodła go do szafu, a zdawało mu się, że wypił całą jej maluchną istotę i że to właśnie odświeżyło go, jak przechadzka poranna po łące, na której ociekają srebrną rosą liljowe krzaki dzikich malw i błękitnych, słodkich w barwie ostów.

— Byle ten wieczór nadszedł! — pomyślał gorączkowo.

Wyszedł z biura, nie żegnając się z nikim. Czuł za sobą nieprzyjemne spojrzenia, które go ścigały. Były mu

w tej chwili obojętne, jakkolwiek był dość wrażliwy. Cały był pochłonięty myślą o Poranku.

Gdy nad wieczorem przyszedł do domu, doznał głębokiego wstrząśnienia, widząc, jak Romanowa podaje mu jakiś list w różowej kopercie.

— Od kogo?

— A to od tej wczorajszej panienki.

— Kto przyniósł?

— Sama.

— Kiedy?

— Jeszcze w południe. Pan był w biurze.

— Dobrze.

— Bardzo miła panienka.

Wszedł do pokoju. Romanowa następowała na pięty.

— Niech mnie Romanowa zostawi...

— A co? trzeba będzie co na kolację?

Trzymał już list wyjęty z koperty i nachylał się nad zapaloną świecą.

— Proszę iść...

— Dobrze!

Wyszła, mrużąc.

Krajewski przeczytał jednym tchem, jakby pił szklankę wody:

„Kochany Tatuńcio! Bardzo cię pozdrawiam i całuję. Obejmuję cię za szyję i usiadam przy tobie, jak motyl. A ślę ci te kwiatuszki na papierzy, bo są ładny. A każdy kwiatuszek pocałowałam, bo mi się śniłeś, Tatuńciu, srebrny ze złotymy uszkamy całą noc i nad ranem. A teraz muszę ci powiedzieć, że dziś nie mogę przyjść, żebyś nie wiem jak tego chciała, bo takie jest złożeni rzeczy i wszystkiego, że nimogę za nic i za nic. Straszni mnie to martwi, tak że w głowę i w serce zachodzę, ale co mam zrobić, kiedy nie mogę za nic i za nic. Jak Boga kocham i jak ciebie, Tatuńcio, kocham. Ale za to przyjdę jutro rano,

bo nimam szwalni, a i ty, Tatuńcio, nie pójdziesz do swoich podatków, bo to niedziela i nawet pies ma wieczne odpocznienie, więc Tatuńcio czekaj mnie z samego rana, a ja przyjdę na ciepły nóżki i straszni mego Tatuńcia będę całować i pieścić i będę tatuńciowa rybka i kotek i kulka i wszystko, co Tatuńcio zechcy. A teraz jeszcze raz pozdrawiam i obejmuję i całuję i pieśczy i dogadzam i tęskni i myślę, że takiego Tatuńcia, jak Franiowy, to drugiego nima na całym świecie. A ja Tatuńciowy Poranyk — poranyk i poranyk.

Rączki całuję
Frania.

.....
Ktoś grał przez ścianę uparcie hiszpańskie Bolero. Wybijał takt, a drobny tupot nówek dziecięcych suwał się w tony rozhasane i wymowne. Krajewski stał chwilę ze zmarszczonemi brwiami. Zdawało mu się, że nagle pozostał na świecie sam jeden i że wiele, bardzo wiele utracił.

Przeczytał raz jeszcze list Frani, pisany pracowicie na różowym papierze, pomalowanym w ptaszki i kwiatki. Złożył list i schował go do portfela. Poczem usiadł na otomanie i zapadł w bezczynność i pustkę.

— Dlaczego nie pisze powodu, dla którego nie przychodzi?... — myślał, oparłszy głowę na dłoniach — to mogłami wytłumaczyć, skoro taki długi list napisała. Może znów pracuje do późna. Dziś sobota. Wiem od innych dziewcząt, że w sobotę na gwałt wykończają suknie. Ale dlaczego nie napisała?

Wyjął list i znów zaczął czytać go po raz trzeci.

— Nie, tylko „nie mogę — nie mogę...” to wszystko. Porwał się nagle, jakby go coś ukłuło.

— Może... kto inny... może...

Czyste, jasne oczy Frani, jej uśmiech niekłamliwy, uśmiech Poranka, stanęły przed nim nadzwyczaj dokładnie.

— Nie... ona, nie. Za to dam szyję. Zresztą, dla-
czego ze mną? Przecież nie dla interesu! Nie chciała
wczoraj przyjąć dorożki. Biedna jest. To widoczne.

Za ścianą Bolero wściekało się. Tupot nówek dzie-
cięcych przechodził w łomot. Świeca dogorywała w lich-
tarzu.

— Gdybym wiedział, gdzie mieszka... — przemknęło
mu po głowie — poszedłbym zostawić jej kartkę, jeśli jej
niema w domu, prosząc, aby jutro koniecznie przyszła.
Ale... powiedziała: Zamarstynów... nie więcej. Nie będę
chodził od domu do domu w tej mordowni i szukał..
panny Frani.

Obecnie już nie grano Bolera, lecz nagle zaczęto śpie-
wać, wyć raczej jakąś nieokreśloną melodję.

— Bodajś przepadł! — krzyknął, doprowadzony do
ostatniego stopnia rozdrażnienia Krajewski.

Ten wieczór, który się przed nim zapowiadał, różnił
się tak bardzo od tego, o którym myślał, iż wewnątrz jego
pokoju wydało mu się wstrętne i niemożliwe do zniesienia.

Porwał palto, kapelusz i skierował się ku drzwiom.
Obejrzał się.

Świeca na dnie lichtarza konała z ohydnyim śwędem.

— Niech cię djabli! — rzucił, drzwi za sobą zatrza-
skując.

XV.

Gdy wyszedł na ulicę, zaczął iść mimowoli tą samą
drogą, jaką szedł wczoraj pod rękę z Franią.

— Z pewnością jest w pracowni!..

Krętemi drogami po oślizgłym bruku szedł zgarbiony,
z rękami w kieszeniach od palta. Aż wyła w nim tęsknota

i jakiś zawód niespodziewany i bolesny. Gdy znalazł się pod kamienicą, gdzie była pracownia, w której szyła Frania, wszedł do bramy i patrzył długą chwilę w dużą przestrzeń dziedzińca, obramowaną wysokimi trzypiętrowymi oficynami. Prawie wszystkie okna w tych oficynach były ciemne. Gdzieś tam tylko było światło. Jakiś ciemno ubrany człowiek, z długą brodą, wyszedł z izdebki, na której był napis „odźwierny.“

Krajewski zbliżył się do niego

— Gdzie tu mieszka krawcowa?

— Jaka? bo jest ich trzy.

— Ta, u której dziś wieczorem panny szyją.

— Al... to tu w oficynie na parterze.

— A te... na górze?

— Tam już wszystkie panny poszły. Zamknięte. Może pan o jaką pannę od tej z dołu, to ją wywołam...

— Nie, dziękuję. Moja... kuzynka szyje tu, ale na górze.

— Al no to całuję rączki.

— Dobranoc.

Dał stróżowi trzydzieści centów i wyszedł z bramy. Doznał skurczu serca. Pracownie były zamknięte. Gdzie mogła być Frania?

Jakaś smukła kobieta przemknęła się koło niego.

Potrącił ją niechcący.

— Pardon!...

— Al... Pan? pan Krajewski, jak się cieszę.

Poznał perfumy angielskie, kwiat groszku, ulubiony zapach pani Gwozdeckiej. Szare, duże oczy patrzyły nań w świetle latarni. Widział, że była blada, z podkrążonymi sinemi obwódkami dokoła źrenic. Wydała mu się jeszcze chudsza i mizerniejsza, niż zwykle.

— Co pan tu robi? może do mnie!

— Pani tu mieszka?

— Tak. Mam tu pied à terre. Prawdziwa garçonniere'a. Proszę za mną!

Weszła do bramy. Miała chód kobiet chorych lub takich, które długo chorowały i zachowały przez to pewien leniwy wdzięk ruchów. Wyjęła z bobrowego, kosztownego zarękawka klucz i otworzyła drzwi od parterowego mieszkania.

— Zobaczysz pan, jak się cudownie urządziłam!

Minęli mały przedpokoik i weszli do dużego pokoju, w którym paliła się przyćmiona lampa. Gwozdecka podniosła płomień. Gdy się tak schylała nad zielonawym abażurem, tonąc brodą w puchu bobrowego kołnierza, miała pozór jakiegoś eterycznego zjawiska, wylaniającego się z chorobliwych oparów i moczarowych łąk.

— Widzi pan, jakie mam apartamenta.

Ukazała ręką obszar pokoju, obitego szarą, jednolitą tapetą, zastawionego trochę pozbieranymi widocznie z różnych pokoi meblami.

— Śpię na otomanie... stół jadalny służy mi za biurko i tak dalej. Słowem, jestem jak rozbitek, ale nigdy nie czułam się tak doskonale u siebie i sobą, jak w tej chwili.

Ujął jej ręce, które były zimne i bardzo wychudłe.

— A więc to już zupełnie serjo?

— Spodziewam się. Dość mam niewoli, kłamstw i obłudy. A zresztą po tym ostatnim skandalu w klubie zostać w tem, co się nazywa „dom“, nie mogłam.

— Tak, tak.

— Zobaczysz pan, on lada chwila będzie miał do czynienia z prokuratorem.

— I ja tak sądzę.

— Tylko ja uchylę się od składania świadectw. Dla mnie ta kwestja jest zupełnie obojętna. *Chacun prend son plaisir ou il le trouve...*

Zesunęła futro, zrzuciła toczek i usiadła w głębokim, niskim, staroświeckim fotelu.

— A potem... jakież ja sąd o tem mogę wydawać, ja? prawda? co?

Patrzył na nią, wiedząc, że ta smukła, wdzięczna kobieta jest okaleczoną i zabita w źródle samem swej kobiecości, a przez to raz na zawsze, jak mówił jej własny mąż w chwilach szczerości klubowych, „wycofaną z obiegu..

Wiedział, że to jest tragedia jej życia. Odczuwał ją i rozumiał, gdyż sam wiązał właśnie przedziwnie zmysłową rozkosz z uczuciem, a przynajmniej dążył do tego gorącym pożądaniem całej swej istoty.

Cenił wysoko jej kształt ciała i kształt jej kultury, jej wyobrażnię sharmonizowaną i jakby wiedzioną miękko, a odczuwającą granice dłonią, lubił słuchać jej mowy, w której były światła i cienie, a głos jej, trochę monotony i jakby przepojony boleścią, był mu szczególnie miły. I w czem najwięcej współczuł i kiedy najtragiczniejszą mu się wydała, to wtedy, gdy widział, jak bardzo dba ona o tę kobiecość, która drapowała się koło niej jak miękka i posłuszna szata. Lecz w szacie tej brakowało najgłówniejszej, najpiękniejszej treści — tej, bez której kobieta nie jest kobietą, bez której z rąk jej wymyka się owa tajemnicza moc, pozwalająca jej dowolnie wprowadzać w chwilę rdzennego życia.

Była więc dla niego, tak jak i dla drugih, mądrym, smutnym i smukłym Phaedonem, wonnym kwiatem, Katarzyną świętą a tęskną, różą wyrosłą na jałowej i niedostępnej skale, istotą która jest tylko dla oczów, a przed którą siada się z wyrazami pozdrowienia w koleżeńskej formie, patrząc z przyjemnością na piękny kształt jej głowy, na szlachelny zarys jej ust. Tu kończyła się sympatja, ten „pociąg“, który pada u stóp kobiety w chwili, gdy staje naprzeciw mężczyzny. Z ust jej, precudnych formą i wyrazem zaczynał wypływać cały potok słów dobranych, mą-

drych, zrównoważonych. Z początku nieśmiało, jakby chciała przebłagać, że tylko o to może ofiarować ze siebie...

A następnie jakby błysk, jakby skurecz przewijał się po jej twarzy, po tej całej postaci, to ktoś potrafił o nutę prawdziwej, pełnej i doskonałej miłości. Ktoś sztychował z uczuć tak zwanych „braterskich“ i tej obnoszonej, jak stara portmonetka, „komunji dusz“.

Smutny, musowy uśmiech okalał czarujące, przedwcześnie zwiędłe wargi Gwozdeckiej. Tak uśmiecha się Beatrix d'Este Vinci'ego w Pinakotece Ambrozjańskiej, słodka i zrezygnowana w obramieniu swych czarnych włosów i aksamitnej szaty.

Stygmat bolesny był na tych ustach i na niej całej. I tem zdawało się to boleśniesz, iż starała się z całą delikatnością wykwinąć ukryć swe cierpienia i tęsknotę, jak chory esteta kryje swą ranę nieledwie przed własnym wzrokiem.

Dziwiono się ogólnie łatwości, z jaką dźwiga swój los i to brutalne wyodrębenie z rozkoszy życiowej, bijącej triumfalnym hymnem gorących i namiętnych ekstaz. Lecz Krajewski, który umiał czytać księgi i twarze ludzkie, wiedział, że ta kobieta przeżywa ciągłą tragedję i że dla niej to życie, jakim żyje, jest dramatem wieczystej tęsknoty i pragnień.

.

Zgasila lampę i zapaliła w kandelabrach świece, na którą nałożyła zielone, delikatne przyciemki.

— Ecco! — wyrzekła z uśmiechem.

W jednej chwili Krajewskiemu przypomniła się Frania.

O ile uśmiech tamtej był weselszy, swobodniejszy, tryskający jak źródła ożywczej wody, choć i to, i to były usta kobiec.

Usiadł w cieniu. Złożył się po swojemu dziwnie, jak

te szkielety, które się widzi przysypane pustynnym piaskiem w witrynach Trocadero.

Ona osunęła się na barierkę, zasypaną poduszkami. Będąc chora, miała zwyczaj wyciągać się pół leżąc. Przybierała często pozę pani Récamier. I było w nich coś pokrewnego. I w jednej, i w drugiej piękność, niema powstrzymana w rozwoju dziecięcym. To współotwarcie ust i odwrócone do góry dłonie, spojrzenie jasne i pęk włosów nad czołem. I tu, i tam smutna otęcza piękności martwej, zamarłej, bezużytecznej, piękności, pieszczącej oczy jak kwiaty, opancerzone kolcami i niedostępne w mistycznym, tragicznym zaklęciu. Pomimo to, patrząc na Krajewskiego i Walę, możnaby przypuścić, że oni to właśnie zeszli się po to, aby powiedzieć sobie wielkie słowo miłosne i upaść wzajemnie w objęcia.

Uroczą ciszą ciepłego wonnego pokoju, w którym senne kwiaty marły delikatnie, ta kobiecość, wykształcona kulturą i podniesiona, zda się, do potęgi, i takich dwoje naprzeciw siebie, samych, wyzwolonych z przesądów, podcieniem bajkowym zielonych przejrzystych zasłonek...

Któż? jak nie oni?

Lecz on wziął ze stołu złożoną świeżo książkę.

Uśmiechnęła się słodko.

— Bukoliki francuskie XV wieku. Czytaj pan, znajdziesz dziwnie piękne i miłe rzeczy.

Zadziwił się.

— W XV wieku? w potęgze retoryki?

— Tak, tak. Jak strumyk płynie, szemrze, lśni rwet wśród kamieni...

Voici la nuit de may,

La nuit bien courte trouverai.

Czytał półgłosem powoli, ulegając rzeczywistemu, szczeremu wdziękowi tych piosenek tanecznych, tych pastarellek, zrodzonych w XII wieku, tych piosenek porannych.

Hélas! comment passeray donc
Ce mois de mai, qui est si long.

Gwozdecka słuchała, odwrócona ku niemu, nieruchoma. Obok niej białe konwalje w opalowym flakoniku bieliły się jak perły. Słuchała, jak w tych piosenkach jakiś nieszczęśliwy kochanek brał za świadka swych cierpień ich siostry, konwalje leśne, rozmaryn, majeranek i inne miłosne rośliny.

Hélas! mon joli temps se passe
A qui dir-elle sa pensée
La fille qui n'a point d'ami?

Zamknął książkę.

— Pożycz mi ją pani?

— Chętnie.

Zamyśliła się. Potem powtórzyła.

A qui dir-elle sa pensée
La fille qui n'a point d'ami?...

W głosie jej drżał smutek ukryty.

Ścisnęło mu się serce, jak wtedy, gdy ważył w rękę wiatrem podszyty żakiet Stefki, jak stawał na progu chaty, w której kryła się chora guwernantka z nieprawem dzieckiem.

I to wszak była nędza. W innym rodzaju, ale nędza kobieca, dojmująca bolesna.

Une fille qui n'a point d'ami!

— Pani Walo, znasz pani mnie?

Melancholijnie uśmiechnęła się.

Nie, nie znam pana. To zdawkowa, niewyraźna moneta. Pana zna ktoś inny. Kto w tej chwili — nie wiem. Ale toś może bardzo prosty i prymitywny, nie noszący bobów, nie czytający Bukolik, nie wiedzący nawet, że istniał wiek XV. A mimo to właśnie, ta istota ma pana całego, ciałem i duszą, tak jak tylko mieć można. Inaczej!... to wszystko ułuda!

Czuł, że ma rację, że mówi prawdę.

— Powiedz pan, czy się mylę?

Był szczerym.

— Nie.

Zasunęła się głębiej w poduszki, ruchem, który stał się jej właściwy przy słuchaniu zwierzeń.

— Powiedz mi pan.. któż jest teraz?

Opowiadał jej czasem o swych miłostkach. Zawsze jednak słuchała go uważnie, lecz na twarzy jej pojawiał się wyraz rozczarowania.

— To... nie jest serjo! — mówiła, gdy Krajewski opowieść swą kończył.

Lecz oto — on zaczął mówić o Poranku, rad, że może wprowadzić ją żyjącą w koła swych myśli.

Pani Wala odwróciła się na swej berzerce cała.

I słuchała.

Gdy skończył, ujrzał, że miała opuszczoną na piersi głowę.

— Co pani?..

— Nic... zazdroszczę.

— Komu?

Milczała.

Zrozumiał, że ta „wydziedziczona“ zazdrości w tej chwili tej szwaczce, iż jest kochaną, iż nie jest ową

Une fille qui n'a point d'ami.

Żapadło długie, ciężkie milczenie.

Lecz Krajewski z egoizmem, właściwym tym, którym coś w sercu kielkuje, przerwał tę ciszę pełną nasbju.

— Pani nie mówi, tak jak zwykle, „to nie jest serjo...“

— Zmieniłam się trochę, stąd i mój punkt widzenia. Sądzę, że wszędzie, gdzie da się pomieścić okraszyna uczucia, może być to... serjo.

— Więc pani myśli, że... Poranek ..

— Nie wiem. Z opowiadania pana nie widzę jej, nie mogę sobie jej uplastyczyć.

Porwał się szybko.

— Ja ją tu przyprowadzę.

Lecz Wala uczyniła wbrew jego oczekiwaniom zaprzeczający ruch ręką.

— Nie trzeba... proszę.

I zaraz dodała:

— Nie sądz pan, że grają we mnie jakie przesady. Ale teraz, po tych przejściach z mężem, jestem jeszcze kłębkim nerwów... lękam się, że nie odczuję, nie trafię w ton i rzucę panu na jego radość cień. Później, gdy będzie pan tak tej radości pewien, że nawet cień mój panu jej nie zmrozi, to pan mi przyprowadzi swój Poranek... Dobrze?

Lecz on był już zmrożony, a właściwie porwała go tęsknota. Opisując przeżyte chwile, określając i malując kontury i barwy, w których zawierała się istota Frani, wywalał postać dziewczyny tak silnie plastycznie w swojej wyobraźni, iż całą siłą pożądać jej zaczął.

— Pójdę!... — wyrzekł.

Cień smutku, cień tego smutku, który powleka twarze tych, którzy są s a m i, okrył rysy Wali.

— Może pan jeszcze zostanie! — chciała powiedzieć, czując lodowate ramiona samotności, jak dążyły ku niej ze wszystkich kątów jej *home*..

Lecz on zbierał się, szukał kapelusza, rękawiczek. Pośpiech ten był znamieny i widoczny.

— Odchodzę! — wyrzekł wreszcie już z ciemni przedpokoju, odziany w palto i egoizm człowieka, który się do spraw swoich śpieszy.

Stała we drzwiach, oświetlona zielonawym blaskiem, rysującym dokoła jej postaci jakby świetlaną aureolę.

Twarz — przód całego ciała był w cieniu. Coś eterycznego i nieziemskiego spływało w spokojnych fałdach jej sukni. A mimo to widać było, że nerwowy smutek przeszywa całą jej istotę, smutek okrutnych przeznaczeń, przeciw którym niema dość silnej do zwalczenia potęgi.

Krajewski ujął jej dłonie rasowo drobne i dziwnie teraz rozpalone. W rękach jej koncentrował się cały wygnany a rozpaczliwy magnetyzm jej ciała. Wiedziała o tem i cofnęła szybko rękę z dłoni mężczyzny. Krajewski zatrzymał się w progu, bo nagle doznał jakby uczucia, że coś rozstrzygnie się teraz w jego życiu tajemnym, coś nieprzewidzianego, a jednak oczekiwanego ubocznie i niewyraźnie dla niego samego.

Lecz Wala milczała, wsparta o drzwi, okolona swem dziwnem, mistycznym oświeceniem, w którym teraz srebrzyły się delikatnie rozwiane jej włosy.

Nie była to gra miłości, ani gra przyjaźni. To było coś nieokreślonego, co się nagle zjawia pomiędzy kobietą i mężczyzną, którzy dawno ze sobą przebywali w trochę oddalonej formie. Od nich zależy nadać im kierunek i ująć w dłonie przelatującego ptaka.

Ptak-zjawa.

Ptak-widmo.

Widmo o srebrnych skrzydłach, jakby wszystkie śniegi najwyższych szczytów odbiły się w nich nagle, i o rubinowych oczach, patrzących z płomienną żądzą w bezkresną, beznadziejną przestrzeń.

Jakieś milczenie duszne, jakby powietrze przed burzą, wtedy gdy liliowe cyklameny mdleją i chylą swe cudne kielichy.

Obłok, widmo, chmura, wlokąca się tuż ponad ziemią, przesuwa się i mija.

Milczenie, brak gestu...

I przechodzi wszystko.

A oboje milczeli.

I Krajewski wyszedł, kłaniając się bardzo poprawnie w progu.

XVI.

Znalazłszy się znów na ulicy, zaczął iść gorączkowo w stronę ulicy Łyczakowskiej.

— Pójdę do jej siostry! — myślał — dowiem się przecież od kogoś w kamienicy, czy jej tu niema.

Kto wie, co się dzieje... kto wie...

Zapamiętał numer i ulicę. Minął kilka osób znajomych, wlokących się bez celu pod wystawami sklepowymi. Lękał się, aby ktokolwiek go nie zaczepił. Wstydził się czegoś. Może tego nagłego i śmiesznego zajęcia się tą dziewczyną. Lecz zaczynało to ogarniać go jak fala. Nawet sama Wala wydała mu się jakby nudną i cikliwą.

— Nie może być kochanką... — myślał — a więc rzeczywiście nie liczy się w świecie żyjących pełnem życiem kobiet.

Miał do niej jakby żal, że nie pozwoliła mu zaraz przyprowadzić do siebie Frani.

— Zbyt subtelne tłumaczenie!... Dlaczego nie chce mnie zrozumieć? Prawda, jestem jakby dziecinny, rozmówany w zabawce o sentymentalnej cichej muzyce, lecz zarazem powinno by odczuć, że wznoszę się wysoko ponad tych, którzy prawdziwie czuć nie umieją. Nie spodziewałem się tego po niej. Wydawała mi się kimś opromienionym smugą światła, kobietą cierpiącą, a więc przystępną wszystkim ludzkim uczuciom. Tymczasem nie chciała widzieć Poranka... Jest egoistką w przyjaźni. Mo-

gła odczuć, jak wielką mi to sprawi przyjemność. Dla tego samego powinna była nakazać milczenie swym nerwom.

I — Krajewski cofnął swą przyjaźń, którą lata całe żywił dla Wali.

Szybko minął place i zaułki, cuchnące błotem, i zanadto wielką ilością tłoczących się kamienic. Wogóle ludzie i rzeczy zdawali się być dla siebie wrogo i nieprzyjaźnie usposobieni. Nienawiść mijała się z nienawiścią. Spętane, w klatkę zaciśnięte duchy tarły się złowrogo o siebie, wymieniając odtrącające, niesympatyczne prądy.

Żółta, wielka, bezświatlna twarz księżycowej zjawy nisko zawisała nad domami. Czarne tło nieba, cofnięte jakby daleko poza nią, ginęło w ponurej i rozpaczliwej ciemności.

Nastroj ten ogarnął i przeniknął Krajewskiego. I on zaczął nienawidzić wszystkich i wszystko. Jedyne Poranek zdawał mu się jasnością w tem bagnisku niewyraźnem i ziejącym beznadziejnością.

— Nikt, tylko ona jedna...

Odnalazł ów numer na Łyczakowskiej ulicy. Była to wielka, biała kamienica, nowa, widocznie na handel stawiana. Jakaś fałszywa secesja, zielone balkony, duże okna...

Wszedł do sieni, ziejącej wilgocią. Plamy mokre rozsuwały się po murach, malowanych w duże liljowe pretensjonalne owoce. Wysoko, w medaljonach brzuchate dzieci ofiarowywały sobie nawzajem kwiaty. Z pierwszego piętra spływało różnokolorowe światło od zapalonej latarni.

Krajewski kręcił się po sieni, szukając mieszkania dozorczy. Jakieś dziecko płakało w ciemnym kurytarzu teryny. Krajewski stanął w otworze kurytarza.

— Jest tam kto?

Natychmiast pokazała się głowa jakiejś młodej kobiety rozchłestanej w różowym kaftaniku.

- A czego?
 - Gdzie dozorca?
 - U rezydenta. A pan co sobie życzy?
 - Tu... mieszka panna Irena... no!... panna Irena...
 - Al... Wątorówna!
 - Tak. Irena Wątorok. Właśnie. Czy jest w domu?
- Kobieta wzruszyła ramionami.
- Ta gdzie! Zaraz po obiedzie poleciała.
 - Nie wiecie gdzie?
 - Ni.
 - Sama?
 - Też! Ze swoimi!
 - Al... a siostra z nią nie była?
 - Siostra?
 - Frania? panna Frania?
 - Ni.
 - A czy dziś Frania tu przychodziła?
 - Ja nie widziała.
 - A często tu Frania przychodzi?
 - Ta tu ciągle tyle ich naciąga. Czy ja ta mogę wiedzieć która.
 - To wy siostry Wątorówny nie znacie?
 - Tażę mówię panu, że one ciągle tu łążą. Już nawet się gospodarz o to gniewa.
 - A gdzież Wątorówna mieszka?
 - No tu. W kamienicy. Ale kiedy gadam, co jej niema. Pojechała na gumach i powiedziała, że na noc nie wróci.

Stróżka patrzyła obojętnie w twarz Krajewskiego. Zdawało się, że coś widzi jeszcze poza nim, taki miała wzrok dziwny.

Chciał jej dać guldena, ale się cofnął. Dał jej tylko trzydzieści centów. Za co? — pomyślał — nawet Frania nie zna.

Wyszedł na ulicę i czuł się jeszcze więcej sam i opuszczony. Coraz bardziej wpijał mu się w duszę rozegzaltowanego samotnika o podkładzie erotycznym tajemny obraz kobiecej doskonałości w osobie tej zaginionej w błotnistym mieście dziewczyny.

Nurtował go i dławził niepokój, wyobrażenia wznosiła już rodzaj świątynki, w której umieszczał pieszczącą i pieszczoną o jasnej skórze, gładkiej i połyskliwej, o oczach, które patrzą w dal z jakąś tajemniczą, dziwną nieruchomością.

— Jaki ona ma głos cudny, łagodny. I nie chodzi o to, co mówię, bo skądże ta wdzięczna prostaczka m ó w i ć może! Lecz chodzi o dźwięk tego głosu, który sam przez się wyraża tyle rozkosznych i pięknych rzeczy...

Obejrzał się dokoła z nienawistną grozą.

Przed nim długa ulica, centkowana żółtymi światłami latarni, schodziła ku miastu, od którego płynęła przyciszona wrzawa. Ponad miastem wykwiłała i unosiła się ruda luna, jakby nad potwornym kotłem, w którym ginęły stosy gnijących ciał. Małe względnie miasto olbrzymiało w tej dali i nabierało potęgi przepaści niezgłębionych. Coś tajemniczego i groźnego wrzało tam, w tej rdzawej lunie, buchającej w wilgotną czern przestworu.

Krajewski schodził powoli, ociężale ku temu miastu, w którym gdzieś daleko, w nieznanych głębiach, była w tej chwili ta, którą on nazywał już w myśli swoją dziewczyną.

A mimowoli tętniał w nim Dante i jego słowa:

Wtenczas ta otchłań prawie o połowę
Zwiększyła we mnie grozę przerażenia,
Widziałem ognie, słyszałem jęczenia.
I cały drżący w tej chwili widziałem,
Że wolno schodzimy między wielkie męki,
Słyszając zbliżone szlochanie i jęki.

O miasto, zbłocone, ziejące krwawą łuną miastol...

• • • • •

Stos to ofiarny rozniecasz co nocy, stos z ciał i duchów, razem splątanych. Gorączka trawiąca podżęga płomieniem twe skręty, i życie ludzi i rzeczy uparte i chorobliwe dostarcza ci nadmiernego paliwa. I zda się chwilami, że nie zdołasz do nastania brzasku zniszczyć tej całej namiętności, którą nadzieje, niepokoje i pragnienia podnieconego zbiorowego ducha w ofierze ci niosą i w tragicznym, rozpaczliwym zapamiętaniu.

O miasto, zbłocone, ziejące krwawą łuną miastol

XVII.

Wczesnym rankiem zhudził się Krajewski.

Przez storę, z drobnych żółtych trzciniek, wpadał świt.

W jednej chwili targnął nim niepokój.

— Czy przyjdzie?

Wzruszył ramionami. Po dniu pragnął być silniejszym i zwalczać to *engouement*, w które brała go nowa kochanka.

— A gdyby nie przyszła .. nie zginę.

Przeciągnął się i odwrócił do ściany. Chciał zasnąć. Przypomniawszy sobie, jak dobrze wysypiał się dawniej w niedzielę w takie jesienne, bezbiurowe godziny. Dziś mimo usiłowań zasnąć nie mógł.

Sięgnął po list Poranka. Patrzył długo w te litery, widocznie pretensjonalnie i pracowicie stawiane. Lecz — rzecz dziwna. Nie schodziło się to jakoś z jej postacią. Gdy czytał ten list, nie widział jej.

Wolał o niej myśleć.

Odłożył list.

— Chciałbym ją do siebie przywiązać, aby mnie już nie opuściła — myślał — czem jednak? Zdaje mi się, że urokiem jej nieprzepartym jest potrzeba zmiany wzruszeń. Tak mi się zdawało mimo pozorów. Kto wie, czy syntezą życia jest dla niej miłość? A jeśli tak, jakie jej przejawy? I kto wie, czy, chcąc zaspokoić głód wrażeń, zwracać się będzie do serca?

Zaczął analizować charakter Frani. Lecz miał mało jeszcze danych, aby urobić sobie pewne, nieprzeparte zdanie. Postanowił jednak czuwać nad nią bardzo gorliwie.

Czas mu się dłużył. Wyciągnął rękę z przyzwyczajenia. Popadł mu w rękę Dante. Otworzył machinalnie. Książka rozpadła mu się na części II na słowach:

Dusza prostaczka i nic nie wiedząca,
Prócz że ją miłość stworzyła bez końca,
Zwraca się do niej, jako kwiat do słońca,
Zrazu ku dobrom znikomym się kłoni,
Zwiedziona za ich błyskotami goni,
Jeśli przewodnik jej, albo wędzidło
Nie nakierują gdzieindziej jej skrzydło.

Odłożył książkę i popadł znów w zamyślenie. Zdumiał się nad wypadkiem, który tak złączył jego poprzednie myśli ze słowami poety.

— Czuwać muszę, będę...

.
Lecz — o słodki i pełen dobrych intencji mężczyzno, na czem polegać ma twoje czuwanie? Jaki jest jego cel? Co pragniesz osiągnąć?

Jak najgorętsze przywiązanie do siebie tej „duszy prostaczek i nic nie wiedzącej“, użycie tego przywiązania za podłoże swych erotycznych dreszczów, zabarwionych błękitno syntementem romantyków i przede wszystkim osią-

gnać wyłączność, tę wyłączność, która cechuje mężczyzn, strzegących zazdrośnie swej cygarniczki, konia, strzelby i kobiety. Niektórzy dołączają jeszcze wrażenia głębszej natury i chwilę, gdy patrzą wprost na swego ducha, odczuwają go i widzą blask jego, jakby rozświetloną promiennie lampę kryształu. To pozostaje dla nich samych wyłącznie, i ci, którzy się izolują w rzadkich chwilach poznania samego siebie, nie chcą, aby ktoś także nasycił się u jednego z nimi źródła. Takim człowiekiem był Krajewski. To, co opowiadał damom na fixach i zebraniach, nie było tą prawdziwą syntezą jego upoięń umysłowych i sercowych.

Nie, on, „przegadując“ kontredanse i walce, pamiętał, że u kobiety ma wartość nie to, o czym się mówi, ale jak się mówi. I mówiąc całe godziny, ten *beau causer*, ten człowiek, o którym się mówiło: „i taki inteligentny“, który zdawał się odsłaniać całą swą wiedzę, wrażenia, odczucia, poglądy z hojnością i rozrzutnością inteligentnego magnata, ten człowiek ani na chwilę nie sprzeniewierzał się swojej dewizie.

To, co mi drogie, jest moje wyłącznie...

.

Poranek dziwnie szybko stał mu się drogi, i stąd Krajewski zapragnął, aby stał się jego wyłącznie.

.

Przyszło mu na myśl, że w turkocie dorożek, które od czasu do czasu przejeżdżały przez ulicę, może nie posłyszeć stukania Frani.

Wyskoczył z pościeli i uchylił drzwi. Przez szparę zaczął lecieć prąd zgnilego, zimnego powietrza.

— Czy przyjdzie?

I znów leżał z oczami utkwionymi w sufit, paląc papierosa za papierosem.

Nagle zaszemrało koło drzwi.

Pchnięte pewną ręką, otworzyły się.

— To ja!

Wpadł Poranek — nie Poranek.

.

Zmienioną była, inną, a przecież sobą.

Strojny, duży czarny kapelusz, ubrany białymi skrzydłami, powiewał na głowie. Suknia w kratki (tak zwana pepitta), z żabotem białym z walansjenek. Na to wszystko narzucony długi, czarny płaszcz z cienkiego sukna, z wielkim spadającym kołnierzem, z czarnej irlandzkiej koronki, podbitej białą, trochę brudną taftą.

Twarz Frani była rozpalona, z wypiekami ciemnej barwy, usta spieczone. Cera jej olśniewająca jakby przyćmiona. Białe, silnie zbrukane rękawiczki miała uwieszone u torebki z białych paciorek, a w rękę czarne, dość piękne *en cas*.

Strój ten przeistaczał ją.

Nie dodawał jej wdzięku. Była bowiem z tych, które nie są stworzone do stroju. Nie umiała nosić rozwianego płaszcza z grandezzą genueskiej dogressy, ani przyćmiewać puchem włosów jeszcze więcej cień, rzucany przez Gainsborough czarny, który miała nad czołem.

Lecz Krajewski w pierwszej chwili tego nie odczuł.

Wyciągnął ręce.

— Poranku!

Ona, która chwilę jakby się wahała koło progu, jakby nie była pewna siebie i swej sytuacji, jednym ruchem rzuciła z głowy kapelusz i szybko padła Krajewskiemu na piersi.

— Tatuńciu! ..

.

W godzinę później Frania, w krótkiej halce półjedwabnej, w zielone i białe paski, w koszuli, związanej bia-

łemi wstążkami, z całą uwagą i skupieniem gotowała na maszynie kakao. Stała bosa, z roztarganą fryzurą i była podobną do Greuzów, pół-niewinna, pół-świadoma, z ustami zaciśniętymi, z wyrazem natężonej nerwowości.

Krajewski patrzył na nią z pod wpół przymkniętych powiek. Do tej chwili nie mieli czasu zamienić pomiędzy sobą nic więcej, jak luźne uwagi i zapytania. Cali pogrążeni w nasyceniu głodu pieścizot, który zdawał się przenikać ich oboje z jednaką prawie siłą, spędzili tę godzinę, nie wychodząc wspólnie z objęć.

I tylko Krajewskiemu zdało się, że Frania dnia tego była więcej i silniej pragnąca nie tylko ulegać mu, lecz być choć w cichości tą triumfującą, tą, którą przebiega płomień, wznoszący na chwilę kobietę aż pod wieńce gwiazd.

Dopiero teraz, gdy, nasycony, zapalił papierosa i śledził przez delikatną zasłonę dymu świeżość dziewczyny, białość jej nóg, śliczny kształt piersi, podnoszących delikatne walansjenki koszuli, zastanowił się nad zmianą jej stroju, nad tym tanim wykwinem, który ją otaczał.

— Frania dzisiaj wystrojona! — zaczął — no... no... Odwróciła się szybko od niego.

— Tatuńciu! ta to dziś niedziela! Każde bydlę się wyczese i wylize. Ja się też tak wystroiłam. Nieładnie mi?

Porwała kapelusz, włożyła na roztargane włosy.

— No? jak?

— Ja wolę Franię bez tych skrzydeł.

— Tatuńciu! też to gołębie... to cudne.

Zdjęła kapelusz, głaskała z lubością skrzydła i przytulała do twarzy.

— Jak to rankiem grucha.. — mówiła — tak jakoś jakby jęczy, czy co. Ja zawsze myślałam, że to dusze młodych dziewczyn wchodzą w gołębie i tu zimuja, nim się czego lepszego doczekają... Co, Tatuńciu?

— Może, Poranku! I ty może kiedyś będziesz gołębkiem.

Posmutniała.

— Nie, Tatuńciu.

— Dlaczego? przecież sama mówisz, że młode dziewczyny...

— Jaka ja dziewczyna. Przecie sam wiesz...

— Ale byłaś.

Machnęła ręką.

Uczuł gryzącą potrzebę dowiedzenia się wszystkiego.

— Chodź tu, Porankul...

Ona spojrzała na niego przelotnie i ze zmiany jego twarzy odgadła, że zacznie się tortura badań.

— Nie mogę, Tatuńciu, kakao skipil...

— To mi powiedz kto? ..

— Co?...

— Rozumiesz dobrze. Kto miał cię pierwszą?

Milczenie.

— Powiedzi — nalegał — ja się z tego śmieję. To dla mnie nie ma znaczenia.

Przyłgnęła plecami do ściany. Opuściła ręce wzdłuż ciała. Wyglądała przez chwilę, jakby ustawiona na szafocie.

— Powiedz...

Skurcz bolesny go przejmował. Uśmiechał się przecież, strzepując popiół.

— Nie pamiętam...

Wykrztusiła to, jakby z zaciśniętego gardła. Wreszcie zachmurzyła się i rzuciła gniewnie:

— Jak cię to nie obchodzi, to czego nastajesz? I... zresztą daj mi spokój.

Mleko w tej chwili zakipiało.

Rzuciła się.

— O! jeszcze mi zbiegniel...

Odwrócił się. Czuł, że ta drobna, napozór słaba istota nie powie mu nic i strzedz będzie silnie swej tajemnicy najboleśniejszej, najbardziej tajemnej, jaką kobieta mieć może.

Ona tymczasem zbliżyła się do niego ze szklanką kakao. Sprawnie, arkuszem białego papieru, nakryła stolik, ułożyła rogaliki, na spodeczku cukier i klasnąwszy w dłonie, zawołała:

— Ecco!

Poczem podała mu wdzięcznie szklankę, uklękawszy przy otomanie.

— Pij, Tatuńciu!

A widząc, że milczy, śmiać się rozkosznie zaczęła.

— Tatuńciu, a odwróć - że się frontem. Ta co? Ta raz człowiek żyje, nie na to, aby się gniewał! Jak kury ze śmietnika dziobią ziarna, to tak i my, Tatuńciu, powinni wydziohywać, co się da wesołego. No... nie?

Uczuł, że ma rację. Filozofja tej duszy „prostaczej, która nic nie wie“, rozbijała go.

— Papaj śniadanie! — prosiła.

— A ty?

— Ja później. Jak Tatuńcio zje... Papaj!

Egoistycznie zabrał się do jedzenia. Rozkoszą przemawiało go to staranie się dogodzenia mu w domowych drobiazgach.

— I rozburnios się! — prosiła wdzięcznie — taki jesteś zawsze odęty.

— Ja nie jestem odęty, Poranku, tylko smutny!

— A czego jesteś smutny?

Zakreślił ręką niepewny gest. Smutek jego wydawał mu się mieć tak rozległe i zamierzchłe przyczyny, że nie mógł znaleźć słów na określenie go.

Czekała chwilkę, wreszcie wzruszyła ramionami.

— Ot, jesteś smutny, Tatuńciu, z łaski na uciechę. Sam nie wiesz czego. Ale ja cię rozweselę. Zobaczysz. Nauczę cię tak śmiać się, jakeś już zapomniał...

— Nie, Poranku, ja się nigdy nie śmiałem.

— O! a jakeś był bachorem...

— Ani wtedy.

Zamysliła się.

— To musiałeś mieć mamkę! — wyrzekła poważnie.

— ?...

— No tak. Bo jak dziecko własnej matki nie ssie, to takie dziecko wyrośnie na takiego paternostra, co się ciągle czegoś trapi. To się nazywa zatrapieniec.

— Utrapieniec...

— Nie, Tatuńciu! Utrapieniec to taki, co innych trapi, a zatrapieniec to taki, co się sam zatrapia.

— Al...

— Ale i jeden, i drugi źle robi.

— Cóż począć?

Zaczęła się śmiać.

— O! śmiać się.

— Boś ty, Poranku, jeszcze młoda. Ile masz lat?

Rozłożyła ręce.

— Choć strzel — nie wiem!

— Jakto?

— Ta nie wiem, Tatuńciu.

Zobaczyła swój list na stole. Pochwyciła go szybko.

— A co? ładnie napisane? co? podobał ci się mój list, Tatuńciu?

— Podobał.

— Na drugi raz to ci jeszcze inny, dłuższy wysztyftuję. Teraz już nie było czasu...

W nim nurtowało ciągle pytanie: gdzie była, co robiła, dlaczego nie przyszła. Ale teraz zaczynał ją trochę znać. Gdy zechce, zatnie się w milczeniu, nie odpowie.

Rzucił więc nagle, jakby od niechcenia:

— A ja byłem wczoraj na Lyczakowskiej.

— Gdzie?...

— A tam, gdzie mieszka twoja siostra.

Jakby się zmieszała. Zaczęła patrzeć na niego z nieufnością.

— Cóżeś tam chciał, Tatuńciu?

— Dowiedzieć się, czy ciebie tam niema.

— No... i... co...

— No, że ciebie nie było, ale i twoja siostra gdzieś pojechała ..

— Moja siostra była wczoraj w Drohobyczu.

— Po co?

— Taki jakiś nafciarz, czy coś tam, co wierci w ziemi i ma takie wodociągi, co sikają petrolem, to odjeżdżał, no i go odprowadzali..

— A ty skąd wiesz o tem?

— A bo... spotkałam się z nią na ulicy.

Odstawił szklankę na bok, cały wzburzony.

— Ja cię prosiłem, Poranku, żebyś się z siostrą nie wdawała.

Zaczęła się śmiać przeciągle.

— No, jak się z nią na ulicy spotkam, to przecie do ścieku się nie schowam i muszę ją pozdrowić.

— Ja sobie tego nie życzę.

Umilkła.

— A potem... gdzieś była wczoraj? dlaczego nie przyszłaś?

— Bo miałam robotę.

— To nieprawda. Pracownia była wieczorem zamknięta. Ja tam byłam.

Cień przemknął po jej twarzyczce.

— Ja szłam w domu.

— ?...

— Tak. Pani miała iść na imieniny, więc rozdała robotę do domów.

— Dlaczego mi o tem nie napisałaś?

— Bo widzisz, takie duże litery to zajęły cały papier,

i już nie było mienśca. Ja chciałam to dołożyć, ale byłby się cały list popsuł.

Porwała się z ziemi.

— Nie będziesz już pił?

— Nie. Dziękuję ci.

— Teraz ja. Bo mi aż kiszki marsza grają.

Za chwilę usiadła na fotelu z nogami i piła ze smakiem kakao, zanurzając różowy nosek w szklankę.

Patrzył na nią, jak jadła, i podziwiał w niej w tej chwili doskonały typ nasycającego się zwierzątka. Szczególniej ładnie ogryzała cukier, obracając go w rękach na podobieństwo wiewiórki. Słowa jej tłumaczenia uspokoiły go. Poddął się cały urokowi, jaki wywierała na niego.

Wyciągnął ramiona.

W tej samej chwili porzuciła jedzenie i przyswojonym już sobie, czarującym gestem kornego posłuszeństwa upadła mu znów na piersi, jak kwiat różowo-biały o mocnym, upajającym zapachu.

XVIII.

Cały dzień spędzili razem.

Byli grzeczni, mili, dobrzy; pełni dla siebie uprzedzających dowodów sympatji.

Ujęła go bardzo delikatnością, z jaką dyktowała obiad, który miała z pobliskiej restauracji przynieść Romanowa. Dziękowała mu serdecznie za kilka pomarańcz i tabliczki czekolady, kupione na deser w grajzlerlni. Wszystko jej smakowało, ze wszystkiego się cieszyła. Najwięcej z promieni słonecznych, które wpadały ukosem przez okno bez firanek. Zachwycił ją hiszpański walc, wygrywany za ścianą. W halce i boso zaczęła tańczyć, ale bez gracji i wdzięku,

trochę ciężko i nie do taktu. Zaraz jednak wdzięcznie zatarła to wrażenie, bo zaczęła gwizdać cichutko i wdzięcznie, jak uczony ptak. I to świergotanie o zmierzchu, gdy już cały pokój tonął we mgle nocnej, a tylko z pieca dobywały się konające blaski, potęgowało wrażenie, że jest tu złowione do klatki jakieś boże ptaszę, rozśpiewane i łudzące się, że żar dogasających drzew to purpura słoneczna.

Przez ten cały dzień zdało się chwilami Krajewskiemu, że poznał trochę duszę tej dziewczyny i głębię jej charakteru. To znów wymykał mu się z rąk jakimś jednym zwrotem, którym niweczyła prawie piedestał wielkiej, dziecięcej prostoty, na jakim ją stawiał. Ta gra, w połączeniu z podrażnieniem słodkiem, a mimo to silnem, zmysłów, podniecała go gorączkowo.

Jej zapytania były naiwne, a odpowiedzi, które mu dawała, często nacechowane bezwiednym, filozoficznym spokojem.

I to właśnie było cechą widoczną jej charakteru. To, czego nie wiedziała, przedstawiało się jej w naiwnie niewyraźnych barwach. To zaś, co sama przetrawiła, co miała w sobie, co z nią widocznie przyszło na świat i było tą światłością, która mozolnie dobywała się na wierzch, leżało w niej warstwami ułożonemi, według jakiejś, jakby chłopskiej metody, która zaczynała zdumiewać Krajewskiego. I rzeczywiście chwilami cała ona ze swą promienną świeżością, ze swą trochę upartą czaszką, sposobem jedzenia, ze sposobem spoglądania z pod oka i tą monotonną szybkością, z jaką odpowiadała na jego badania, lub znowu zacinaniem się w tajemniczem milczeniu przynosiła ze sobą wspomnienie chaty, bielonych ścian, przesiąkniętych wonią kwasu, hładyszek u płotu, naiwnej w swej nieufności, wieczystej nienawiści i słonecznego genialnego instynktu.

Najbardziej uderzyło to Krajewskiego, gdy Frania po obiedzie zapadła w ciężki długi sen. Patrzył na nią, jak

leżała z nosem wgniecionem w poduszkę, z rozrzuconemi członkami, bez żadnej estetycznej linji, które zachowują, mocą przyzwyczajenia, wykwintniejsze, kształcone kobiety.

Pot spływał jej z czoła, sapiała trochę, ale leżała nieruchoma, jakby wyczerpana, jakby padła pod stertą, znudzona ciężką pracą, wśród łąnów szumiącego zboża.

Później, gdy nadzwyczaj silnie myła twarz i ręce mydłem, pochylona nad miednicą, zapytał ją z nienacka:

— Czy ty jesteś ze wsi?

— Nie, Tatuńciu.

— Z miasta?

— Przecie. Z mieszczan.

— Myślałem, że jesteś ze wsi.

— Też! Cóż to ja mam z chłopianki?

— Masz, Poranku!

Zaczęła patrzeć uważnie w lustro, zawieszone nad umywalnią.

— Ja mam nos greckil — zawyrokowała.

— Ty cała jesteś Greczynka, Poranku, swoją chęcią do życia, ukochaniem życia i umiejętnością cieszenia się tem ukochaniem.

— Nie pleć, Tatuńciu!

Po chwili dodała:

— A teraz się odwróć.

— ?...

— Bo — będę się czesać.

— A więc?

— Ja nie chcę, żebyś widział, jak ja się czeszę. To nieprzyzwoicie.

Zastanowiło go to.

— Dlaczego?

— Bo to już tak jest.

I pozostało to już na zawsze między nimi, ta jakaś dziwaczna i niewytłomaczona pruderja, która dozwalała jej

słaniać się przed jego oczyma w całym blasku przepysznej swej nagości, a zabraniała patrzeć mu na rozpuszczone włosy i na ręce jej, wiążące te włosy, lub rozplatające je harmonijnym wdzięcznym gestem.

Leżąc odwrócony od niej, słuchał znów jej cichego pogwizdywania i dziwił się, że gwizdała przeważnie piosenki, śpiewane w szantanach. Właśnie gwizdała *Kleine Grette*, gdy przerwał jej nagle:

— Skąd ty umiesz to gwizdać, Poranku?

Urwała i zaraz odparła:

— Słyszałam.

— Gdzie?

— Na ulicy..

— Dobry masz słuch.

— Co mam dobrego?

— Słuch!

Wydeła śmiesznie usta.

— A gdzie to jest?

— W uchu.

— Co ty pleciesz, Tatuńciu! Taże w uchu nic niema, bo, jak marna mucha wleci, to wpadnie do głowy i wygryzie, co tam jest, i człowiek musi umierać, a to żeby tam jakies coś siedziało! W uchu nie śmie być nic, nawet tyle, co brudu za paznogciem.

— Chyba nie u ciebie.

— To się wie. Muszę być zawsze jak z pudełka!

Ubierała się teraz i czesała bardzo starannie. Gdy pozwoliła mu się odwrócić, stała już w sukni przed lustrem. Na stole paliła się już lampa. Krajewskiemu wydała się znów inną, mniej kształtną, jakąś jakby kłamliwą, w tym gorsecie, z dość kunsztownym czubem, związanym nad czołem.

— Dlaczego się tak stroisz, Poranku?

— Bo idę, Tatuńciu!

Usiadł na otomanie, doznając wielkiej, dojmującej przykrości.

— Dlaczego, Poranku? Dziś niedziela.

— Muszę, Tatuńciu. Obiecałam...

— Komu? co?

— Obiecałam jednej mojej przyjaciółce, wiesz, takiej co się z nią przyjaźnię, że jej pożyczę swego kapelusza. To muszę.

— To jej nie pożyczysz...

— Nie mogę, Tatuńciu. Między nami tak nie można. My ze sobą zawsze sztamę trzymamy. Ona dziś ma się z kimś widzieć... ona musi mieć mój kapelusz. To dla niej bardzo ważne. Ja tu jutro przyjdę i dokończę sprzątać.

Zajęła się bowiem bardzo gorliwie i starannie posprzątaniem pokoiku Krajewskiego. Czyniła to zręcznie, chętnie, z niczego stwarzając miłe wnętrze. Wyciągnęła z kąta jakieś ładne firanki jedwabne, zielone, haftowane, które Krajewskiemu gwałtem sprzedała jakaś uboga wdowa.

— To się powiesi nad otomaną! — wyrzekła — a już co chcesz zrobić, ale, Tatuńciu, musisz kupić firanki do okien i pokrycie na otomanę. Serwetę na stół ci przyniosę, bo mam w domu. A jak będę miała pieniądze, to ci fundnę taką skórę białą przed sofę, bo to tak ślicznie wygląda...

Obtarte z kurzu sprzęty, ustawione dość umiejętnie, książki, poukładane na etażerce, która do tej chwili służyła za skład kaloszy i butów, parawan naprawiony, kryjący piec, maszynki do gotowania, nasiadówka i inne sprzęty — wszystko to zebrane, złączone w jakąś logiczną całość, tworzyło dość przyjemny wygląd. Krajewski z przyjemnością rozejrzał się dokoła.

— K o b i e t a tu weszła! — pomyślał.

Lecz nie to samo sprawiało mu taką przyjemność, że czysto było, pewien ład i harmonja, lecz to, że czuł w tem krzątaniu się Poranka, iż to nie ptak przelotny,

lecz ktoś, co gniazdo swe chce kształtne uczynić, bo zabiera je w posiadanie na dłuższy, stały pobyt.

— Wróci! — radował się — wróci!

I dlatego nawet zgodził się na to odejście Frani, łatwiej może, niż ona sama przypuszczała.

— Więc idziesz do domu, Poranku?

-- Tak!

— Prosto?

— Jak strzel!

— Na Zamarstynów?

— ?...

— A no, przecież tam mieszkasz.

— Al tak! tak!

— A więc chodźmy, bo dziś to już trudno, ale ja cię odprowadzę.

— No... dobrze.

Ubierała się teraz powoli, jakby namyślała się nad czemś, patrząc w lustro. Wreszcie odwróciła się. Wzrok jej padł na miednicę, stojącą na umywalni, w której myła twarz. Woda była dziwnie czarna, jakby sadzami pokryta, Pochwyciła miednicę, podbiegła ku oknu, otworzyła je w jednej chwili wylała wodę na ulicę.

— Poranku! — zawołał Krajewski.

Lecz ona śmiać się zaczęła.

— No co? niema nikogo, Tatuńciu, na ulicy, ani strugaja, ani policaja...

— Ale przecież tu jest kubelek...

— Nie. Tak lepiej.

Uważnie płukała i wycierała miednicę.

— Tak się człowiek w tym Lwowie zabrudzi, że ma gębę, jak dziki człowiek, albo taki, co wrócił z kolei.

Wsunęła mu rękę pod ramię.

— Chodźmy!

Ale uwiesiła mu się nagle u szyi.

— Dziękuję ci, Tatunieczku.

— Za co, mój Poranku?

— Za taką śliczną niedzielę. Tak było miło, tak cicho, że aż mi w sercu dobrze.

Ogarnęło go rozrzewnienie za tę wdzięczność.

— To ja dziękuję ci, Poranku! Ty mi oddałeś cud twego ciała, a ja nawzajem nie miałem cię czem przyjąć.

— Co też ty gadasz, Tatuńciu, była czekolada, i pomarańcze, i obiad, i wsi o! Mnie więcej nie potrzał!

Tarła swą głowę delikatnie o jego piersi.

— My tak będziemy co niedziela się kochali. To łatwiej będzie nam znieść wszystkie szkaradztwa w tygodniu. Co?...

— Tak! tak!...

— Bo ja zawsze sobie mówię, że złemu sprzykrzy się i musi nastąpić dobre... A teraz chodźmy!

Wyszli.

W sieni Romanowa parała się z potarganą słomianką, na której czarnymi literami wypisane było *Solve*.

— Psiakrew! bodaj go...

Frania stanęła.

— A co się stało?

Romanowa wskazała tragicznym gestem na słomiankę.

— Jakaś cholera potargała... o! . teraz rządczynia wytrąci z tych dwóch guldenów.

Frania szybko sięgnęła do woreczka.

— Macie.

Dała stróżce srebrnego guldena.

— Dziękuję panienco! Niech panienka będzie zdrowa i szczęśliwa.

Lecz Poranek nie słuchał tych podziękowań. Patrzyła na słomiankę.

— Tatuńciu! co to za litery? co tu napisane?

— Przeczytaj.

— Kiedy... mnie oczy bolą.

— Salve.

— To po żydowsku?

Krajewski zauważył, że dla Poranka wszystkie języki obce były żydowskimi.

— Nie.

— A co to znaczy.

— Witaj!

— Niby taki, co wchodzi do domu, to go się wita.

— Tak!

— A... a jak złodziej? to go się wita?

— No... nie. Ale trudno wszystko układać tak, aby przewidywać, że są podli na świecie.

— Złodzieje nie są podli.

— ?...

— Tak. Oni tylko nie mają. Jakby mieli, toby nie kradli.

— A czemu ty pracujesz, a nie kradniesz, Poranku?

— Bo już mam to, co chcę. Jakby mi się chciało więcej, a umiałabym dobrze kraść, tobym ukradła.

Szli teraz szybko po ulicy, trzymając się pod ręce. Frania miała, jak zawsze, głowę opuszczoną. W słowach jej dźwięczała jakaś nieznana Krajewskiemu nuta.

Pomyślał, że jest to „dusza prostacza“, a więc trzeba przemówić do niej, jak do takiej właśnie, bo mróz go zdjął nie na same słowa, które wypowiedziała, ale na ten dźwięk, który zabrzmiał dziwnie w jej głosie.

— Franiul przecież złodziejstwo to grzech...

Roześmiała się przeciągle,

— Grzech... — rozwiało nagle po pustce ulicznej.

— Tak, Franiul trzeba się z tego spowiadać.

-- Tatuńciul ta to przelewanie z próżnego w próżne. Nabroję, a potem pójdę, wygadam, wyterkoczę i już po grzechu! To po co takie komedje?

— Ty się nie spowiadasz, Franiu?

— Niel — odparła jakoś twardo.

— Nie wierzysz w Boga? Nie żałujesz, gdy co złego zrobisz?

— Ta co ty nagle tak do mnie przystajesz, Tatuńciu? Czy ty ksiądz? Czy ja na katechizmie z tobą jestem? Czego ty mi psujesz naszą niedzielę! Mnie zaraz tak, jakby kto nade mną gromnicę zapalił!

On upierał się przy swoim, zdjęty tem przekonaniem, że na prostą duszę kobiecą religja jest najsilniejszym wędzidłem.

— To źle, Poranku. Jak będziesz się modlić, to przekonasz się, że po modlitwie niema strachu, tylko właśnie jest miło i dobrze.

— Mnie najmilej i najlepiej z tobą.

— Tak. Bo mnie kochasz. Ale jakbyś mnie nie kochała, a żyła ze mną, to byłby grzech przeciw Bogu.

Wydeła usta.

— Pan Bóg ma co jenszego do roboty, jak patrzeć, co taka ja robię! Ja tam w to nie wierzę.

Nagle szarpnęła rękę nerwowo.

— Il il... daj mi spokój, Tatuńciu! Ostaw mnie z takimi pogrzebami, bo sobie pójdę.

Złakł się i ujął ją za rękę.

— Nie. już nie. Nie będę więcej o tem mówił.

Ale przyrzekł sobie powrócić jeszcze do tej kwestji. Nie spodziewał się bowiem znaleźć w Poranku zbuntowanego ducha. Chciał z wiary zrobić sobie główny czynnik dla zapewnienia sobie wyłącznego posiadania tego świeżego i miłego mu ciała.

Szli teraz jeszcze szybciej. Ona, jakby uciekała, chmurna i milcząca. Jeszcze niesporo było zacząć z nią rozmowę. Wreszcie on zapytał:

— To na Zamarstynowie?

— Tak.

— A który numer?

— Nie wiem.

— Jakto?

— Powiedziałam ci już raz, Tatuńciu, że ja ulicy i numeru to nie bardzo znam. Wyniucham, jak pies. Przecie pies też numerów nie zna, a trafia. Ja wszystko wyniucham — i złego człowieka takżel

Chwilkę milczała, potem dodała już wesoło:

— Dlatego mnie nikt nie weźmie na kawall...

Jakiś triumf z drgał w jej głosie, który przykro uderzył Krajewskiego.

— Lepiej dla ciebie.

— Pewnie!

Uczuł, że jest zmęczona. Zwolniła kroku. Uwiesiła mu się jakby na rękę. I on szedł wolniej. Znużenie jej ogarniało go powoli.

— Zmęczona jesteś?

— Pewnie. Całą noc nie spać.

— Całą noc? dlaczego?

— Ach, Boże! szylałam przeciel...

— Ach! tak!...

Szli jeszcze, ale raczej się wlekli. Przejeżdżała pusta dorożka. Krajewski dał znać laską. Dorożka podjechała.

— Siadaj, Poranku.

— Ijl... szkoda pieniędzy. To wielki kurs!

— Siadaj!

Wsiedli.

— Powiedz mu, Tatuńciu, niech jedzie prosto główną ulicą, a mu powiem, gdzie się zatrzymać.

Pojechali. Buda była podniesiona z powodu wilgoci.

Natychmiast wzięli się w objęcia i zaczęli się całować, jakby po kilkuletniej rozłące.

— Tak! tak! w buzię, w nosek, w uszy... — powtarzała Frania... — i jeszcze tak! i jeszcze tak!..

A potem, jakby odpowiadała na jakąś myśl ukrytą:

— Ty jesteś Porankowy Bóg!... słyszysz, Tatuńciu!... słyszysz, Tatuńciu!...

— Słyszę, Poraneczku... słyszę!...

W umyśle jego przemknęło.

Poganka! majowa, prosta, rozwiana i poszukiwaczka czysta wdzięku, pogody, jasności, którą koncentruje w jedynem jej dostępnem uczuciu, wielkiej przemocnej miłości i odrzucająca żal jak Grecy, hardo i bez żadnej płaszczącej się bojaźni.

XIX.

U wylotu jakiejś wąskiej, ciemnej, schodzącej ku polom uliczki Frania pociągnęła za płaszcz dorożkarza.

— Proszę tu stanąć!

Wysiedli.

Krajewski zapłacił. Frania pilnie kontrolowała, czy dorożkarz nie „zdarł“ zanadto za ten oddalony kurs.

— Tyle się nie należy! — wołała — to nieprawda, nie płać tyle, Tatuńciu. To gumy tyle biorą, gumy! a nie takie stare rzeszoto, zaprzągnięte w zdechłą krowę.

Krajewski zapłacił jednak, co żądał ów woźnica, brzydki Żyd, o kosem wejrzeniu, który, charkocząc coś, z chrzęstem starego żelaza zawrócił i odjechał.

Pustka była dokoła.

Małe domki zapadały się w ziemię. Gdzieniedzie w oknie świeciło się żółte światelko. Z daleka słysząc było ujadanie psa i tony harmonji. Wiało zgniłą, rozmokłą ziemią i brudem ludzkim i zwierzęcym.

Poranek wyciągnął ku Krajewskiemu rękę.

— Bądź zdrow, Tatuńciu!

— Jakto? ja ciebie odprowadzę aż do drzwi.

— Kiedy tu błoto, tu ciemno...

— Ty idziesz, to i ja pójde.

Wziął ją pod rękę. Zaczęli iść wąską drożyną ku polom, od których wiało nie świeżością, ale rozmokłemi śmietnikami. On jednak pogrążony był cały we wrażeniu, jakie uczyniły na nim słowa Frani, rzucone dorożkarzowi.

— Gummy tyle biorą!

To znaczy, że dorożkami na gumach zajeżdżała tu kiedyś, na Zamarstynów, skoro znała ich cenę.

Nie mógł wymódlz na sobie milczenia i zapytał ją po chwili.

— Skąd ty, Poranku, wiesz, ile dorożka na gumach bierze na Zamarstynów?

Odpowiedziała mu natychmiast:

— Bo raz nią tu przyjechałam.

— Kiedy?

— Byłam chora. Pani mnie z pracowni odesłała. Nie było innej dorożki, wzięli taką na gumach.

— Al...

Obejrzał się dokoła.

Byli w ciemni, w zgniliźnie, w grozie jakiejś potwornej i niepewnej. Zdawało się, że istnieć tu mogą jakieś niższe twory, potrzebujące niezmiernie mało powietrza, nie oddychające prawie, nie tętniące, pełzające wśród grząskiego, lepkiego błota, pełne najgorszych, kielkujących instynktów.

— Ty mieszkasz tu, Franiu?

— Tak!

— Ależ tu... straszno!

Roześmiała się.

— Ja się nie boję.

Rzeczywiście, szła, stawiając nogi pewnie, widząc

w ciemnościach, prowadząc Krajewskiego, który czuł się jakby złapany w czarną, tragiczną sieć.

— I ty... tu wracasz po nocy?

— Tak!

— I... nic ci się nigdy nie stało?

— Co mi się może stać? Tu przecież sami swoi!

.

Nie odpowiedział nic.

Wpadło mu to słowo w głęb, na samo dno duszy.

Ta jego dziewczyna właściwie miała swoich tu, w tej jamie, po której pełzały obłoczone, znikające w cieniu widma.

Słumił tę myśl. Jakby podjął garść błota i narzucił na świeżo zrodzoną.

Poranek zatrzymał go przed piętrowym domkiem.

— Tu mieszkam! — wyrzekła.

Z suteryn biło żółte światło przez niezasłonięte dwa nieduże okna.

— Gdzie?

— Tu... w suterynie, u praczki.

Przybliżył się chwilę i patrzył na to wnętrze, które nie miało tajemnic i odsłaniało całe swe ubóstwo, bez zazdrości dla skarbów, które zwykle jedwabnemi osłonami kryje wykwintny zbieracz przed profanacją ulicznego wejścia. Jakieś postacie brutalne i odziane w miejsko-żydowską liberję proletariatu, jak w latarni magicznej, poruszały się leniwo lub trwały w nieruchości, przyklepione do ścian szarych, upstrzonych jaskrawemi plamami obrazów, jakoby świętych.

Było ich kilkoro w ciasnej przestrzeni. Trzy kobiety siedziały rzędem na jedynym łóżku, wsuniętem w róg stancji. Jakiś mężczyzna rosły i silny w obłoczonych butach stał przed niemi i opowiadał coś, kołysząc się lekko. A twarze kobiet rozjaśniała gorączka zaciekawienia. Szczęki ich

wysuwały się naprzód ruchem zwierzęcym, ręce tarły kolana. Jakieś dziecko pełzało po ziemi, z sukienką uwiązaną u szyi. Robiło wrażenie robaka zbyt długiego, które łała chwila ktoś rozdeptało zbłoconym butem. I nie mówiło w tym wnętrzu, że tu się przechowywała czystość natury, będącej poza epoką, natury wstecznej, ale jakby zamkniętej w cyborjum, strzeżonej przez milczących aniołów, o opuszczonych wzdłuż złotych szat skrzydłach. Aniołów Belliniego, rozmodlonych i słodkich.

Nie... przez to, czego ta suteryna była naczyniem, przelewał się pełny dech trujących bagien, które zdają się nie dopuszczać do dusz ludzkich świadomości, że kwitną cudne róże czerwcowe i że w pięknie rozlewnym i podniesionem do wszechwładztwa tkwi moc odczuwania subtelnych rozkoszy, będących jakby kołysanką zbrodniczych instynktów, wrodzonych każdej ludzkiej istocie.

— No, Tatuńciu! do jutra!.. — zabrzmiał koło niego głos Frani.

Odwrócił się szybko i ujął jej twarzyczkę w obie ręce. Patrzył jej w oczy i zdawało mu się, że w niej właśnie uosabia się dla niego w tej chwili ta verlainowska kochanka, gasząca ognie namiętności w łonie, aby zapalić w swych oczach cichą lampę przyjaźni.

Twarzyczka jej była łagodna i omdlała w jego ciepłych dłoniach. Na ustach wykwitł uśmiech dobrej pieszczoty. I zdało mu się, że zbrodnią jest tę kruchą, delikatną, przeświecającą duszyczkę rzucać w tę jamę, która na nią czekać się zdawała.

— Wróć, Franiu, do mnie! — wyrzekł przyciszonym głosem — nie idź tam! To Bóg wie kto!

Wysunęła mu się z rąk.

— Nie, Tatuńciu! to bardzo porządne ludzkie.

— Bóg z nimi!.. Ale to nie dla ciebie to mieszkanie. Ja ci wyszukam inne...

— Kiedy muie tam z nimi dobrze, Tatuńciu!

Ogarnął go smutek, ale zarazem i wzmogło się w nim postanowienie, że bądź co bądź wyrwie ją z tego otoczenia.

— Idź już, Poranku! — wyrzekł, całując ją gorąco.

Oddała mu ten pocałunek.

— Nie, Tatuńciu! to ty idź. Ja będę stała na progu i będę czekać, aż się wydostaniesz na szeroką ulicę. Jak tam już będziesz, zagwizdaj. Będę spokojna, żeś cało doszedł.

— A widzisz, że jest tu niebezpieczeństwo.

Roześmiała się.

— Nie dla mnie... bo ja swoja, a ty nie swój!

Poszedł wąską, błotnistą drogą. Czuł ją jeszcze poza sobą. Gdy stanął na ulicy pustej, po której wichur jesiennej od pól hulał z jakąś zaciekłością, miotając jęklivymi, dalekimi wrzaskami harmonji, zagwizdał przeciągle i silnie.

Z błotnistej ciemni odpowiedział mu nagle wysoki trel słowiczy i wypłynęła rozpustna, pełna kanaliowatej, wiedeńskiej manieri polka:

— *Platz da! jetzt kommt die Grette!*

A Krajewskiemu się zdało, że wraca z pogrzebu jakiegoś małego dobrego dziecka, którego łagodne, miłe ręce czuł jeszcze na swem sercu splecione, w znak wielkiej miłości i spokoju.

XX.

Lecz gdy uszedł kilkanaście kroków, zatrzymał się nagle. Uderzyła w niego taranem ta myśl, że Frania czuła się dobrze wśród tego środowiska. Cóż dziwnego, że odrzuca jakąkolwiek myśl o żalu lub skrusze, o modlitwie lub Bogu, kiedy tam rzeczywiście nie było miejsca na jego

przestarzałe, zda się, pytania, które jej zadawał przed chwilą. Sądził, że trafi do niej właśnie tym szablonem utartym, tem *Sursum corda* dziecinnem i prostem, zda się, zbieraniem wśród ziół i traw polnych, wśród ewangelji głoszonych zmęczonemu, cichym głosem przez księdza prostaczką gromadce dzieci, które jeszcze mało wiedzą, a dużo wierzą.

W tej suterynie?

Skąd? jak?

Co to są za ludzie, którzy stanowią tło jej codzienne? Kto ją nauczył, że „religia zapala gromnicę”? Tchnie to Nietzschem i jego praktyką kościoła, która jest wroga życia. Jakiemże ona życiem tchnie w tej chwili? Czy takim, jakie on jej daje, otaczając ją swoją atmosferą?

Wróć, myśli, okna nie zasłonięte, słyszeć nie będę. Ale z gestów jej, ze spojrzeń wyciągnę wnioski...

Zaczął iść z powrotem ku domkowi, zamieszkanemu przez Franię. Lecz gdy doszedł do okien suteryny, spotkał go zawód.

Oto gęste kretonowe firanki były zasunięte szczelnie. Nic nie można było dojrzeć, tylko dolatywał pogwar zmieszanych głosów.

Ale Krajewski nie odchodził.

Stał na uboczu i wciąż patrzył w okna.

— Kto są ci ludzie? Może to jej rodzina. Może ta praczka to jej matka, a ona wstydzi się przyznać do swego niskiego pochodzenia. W sposobie bycia ma dziwny amalgamat, nie pozwalający na zupełne prostactwo, jak branie soli z solniczki palcami i czyszczenie zębów widelcem, z pewną brutalnością w zamknięciu drzwi, w strząsaniu ramionami, w pocieraniu palcami nosa..

Nagle coś w sieniach zatupotało i zaszumiało. Instynktownie Krajewski cofnął się w tył, w zupełny cień. Równocześnie z sieni wypadła Frania w kapeluszu i palcie.

Rozejrzała się sekundę, zawahała i nagle puściła się ku miastu.

Krajewski w pierwszej chwili zdrętwiał.

Frania wracała w nocy do miasta. Trzymała w ręku jakieś zawiniątko w białym papierze i biegła nadzwyczaj szybko.

Ani śladu zmęczenia, o którym mówiła, widać na niej nie było. Szła szparko jak młody koń, puszczonej na wolność. Gdy przechodziła pod oświetlonemi oknami widać było biel jej kołnierza i kołyszących się na jej kapeluszu skrzydeł.

Krajewski opanował wzruszenie i zaczął chytrze, ostrożnie iść za nią.

.

Niełatwa to była sprawa.

Frania biegła szybko, skręcając w zaułki, które zdawała się znać z wytrawnością wędrującego nocami kota. Czasem zdawało się Krajewskiemu, że straci ją z oczu. Z bijącym sercem śpieszył za jej migającym mu, w zwo-dnych światelkach, białym kołnierzem.

— Kłamie! kłamie! oszukuje! pędzi gdzieś w miasto, och! wstrętna mechanika kłamstwa, wydoskonalona i pokryta welonem prostoty.

Chwilami porywała go chęć rzucenia się na nią, porwania ją za bary i wbiecia po prostu w asfalt chodnika, jak słup nieruchomy i pełen grozy.

Lecz powstrzymał się całą mocą.

Chciał widzieć wszystko, przekonać się naocznie.

— Może tak co wieczór pędzi gdzieś światłami, uciekając ode mnie? I za czym? dlaczego?

Wirowały mu w głowie słowa Salomona:

Na tysiąc mężczyzn znalazłem jednego dobrego, na tysiąc kobiet ani jednej...

Chwilami żałował poprostu, że się wrócił pod okna

suteryny. Byłbym nie wiedział, myślał, byłbym żył w upo-
jeniu kłamstwa i to byłoby mi wystarczyło... Jestem wro-
giem siebie... rozbiłem mój dom, a teraz cierpieć będę,
bo oto ona skoncentrowała w sobie to uduchowanie mego
erotyzmu w przedziwny sposób. Równocześnie jednak
burzy i niweczy we mnie to, z czego byłem tak bardzo
dumny, to jest równowagę i spokój mego odnoszenia się
do tych, którzy mi jakąś krzywdę uczynili. Wywalczyłem
to w sobie z wielką mocą, z głębi legowiska, jakie sobie
słałem... Zaczęły mnie obchodzić już tylko maski złych,
a nie ich złość sama. A oto u niej, czuję, że nie będę
mógł obojętnie analizować jej maski. I czuję, że nie
tylko to samo przejście przez bagno jej zdrady będzie mi
bolesne, lecz to znalezienie się po drugiej stronie, na tru-
jącym bagnie zwątpienia i poszarpania duchowego, które
zdawało się już nie istnieć dla mnie!

.
Koło bóżnicy, gdzie jakaś czerń niewyraźna, ułożona
w tragiczne grupy nieruchome i zrezygnowane, przylgnęła
do murów, snuło się więcej przechodniów, i Krajewski
w pościgu swoim musiał natężyć wszelką uwagę, aby nie
stracić z oczu białych skrzydeł. Jak drogowaskazy jego szczę-
ścia, migały mu ponad głowami ludzi, lub tonęły w zwar-
tej masie kłócącej się ciżby po to, aby wypłynąć dalej
w samotności, królewskim ruchem łabędzia.

Frania ani na chwilę nie zwołniła kroku, przeciwnie,
rzeczy można, że jakaś gorączka gnała ją aby jak najprę-
dziej do celu, który widocznie zamierzyła. Przez chwilę
przyszło do głowy Krajewskiemu, że może Frania chce sa-
ma zanieść kapelusz swej przyjaciółce, lecz przypomniał
sobie, że w rozmowie powiedziała mu, iż ta przyjaciółka
mieszka na Zamarstynowie, a teraz byli prawie w śródmieściu.
Zaszumiały drzewa miejskiego parku, zaczerwieniła się masa
pomnika, rozłożył się ciężko biały gmach sejnowy. Cho-

choły róż, już poowijane na zimę, sterczały w klombach, życie marło i zastygało. Byli teraz we dwoje, bo przechodniów nie było widać zupełnie. Tylko brama końskiego kasyna lała potoki światła. Krajewski, który miał tam wielu znajomych, machinalnie podniósł kołnierz od palta. Chwilę uczuł niepokój. Poranek zatrzymał się przed jedyną, stojącą przed kasynem dorożką. Zamieniła słów kilka. Widocznie chciała wsiąść do powozu. Ale dorożkarz potrząsł głową odmownie, i dziewczyna pomknęła dalej.

Krajewski nie czuł nawet znużenia, tak go nerwy podniecone trzymały. Zdawało mu się, że idzie tak od lat całych po tych czarnych, oślizgłych ulicach za tą postacią kobiecą w czerni, z białymi u głowy skrzydłami. Chwilami zdawała mu się jakąś postacią mistyczną, akwafortową Redonowską zjawą, czemś *noir et blanc*, ujrzanem w opustoszonej sali jakiegoś wilgocią przesiąkniętego muzeum. To znów zabiegał wyobraźnią jej drogę i patrzył prosto w jej twarzyczkę, która w tej chwili musiała płonąć rumieńcem nerwowego wysiłku, lub blednąć dziwnym cza-rem wyczerpania. Ta ostatnia myśl sprowadziła mu wspomnienie Poranka, mdlejącego mu w rękach, z oczyma w pół-przymkniętymi, z jakimiś słowami, cicho konającymi na ustach, które on zbierał wargami, jak nawpół-rozwite kwiaty z ust jej, tchnących świeżością...

I to wspomnienie erotyczne było tak silne, że wyciągnął ku mknącej przed nim wizji ręce ruchem obłąkańca, jakby błagając, aby się zatrzymała i zaczęła znów dalej kłamlivy swój ciąg zwodniczej i upajającej historii „dobrego dziewczęcia“, utkanej przez nią samą z całą pracowitością zawodowego kłamcy.

Teraz ból Krajewskiego pomnożyła jeszcze jedna myśl. Oto, że Frania, będąc dla niego tak dobrą, tak łaskawą, tak wdzięczną, działała nie pod wpływem rodzącej się namiętnej chęci, lecz pod wpływem... litości. Z początku

zaciekawiona, spędziła z nim kilka wolnych, pustych godzin, ale następnie, ujęta jego osamotnieniem, ubóstwem i smutkiem, przyszła doń z jałmużną swej dobroci i swego ciała, jak się przychodzi na grób osamotniony, rzucając resztki kwiatów, które więdną zbytecznie w dłoniach. Przypomniawszy sobie, że z ową panną z „towarzystwa“, której rozpustny flirt wyczerpywał go do dna, zeszedł się raz na cmentarzu. Panna miała tego dnia blado-liliową suknię i bukiet fiołków u pasa. Wyglądała jak jakiś portret Whinterhaltera, i snuła się wśród grobów, rozwłócząc swe życie ponad trumnami, grzejąc ciepłem swych ślicznych stóp tych, którzy nawet przebaczyć jej obojętności nie mogli. Nagle, niewytłómaczoną zdjęta fantazją, odpięła fiołki i rzuciła je rozwiewnym gestem na najbardziej opuszczoną, wpadła w ziemię mogiłę.

— I tak były już wpół-umarłe! — tłumaczyła się z pod koronek parasolki.

Otóż te fiołki, ta osamotniona mogiła, przepych życia, ciepło stóp i ciepło całego ciała kobiecego, rozpalonego i drogiego, jak bezcenny klejnot, oddany w czasowe przechowanie spragnionemu znawcy, wszystko to, w wyobraźni Krajewskiego, zaczęło kształtować stosunek Poranka do niego. Myślał, że zaczyna z nią żyć, w zwykłym i utartym tego słowa znaczeniu. Tymczasem okazało się, że on właściwie był w jej życiu litościwą przygodą, kwiatem ubogim, bezwonny, znalezionym wypadkowo na ścieżce, któremu się przeznacza słuczony, nędzny wazonik, trzymając zdala od pysznych bukietów, wykwitających z opalowych, smukłych kielichów, po których pną się korowody srebrnych syren, gnących się jak powoje białe, oblane blaskami lśnjącymi księżycą.

Lecz oto i ten kwiat ubogi, o kilku zaledwie płatkach anemicznych i chorych, pielęgnuje litościwa dłoń dziewczyny. Zmienia mu wodę na równi z przepyszniemi, triumfalnemi

kwiatami salonu, lub jadalni i stawia na oknie w promieniu słonecznym. Kieruje ją miłosierdzie, litość, ukryta w rzęsach oczu błękitnych, w fałdach szat, w jej prapierwotnym pięknie, które, mimo wszystko, jest niejako rdzeniem jej istoty.

To samo piękno kobiecego miłosierdzia mogło wieść krokami Poranka. Odczuła szybko i instynktem, który nią ciągle kierował, że była tą oczekiwaną. Utwierdziły Krajewskiego słowa jej, wypowiedziane pierwszego wieczora.

— Ja ciebie rozumiem, żeś mnie znał, tęskniąc za mną!...

I przyniosła mu pięknym gestem jałmużnę swej dobroci, ciepłego serca, kojących dźwięków głosu i królewski dar świeżego ciała. Obecnie powracała śpiesznie do tego, co właściwie było jej życiem, tętnem jej życia.

Wydostali się na ulicę Ossolińskich, i oto Poranek mknąć zaczął pod domami, ale jakoś niepewniej, wolniej. Chwilkę zatrzymywała się, przystawała i znów szła dalej. Nagle... szybko dopadła jakiejś bramy i targnęła za dzwonek. Krajewski cofnął się pod sąsiednią, pod cień i czekał. Gdy posłyszał łoskot otwierającej się i zamykającej bramy, wysunął się z ukrycia.

Frańsi już na ulicy nie było.

Rzucił się patrzeć na numer domu, do którego weszła. Lecz oto stanął zdumiony. Była to ta sama kamienica, w której mieszkała krawcowa Poranka. Frańsia poszła widocznie do pracowni. W niedzielę? dlaczego? Ogarnęło go zdziwienie i pewna wielka, bezgraniczna ulga.

Do pracowni, a więc nie do kochanka! A o to głównie mu chodziło.

Lecz szybko zaczął znów się trapić chorobliwie. Może Frańsia tylko na chwilę wstąpiła do pracowni, może zaraz stąd wyjdzie, może...

Sam nie wiedząc, co robi, zadzwonił do bramy.

Odźwierny otworzył natychmiast, jakby czekał na niego za drzwiami!

Lecz to nie uderzyło Krajewskiego.

Zmienionym głosem zapytał:

— Chciałem wiedzieć, czy moja kuzynka, która tu weszła przed chwilą, poszła do pracowni na długo. Ka-
zała mi czekać, ażeby ją odprowadzić.

Odźwierny patrzył w ziemię.

Światło latarni padało mu na twarz bladą, okoloną czarnymi włosami.

— Ta panna? — zapytał przeciągle.

— No... ta, co weszła przed chwilą. Młoda, w czar-
nym kapeluszu ze skrzydłami.

— A... ta panna? to ona tak prędko nie wyjdzie.
Ona mówiła, że będzie w pracowni spać...

— A!

Krajewski sięgnął do kieszeni i wyjął srebrnego guldena.

— Proszę was! — wyrzekł zupełnie innym, lekkim to-
nem — weźcie to i nie mówcie nic tej panience, że ja się
pytałem. Ja tu czasem do was zajdę i zapytam o to,
o owo... Już nie pożałujecie.

Chmurna twarz dozorey pozostała nie zmieniona.

— Całuję rączki wielmożnemu panu! — wyrzekł, cho-
wając guldena.

Krajewski wyszedł i nagle poczuł, jak strasznie, jak
szalenie jest zmęczony.

Lecz równocześnie zagrała w nim radość dni młodych,
jakaś fantazja, jakaś giętkość umysłowa, chęć zobaczenia
ludzi, utonięcia w świetle, w rozmowie pomiędzy tymi,
którzy są pełni sił żywotnych.

Niedaleko szeroko rozwartą bramą restauracji hote-
lowej ukazywała przedsionek, urządzone z banalnym prze-
pychem, lecz właśnie pełen tej beztroskiej, bezmyślnej we-
sowości. Czerwony dywan w górę spinających się schodów,

palmy w majolikowych wazonach, grona lamp elektrycznych i przez szerokie, górne, zamknięte drzwi tony strojnej orkiestry...

Na schody właśnie wchodziła grupa kobiet, okrytych barwnymi płaszczami, z których jeden, podbity bobrami, miał rzadki kolor bladego ametystu. Inna otuliła się w rodzaj kimona z srebrnawego sukna, inkrustowanego gipiurą i futrem. Wszystkie niosły głowy wdzięcznie, każda z innemi myślami pod kaskiem włosów, każda z inną zbrodnią, lub cnotą w sercu. A przecież szły miarowo, napozór jednakie, światowe, kobiety Boldiniego, kobiety Flammenga, Romney'a, kobiety Sergenta, te uduchowione cuda.

Treny ich sukien, mieniać się połyskiem jedwabiu, rozkładały się za nimi w doskonałych fałdach, wydłużających nadmiernie ich postacie. Na tle purpury schodów, w poszmerze muzyki, były wybornie szarmonizowane i pełne afrodyzyjskiego uroku. Szczególniej wabny był ich półuśmiech, kryjący się w kącikach ust, w którym kobiety światowe celują.

Krajewski wszedł do przedsionka i szybko ku schodom podążył. Znał wszystkie te panie z rautów i balów. Przywitały go radośnie. Ten *beau parleur* był zawsze mile przez nie widziany. A przedewszystkiem, umiał nadać im samym wartość i oświecić ich inteligencję w dziwny sposób. Fascynowały za jego pomocą, dziwiąc się łatwości, z jaką potrafił swój własny dowcip oddać im i uczynić ich zasługą.

Jedna z nich wyciągnęła rękę.

— *Vous soupez avec nous?*

Skłonił się.

— Naturalnie. Będziemy tonąć w dowcipie. A przytem Piron miał rację, mówiąc: *Les morceaux coquétés se dirigent plus vite.*

— Chodźmy coquetować.

Frunęły, zaszeleściły.

Za trenami ich, śladem ich wdzięku, w smudze ich woni, szedł Krajewski.

XXI.

Na drugi dzień rano zbudziła go dość wcześnie Romanowa.

— Ma pan list.

— Od kogo?

— Od panny.

— Od jakiej.

— A no, od swojej, od panny Frani.

Znów coś nim targnęło. Pewnie pisze, że nie przyjdzie.

Wziął list, który był napisany na jakimś świstku, i wyglądało, jakby ten świstek był oderwany z jakiegoś dużego notesu.

Koperta była mała, zbrudzona i bez adresu.

— Kto przyniósł?

— Panna Frania sama.

— Czemu nie weszła?

Romanowa wzruszyła ramionami i zaczęła pilnie przyglądać się porządkom, zaprowadzonym przez Franię w pokoju.

Tymczasem Krajewski, niewyspany i znużony, czytał nową epistolę Poranka.

— Kochany Tatuńciu! Wyobraź sobie, że wczoraj, gdy wróciłam do domu, zastałam kartkę mojej pani, która mi kazała natychmiast przynieść robotę, którą mi w sobotę dała. Musiałam więc zaraz iść do miasta. Myślałam, że cię jeszcze dogonię, ale już ciebie nigdzie nie było. A co

najgorsze, to to, żeś mnie tak przeraził, że już bałam się po nocy sama wracać i nocowałam w pracowni. Przyjdę dziś do ciebie, jak zawsze, wieczorem, a teraz całuję cię bardzo długo i bardzo serdecznie.

Twój
Poranek.

Krajewski odłożył list, rad, wesół, że wszelkie resztki podejrzenia, jakie miał względem Frani, ten list rozwiązał zupełnie. Zgadzał się bowiem z tem, co jego tajne śledzenie przyniosło. Uderzyło go jedno, to jest to, że pismo w liście było inne i że styl i brak błędów stanowczo różniły się od poprzedniego listu. Chciał porównać, ale pierwszego listu nigdzie nie znalazł, jakkolwiek jeszcze wczoraj Frania go sama miała w ręku.

Szukał go, leżąc, gdyż stół znajdował się obok otomany, ale listu nigdzie nie było.

Nie dała mu się jednak długo nad tem zastanawiać Romanowa.

— Czy panna Frania dziś przyjdzie? — zapytała znienacka.

Krajewski rad był, że ma z kim pomówić o Promyku.

— Przyjdzie. A co, Romanowa nie kontenta?

Romanowa ramionami wzruszyła.

— Ja już raz panu powiedziałam, co o tem myślę. A teraz tylko... że lepiej ja zrobię jakie kotlety na kolację. Co się tem zinnem objadać. Co?

Widoczne było, że chytrze pragnie ciągnąć zyski, widząc, że coś zaczyna to wszystko się bardzo z a d o m o w i a ć i normować.

Krajewski pomyślał, że Frania, pracując cały dzień w szwalni, nie je nawet porządnego obiadu, i że dobrze będzie nakarmić ją trochę przed jej wyprawą na Zamarstynów.

— Dobrze. Ma tu Romanowa pieniądze.

Dał chętnie, ciesząc się w duszy tą kolacją we dwoje, skromniuską, w świetle lampy.

— A żeby były dobre te kotlety.

— Niech się pan nie boi. Ja u radcego do kuchni przez trzy lata służyłam i dobrze było.

Wyszła, rada z zarobku, postanawiając widocznie tolerować tę dziewczynę, która już dwukrotnie dała jej, zupełnie niespodziewanie, suty napiwek.

Inne „metresy“ Krajewskiego, oprócz zabłocenia schodów, nie przynosiły jej żadnej korzyści. Frania doprowadziła do ładu pokój, następnie stawiała się jakimś źródłem dochodu.

Przytem coś było w tych dwóch kobietach wspólnego. Coś tam na dnie widocznie odczuwało się i rozumiało? Co? nie wiedziały. Na razie poprzestały tylko na jakiejś milczącej ugodzie, jakby na zawarciu przymierza.

Krajewski, pamiętając słowa Frani, całe popołudnie spędził na kupowaniu pokrycia na otomanę, w formie dywana, kilimkowej roboty. Wybierał ładne, zagasłe lamy, dyskretnie liniujące tło blado-orzechowej wełny. Następnie kupił ową białą skórę, tak bardzo przez Franię pożądaną, i szarą, gipiurową, szeroką storę do okna. Sprowadził zaraz ze sobą tapicera, który storę wraz z lambrekinem założył i jedwabne firanki nad otomaną upiął. Krajewski kupił jeszcze parawan japoński, o czterech skrzydłach, zwyczajny, ale dość efektowny, a na ścianę dwa stare sztychy, oprawne w wąskie, mahoniowe ramki, które wypadkiem dostał u antykwariusza. Były to sztychy z końca osiemnastego wieku, znaczzone 1798 rokiem, angielskie.

Szczególniej owo „Łowienie ryb“, sztych kolorowy, nadzwyczaj słodki i miły, nie miał w sobie ani śladu tej szpetoty, która kazała Carlyle'owi wiek XVIII nazywać „gnojowiskiem psów“. Sentymentalizm włoski, trochę „ekliwy“, cechował G n i a z d o pewną wykwintną sielskością, wła-

ciwą trochę przesadnej lecz eleganckiej sztuce, która tworzy naturę, a nie z natury powstaje.

Gdy Krajewski doprowadził do jakiegoś ładu i komfortu naokoło siebie, uczuł wstępujący w duszę swoją spokój. Wprawdzie burzył tę wielką abnegację, jaką miał poprzednio, czynił pewne ustępstwa i bezwiednie dozwalał już kobiecie wywierać wpływ na swą wolę, lecz zarazem rad był, że się tak stało.

— Przytulę ją w tym kącie! — myślał — uczynię to, że będzie jej tu lepiej, niż w tej suterynie, gdzie do tej chwili czuje się swojsko. Odkryłem w niej to pragnienie rzeczy, pnących się do elegancji. Tę właśnie strunę zacznę w niej rozbudzać i pielęgnować, ale w miarę, może tem przywiążę ją do siebie.

Na parawanie zawiesił szlafroczek, który kupił po południu. Był miękki i przytulny. Różowy, flanelowy, skromniutki i tani. Miał delikatną barwę jutrzeńki.

Ściemniło się zupełnie. Nałożył na lampę różowy abażur i położył się na otomanie. Przechodził myślą wczorajszą kolację, zjedzoną w towarzystwie pan z miasta. Ich matowe twarzyczki, ich fryzowane drobne głowy przesunęły mu się przed oczami w akompaniamencie szczebiotu.

— Zaiste, to są dusze z etażerki. — myślał — dusze, które nie mają wyraźnego siedliska, ani materialnego, ani duchowego. Planują w przestrzeni. Ująć je nie sposób. Ich namiętność jest podobna do bańki mydlanej, unoszącej się z podmuchem wichru. Najgłówniejszym ich i najwydatniejszym rysem jest ciągła chęć błyszczenia, choćby w oprawie cudzej i zagrabionej. Gdy słuchają nawet, to jest gdy wsłuchują się w to, co mówię, w oczach ich czytam pragnienie, abym je podziwiał, jak pięknie słuchać umieją. Po za tem nie słyszałem nigdy, aby którakolwiek wypowiedziała swoje własne zdanie, coś, coby powstało w jej głębi i wykwitało z niej samej jak kwiat,

koncentrujący w sobie całą moc ziemi. wydzielonej mu troskliwie, w wazonie z rzadkiej, kosztownej gliny.

— Poranek jednym słowem, jednym swem wejrzeniem, gestem, *attitude*'ą, milczeniem, stokroć więcej przynosi, niż one całą przegadaną litanią słów pustych i rozwianych... Wiem, że to, co z ust jej pada, jest jej własnością, jest jej głupotą, lecz zarazem ma wielki czar i świętość p o c z ą t k ó w, a niedoskonałość tego początku daje zadatki doskonałości, jaką stać się może.

Tymczasem w umyśle tamtych kobiet niema tej głupoty, niema jej wcale. I niema także czaru i świętości początku Tam jest wszystko gotowe, wzięte z roślinnych naczyń, które wypełniała i ustawiała na progach swych grobów odchodzaca mądrość ludzka.

I niema w tych kobietach czaru największego, jaki podbija w dziecku i kobiecie, tak zwanej „prostej“.

Niema — narodzin myśli.

. ,
To też, gdy Poranek wpadł, jak huragan, Krajewski wyciągnął ku dziewczynie miłośnie ręce.

Od proga zapytała go:

— Dostałeś, Tatuńciu, list?

— Dostałem.

Skoczyła mu na szyję i całowała bez miary.

— Cniło się bez Poranka? cniło?...

— Bardzo!

— A widzisz.

Miała nadzwyczajną intonację w tem jednym słowie „a widzisz“. Był tam cały świat milutkiej zarozumiałości.

Widzisz, widzisz, czem to ja jestem w twem życiu, jak ci się zaszyłam pod serce.

Ubrana była tak, jak przy pierwszym spotkaniu, skromnie i ubogo. Obejrzała się dokoła.

— Tatuńciu! ależ tu, jak u jakiego hrabiego...

Stanęła przed otomaną.

— Tu trzeba będzie pozawieszać pocztówki i fotografie jakich panien bez koszul, i także fuzję.

— Fuzję?

— No... tak! Tak przecie zawsze u panów wisi nad pościelą.

— ?...

— Tak mi opowiadali. A potem mnie jedna przyjaciółka zaprowadziła do jednego pana, jak jego w domu nie było, i ja tam widziałam, że wisiało dużo strzelb i takie tasaki, jak w kuchni do mięsa. Ale ja się zdziwiłam, bo przecie, Tatańciu, z czem się tu chwalić, że się ma czem innych ludzi mordować. To jakby hycel sobie rozwiesił postronki, na które psy łapie i cieszył się.

Czytała mu w duszy, która aż kurczyła się na myśl bohaterstwa, spławionego we krwi i wawrzynów, na których dogniwają resztki trupów i leż strasznej, tragicznej rozpacz.

— Nie hodowana — pomyślał — ta z Nietzchego nie hodowana i jaka przez to prosta, nie prostactwem, ale prostotą (*droiture*) swych pojęć.

Pochwyciła szlafroczek.

— Co to?

— To... dla ciebie!

— Och! Tatańciu... jaki miły, kochany...

Ubrała się w niego natychmiast. Różowa barwa rozjaśniła ją jeszcze bardziej. Promieniała cała. We włosach drgały jej złote iskierki. Usta purpurowe miały na sobie jakby migotliwą gwiazdkę światełka od świeżej wilgoci warg. I cała była zaróżowiona, zaróżowiona delikatnie, jak promienie wschodzącego słońca.

Usiadła na otomanie i zaczęła bacznie oglądać szlafrok.

— Ja to wszystko poprzesywam, bo te złodzieje Żydy to szyją gorącą igłą. I kołnierz koronkowy dodam.

Spojrzała na niego przelotnie i z twarzy jego zebrała jakby cień niezadowolenia.

— Albo nie, nic nie dodam, bo tak jest najpiękniej. Prawda?

— Prawda.

Usiadł przy niej. Przytuliła się do niego jak jaskółka.

— A mój list był ładny?

— Ładny.

— E! ja tamten wolę. Tamten był ładniejszy.

— To nie. Ale powiedz mi, Poraneczku, co to znaczy, tamten list inne pismo, a ten inne.

Odsunęła się od niego i zaczęła się śmiać.

— Nie plec, Tatuńciu. Też litery są jedne. Jakże to?

— Ale widzisz, każdy człowiek inaczej te litery pisze, ty inaczej, ja inaczej.

— Ale się czyta jednakowo?

— Tak.

— No to się musi pisać jednakowo?

— Nie.

— E... bajesz, Tatuńciu!

Umilkł na chwilę, starając się zebrać myśli, aby mózg trafić do tej „niehodoowanej“.

— Ale te listy ty pisałaś?

— Też ja!

— Czemuż tak się różnią?

— Bo przecie takiego samego drugiego nie mogłam ci przysłać, bo to był inny interes.

— Ale ten drugi, to ładniejsze pismo.

— A bo może było lepsze pióro.

Wiedział, że się z nią nie dogada. Chciał jej więc wykazać swoją rację metodą pogładową. Wstał, wyszukał ćwiartkę papieru, pióro, kałamarz i napisał dużymi literami:

Mój Poranek.

Frانيا śledziła uważnie jego gesta.

— A teraz ty, Franiu, napisz to samo pod spodem.

— A co to takiego?

— No widzisz, mój Poranek, wtedy zobaczysz, że litery są te same, ale pismo inne. No... pisał...

Zmieszała się, lecz prędko wyrwała mu z ręki pióro, rzuciła je w kąt i, zmiąwszy papier, zrobiła z niego kulkę.

— Tu jest Tatusiowy Poranek, o tul... — zawołała, skacząc mu na szyję i ciągnąc na otomanę — tu... a nie na papierze. Dawaj buzię, rączki, uszka... niech ucałuję! Ja na sztubę nie przyszła, tylko na kochanie.

.

Jedli kolację, przyniesioną przez Romanową, która bardzo chętnie usługiwała, detonując swą obszarganą powierchownością w otoczeniu jakiejś elegancji, która się tu wytworzyła. Krajewski namawiał Franię, aby piła piwo i jakąś słodką wódkę, którą Romanowa przyniosła z grajzlerni.

— Nie, Tatuńciu! całuję rączki, nie namawiaj. Ja nie będę piła. Boję się.

— Czego?

Głęboka bródka zarysowała się pomiędzy brwiami Poranka. Myśl jej gdzieś pomknęła, w jakieś bolesne dla niej światy.

— Ja wiem, co wódka może. Nie trzeba Tatuńciu!

Pochwycił tę nić zwierzeń, która się zdawała przeblyskiwać w jej słowach.

— A skąd ty wiesz, Poranku?

— Ja wiem, Tatuńciu, że człowiek wtedy to jak bydlę, a są także takie, że, jak się upije, to śmiertelny grzech wygada.

— Może ty, Poranku?

Milczała.

— Chyba nie masz śmiertelnych grzechów na sumieniu?

— E!

Machnęła ręką. Wydeła usta.

Przypomniawszy sobie, że odrzucała żal. Więc odrzucała grzech.

— A byłaś kiedy pijana, Franiu?

— Nie pamiętam, Tatuńciu. Ale pić nie chcę. Daj Romanowej tę wódkę. Niech flaszka przedemną nie stoi.

Ogarnął go niepokój. Zdawało mu się, że odkrywa w niej jakiś pociąg do pijaństwa, z którym się tai i od którego się broni.

Ogarnął ją swoim ramieniem.

— Nie bój się, Poranku, ja cię ochronię!..

— Od czego, Tatuńciu?

— Od złego.

— Och, Tatuńciu! jak komu złe sądzone, to go największe kochanie nie ochroni. Chyba, że sam się uczepi jakiej deski i nie da wodzie sobie w gębę się nalać. Weź tę wódkę, Tatusiu! Bydlę nawet nie chleje w siebie tego szkaradztwa! co?

Usunął wódkę i przypomniał sobie wczorajszą kolację, gdzie szampański lał się strugą, a damy o inteligencjach wyczelowanych, jak drogocenne gemmy, o uśmiechach wymierzonych, jak ilość pereł na ich naszyjniki, o paznogciach, będących główną troską ich porannych zajęć, o tej czystej krwi, przekazującej wieki kultury duchowej i cielesnej, były wszystkie bez wyjątku pijane, ale pijane umiejętnie, estetycznie, niemniej przeto pijane tragicznie i rozpustnie.

Wytrenowane w wysączaniu kieliszków, podniecone, z oczyma płonącymi, dziwne, podobne do owych, które oddychają dopiero swobodnie w żarnem powietrzu pożądań, które rozpalają dokoła.

— Dziwne... — pomyślał — to dziecko, puszczone samopas, zdane na wolę swych instynktów, broni się przed rozzwierżeniem, a tamte..

I z każdą chwilą Poranek stawał mu się droższy.

XXII.

Nie odprowadził Promyka na Zamarstynów.

Uprosiła go, aby pozostał w domu. Posłała mu na noc. Ustawiła karafkę z wodą, popielniczkę, zapaliki ułożyła. Widział, że sprawia jej to wielką radość to układanie go do snu. Coś macierzyńskiego było w tem jej krzątaniu się. Obejrzała jego bieliznę w szafie, zdecydowała, że od jutra zacznie się gruntowne „cerowanie“.

— Zobaczysz! zobaczysz!..

Leżał trochę leniwy, trochę zmęczony tą nocą niewyspaną, strawioną w restauracyjnej hali. Powiedział Promykowi, iż jadł kolację w towarzystwie pań. Sądził, że się rozgniewa, lecz ona zapytała:

— A jak byli ubrane?

Opisał jej jak mógł owe stroje.

Słuchała uważnie, wreszcie zawyrokowała:

— Ja znam tę, co ma taki jasny płaszcz.

— Skąd?

— Widziałam.

— Gdzie?

— Tak... wszędzie.

— Może w pracowni.

— A może, nie pamiętam.

Zamyśliła się.

— Ale to jest małpa, Tatuńciu! — dodała nagle z całym przeświadczeniem.

— Jakże tak? skąd? dlaczego?

Uderzyła się w piersi.

— Ja wiem!

Nie zaprzeczył, jakkolwiek owa dama cieszyła się bardzo dobrą „opinją“ w sferach towarzyskich. Wiedział wszakże, że każda z tych dam nosiła maskę i że właściwie ta maska w niej była tylko interesująca. Było to, jak płaszcze ich, haftowane złotem, przepyszne, skrzące od deseni, zda się, zbierane z mistycznych łąk, jakichś nieznanych i nawet nie przeczuwanych. Płaszcz ten, narzucony na właściwą szatę, przyrosłą jakby do postaci i obrysowującą jej nagość, wabił i więził. I pragnęło się patrzeć nań wciąż, na mnogie wzory pokrętnych i lśniących linji, na dobór harmonijny barw, grających akordem ciekawym. Więc płaszcz tylko interesował, tak był bogaty i lśniący.

Więc maska tylko interesowała, tak była genialnie kłamliwa i ułożona pracowicie, jak dzieło kunsztowne i mozolne. Lecz ta maska kryła przedoskonale to, co jest rzeczywiście prakobiecością, podstawą, jakby rzecz można, samej kobiety. Kryła tę wieczystą kobiecość przesłodką i w fale prawie jednostajne a kołyszące miękko i słodko ułożoną.

Drażniąca była maska i pewnym naturom wystarczająca w danej chwili. Lecz konieczność życiowa koncentrowała się w innych objawach dla Krajewskiego, oto Poranek był tą koniecznością. Ten, jaki objawiała Frania w gestach swych nieśmiałych, jakby o przebaczenie proszących, było ujęte i uwięzione to słońce świata, ta potęga wszechwładna i skoncentrowana, ta Dantajska rzecz najlepsza, mająca w sobie największą Jedność. Gorączki jej pragnień miały szlachetny podkład powściągliwości kobiety, która zrzuci ze siebie wszystkie szaty i stanie przed kochankiem, zbrojna pięknnością nagiego kwiatu, lecz nie

wykryje całego płomienia swej namiętności, aby pozostać nawet i w tej chwili mężczyźnie możność przewagi w sile miłosnego szału.

Tak sobie przynajmniej Krajewski tłumaczył zachowanie dziewczyny i powoli zaczynał składać w nią, jak w skarbiec, wszystkie swe myśli i nadzieje. Pozostawała teraz dłużej, a zwłaszcza przychodziła wcześniej. Często nocowała w swej pracowni, i on wtedy odprowadzał ją do samej bramy. Na Zamarstynów nie odwoził jej, tylko ona jechała sama dorożką i w te dni zapowiadała zwykle, że musi wcześniej odejść. Stosunki ich unormowały się, Krajewski teraz trochę zwracał się do swych książek i nie było dla niego bardziej rozkosznego, jak leżeć na swej otomance z ukochaną książką w ręku, podczas gdy obok niego na małym stołeczku siedziała Frania, naprawiając jego bieliznę. Cicha, ciepła atmosfera domowa ogarniała go całego. Od czasu do czasu wyciągał rękę i gestem posiadania dotykał szyjącej kobiety. Ona uśmiechała się słodko w milczeniu. I rzeczywiście zdawało mu się, że to jakiś promień pada od niej ku niemu. Obojętne mu było, co mówiła i czy mówiła. Słodka jej obecność wystarczała mu zupełnie. Za oknami szalała jesienna szaruga, deszcz bił z jękiem o szyby. Krajewski uśmiechał się rad, zakopany w swem gnieździe.

Dnia jednego Frania przywiodła ze sobą jakiegoś człowieka, który niósł dwie skrzynki, pełne ziemi i rozkwitłych tanieli pstrych kwiatków. Frania ustawiła te przenośne ogródki, które przypominały chłopską chatę, z doniczkami „geranji“ za szybami na oknie, i radość jej nie miała granic. Całowała kwiatki, chuchała na nie, przemawiała najmiłszymi słowy. Przyniosła Krajewskiemu ziemi szczyptę na dłoni, kazała ją rozcierać, próbować, jaka tłusta! jaka doskonała! Co chwila odsłaniała story i patrzyła z lubością na kwiaty.

— Tatuńciu! — wyrzekła wreszcie — czy one wiedzą, że ja je kocham?

— Tak sędzę, Poranku!

Zamysliła się chwilę.

— Kwiaty są lepsze, niż ludzie! — mówiła, a wzrok jej mętniał i jakby się cofał w głąb — kwiatom wszystko jedno, co kto jest, czy zły, czy dobry. One zawsze pachną i dla złego, i dla dobrego.

— Skąd możesz o tem wiedzieć!

— Ja tak czuję. O! widzisz, Tatuńciu, ty plujesz na takie dziewczyny, co to.. no, już wiesz i nie dałbyś takiej dobrego słowa, prawda?

— Prawda, Poranku!

— I nie przyszedłbyś na grób takiej, jakby umarła?

— Niel!

Chwilkę milczała, a potem ciągnęła zmienionym głosem:

— A kwiat jednakowo będzie się śmiał i pachniał, czy u takiej, czy u porządnej kobiety.. a kwiat, jak go posiać na grobie, nawet najostatniejszej łajdaczki, to przecież wyrośnie i będzie!..

Uczuł tę zmianę w jej głosie. Przyszło mu do głowy, że owa Irena Wąterek musi być w tej chwili na myśli Frani, chciał więc zatrzeć tę przykrość i wyrzekł:

— Cóż zrobić, Poranku, kiedy już taka moja natura! Ale Bog z niemi! Niech im wszystkie kwiaty na grobach kwitną, tylko niech ja z niemi nie mam do czynienia.

Ale Frania zasunęła się za storę i tam pozostała długo milcząca ze swemi kwiatami.

Gdy wreszcie wróciła pód lampę, miała oczy smutne, zapłakane, a usta uśmiechały się przymusowym uśmiechem

— Biedactwo! żałuje swej siostry... — pomyślał Krajewski i udał, że nie dostrzega owego smutku dziewczyny.

.....
Dwa razy w ciągu tych paru tygodni Frania zawia-

domiła go, że nie może widzieć się z nim zupełnie. Listy były pisane na takim papierze i pismem, jakim był pisany list pierwszy. W jednym z listów Frania zapowiadała „Tatuńciowi“, że dwa dni nie przyjdzie go „ukochać“ i „umilować“, bo przyjechała jej rodzina.

Po raz to pierwszy tak otwarcie Frania mówiła, że ktoś z jej rodziny zgłosił się do niej. Krajewskiego ogarnął smutek i prawdziwa tęsknota. Pierwszego wieczora tułał się trochę po mieście, lecz, gdy spotkał kogoś znajomego, starał się unikać go, albo przerywał rozmowę i uciekał, o ile mógł najszybciej. Przez chwilę przyszło mu na myśl, żeby wstąpić do owej restauracji wykwintnej, pełnej zawsze wyborowej publiczności. Lecz myśl o znalezieniu się znów przed całą kohortą tych pań przejmowała go przestraczem jakby jakiejś galerniczej pracy. Rozmawiać przed nimi, roztaczać wachlarze najpiękniejszych błyskotek swego umysłu, a czasem nawet dla efektu potrącać o struny głębsze, tajnie i zazdrośnie ukryte, wydało mu się teraz zżyteczne.

— Miał przed kim myśleć, a więc mowa była już dla niego gdakaniem bezużytecznem.

— Myślisz, Tatuńciu? — szeptała Frania — och!...

Patrzyła z podziwem i często palcem rysowała na jego wypukłym, pięknym czole jakieś hieroglify.

— Ja widzę twoje myśli, Tatuńciu! — mówiła — tak jak obłoki, pod skórą... ol... przelewają się, pędzą, ol... to znowu lecą powoli. Są złe, są dobre, są o Poranku, są o całym świecie, są takie, co Poranek ani weź nie rozumie, ol a teraz to są święte...

Po chwili dodawała:

— I teraz to już trzeba być cicho.

I była cicho, a le była. A on przed nią snuł swoje myśli, patrzył na nią, w jej oczy przezroczyście, jak oczy dziecka, i tam część tych myśli topił.

— Niech utoną w bezmiarze jej niekłamliwej duszy
— myślał — jak w kwietnej łące korowód motyli, który opada zwolna, wirując ponad błękitnym puchem ostów, wychylających się z trawy. Kto wie, w jakiej formie skrytalizują się kiedyś, powrócą.. zatrzepoczą się w czyimś mózgu i w jakim czynie się ujawnią...

Cóż więc dziwnego, że teraz Krajewski minął, olśniewający od potoków światła hotel, szybko, jak ktoś, co się kryje, i dalej tułał się po ulicach, ociekających brudem, ludzką nędzą i błotem. Szarpnęło go, aby zająć do tinglu, ale i stąd go odrzuciło. Machinalnie zaczął pięć się Łyczakowską ulicą. Przestronniej tam było i mniej duszno. Zdawały nawet te długie, ciągnące się zapalone latarnie robiły wrażenie większego i kulturalnego miasta.

Pogrążony w myślach, nie spostrzegł nawet jak się znalazł przed kamienicą, zamieszkaną przez siostrę Poranka. Coś znajomego jakby szarpnęło się w nim całym i ogarnęło go niewytłumaczonym niepokojem. Z ogromną plastyką wystąpiło przed nim jakby widmo Frani (tej niedzielnej, w wielkim kapeluszu ze skrzydłami). Podniósł głowę. Oparta o mur kamienicy, stała znajoma mu już stróżka, która filozoficznie do krwi drapała własne ucho,

Przystanął. Poznała go. Ale czy dyskrecja, czy dziwna obojętność kazała jej patrzeć rybiemi oczyma w majaczącą w żółtawem świetle latarenki twarz Krajewskiego.

On prawie bezwiednie zapytał.

— A panna Wątopek w domu?

— Nie!

— A gdzie poszła?

— Pojechała znowu do Drohobycza.

— Al... ze swoim facetem?

Kobieta wzruszyła ramionami.

— El albo ona ma jednego.

— Tak?

-- A no niby jest taki jeden na codzień. Ale inne się zmieniają. A potem pan może nie wie, jak to zwykle. To ludzka rzecz...

Owinęła się w jakiś łańchman, gniotąc resztę piersi.

— A kiedy pojechała?

— Wczoraj.

— Przecież rodzina jej przyjechała.

— Jaka rodzina? O nią się pies nie dowie. Ale wiadomo. Rodzice się takiego dziecka wyrzekną, bo to im przecie honoru nie przyniesie.

— Ale siostra jej przychodzi?

— Ja jej nie znam.

— Mówilem wam, młoda, Frania.

— Może i przychodzi. Ich ta dosyć tu się ściąga, jedna do drugiej...

Nic nie zdoła opisać rodzaju leniwej pogardy, jaka w tonie jej słów brzmiała. Krajewski odszedł szybko, przejęty nieokreślonym niepokojem i wstrętem. Ta sień szeroko otwarta, tandetna elegancja domu, wielka latarnia o różnokolorowych szybkach we wnętrzu sieni, dziwne na nim sprawiała wrażenie. Odraza go przejmowała straszna. Widział korowody mężczyzn, mknących ukradkiem i znikających w topieli tych tęczyowych blasków, zalegających zbłocone mozaiki sieni. Jakieś dziewczyny w dużych kapeluszach mieszały się z nimi. Jedna z nich miała białe skrzydła Walkirji i powiała niemi w ciemnicy... Krajewski otrząsł się z tego wrażenia i pomknął do domu.

Dreszcz go przejął, gdy stanął na progu pokoju. Ciemno było, zimno, Zapomniał kazać napalić w piecu. Kolacji Romanowa nie gotowała, bo Frani się nie spodziewano. Krajewski zapalił lampę, owinął się paltotem i położył się na otomance

Chciał przespać ten wieczór samotny i przykry. Mimowoli ciągle myślą śledził Franię.

Wiedział przynajmniej tyle. że jest „ze swoimi“.

To znaczy: z ojcem, z matką, z rodzeństwem.

Kto są ci ludzie, których ona jest dalszym ciągiem? Że była tak zwanego „niskiego“ pochodzenia, o tem nie wątpił. Lecz jakie to było pochodzenie? Czy szło z owych, którzy umieją być chytry, przewrotni, którzy wyzbywają się wszelkiego miłosierdzia, a w zbrodniach żywiołowych mają moc i okrucieństwo jakichś istot pierwotnych i dzikich, lecz którzy są zarazem najdoskonalszymi chowcami owego kwiatu Lotosu, co według Indjan, rośnie w duszy każdego człowieka i zakwita, podlany jego łzami i potem, w jakąś cnotę rozlewną i jasną? Czy Frania miała w sobie ten kwiat Lotosu, tę płomienna miłość do ziemi, która czyni z każdego kłamcy-chłopa, zbrodniarza-chłopa, niewdzięcznika-chłopa, złodzieja-chłopa — dostojnego stróża zagonów, pnących się linją lśniąca jeszcze od ziaren, na posiew rzucanych, dostojnika powolnego w geście, powolnego w mowie, z oczyma, ogarniającemi miłosnie łąny, na których kołysze się morze kłosów, dostojnika, w którym naiwna ekstaza geniuszu dostrzega „coś z Piasta“, a który naprawdę ma w sobie, jakby wbitą w ziemię, granitową podstawę, na której on stoi niezłomny, niezwalczony, zawsze jeden, zawsze w gruncie ciemny, mimo wysiłków, wiodących go do światła?

Byłaż Frania z tych ludzi? miałaż ona ich zbrodnicze instynkty i ich potęgę? Gdy szła tak do niego z garstką ziemi w dłoni, wołając: „Patrz, Tatuńciu, jaka ziemia tłusta, jaka mądra“... wiała od niej właśnie ta dostojność chłop-ska i szczera.

Lecz oto ona sama, bijąc się w piersi, powtarzała: „Jestem z mieszczan“, i Krajewski widział ten proletarjat straszny, błotny, cuchnący ranami etycznymi, których żadna dezynfekcja moralna przemyć nie jest w stanie. Gdy przypomniiał sobie Franię, stojącą koło suteryny na

Zamarstynowie i na tle tych zgniłych i podejrzanych światel, dobywających się z cuchnących domostw, gdy wspominał, jak na pokładzie jęklowych wrzasków harmonji mówiła: „Kiedy mnie tu dobrze, Tatuńciu“, zdawała mu się wyrosłą właśnie w tej atmosferze bagien przedmiejskich, gdzie odchody płyną szeroką strugą wzdłuż ulic, a z dusz ludzkich spływa kał najgorszych deprawacji, na jakie te dusze zdobyć się mogą.

Stanowczo. Z tych dwóch *milieu* mogła tylko powstać Frania. Lecz z jakiego? co było podłożem, z którego wykwitał kwiat Lotosu jej duszy?

I ogarnęło nagle Krajewskiego pragnienie dowiedzenia się czegoś bliższego o tej dziewczynie, która tak niespodzianie zaczynała się wplatać w jego egzystencję

— Dowiem się dlaczego się ukrywa ze swem pochodzeniem! Co jest tym trądem, który ona tak starannie ode mnie odsuwa? Może to właśnie jest nieszczęściem jej życia, a ona nie chce podzielić się niem ze mną, zdjęta nagłą dumą i delikatnością, tak silnie w niej rozwiniętą. Ułatwię jej to, dowiem się sam... poznam ją lepiej, skoro się dowiem, z czego powstała. Łacniej mi będzie przywiązać ją do siebie!..

I Krajewski postanowił nazajutrz pójść na Zamarstynów.

XXIII.

Po dniu wydało mu się zamarstynowskie przedmieście inne. Straciło na grozie, zyskało na jakiejś jakby pogodzie. Tylko ten brud i nędza odrażająca i fatalna wystąpiły teraz z całą jaskrawością. Krajewski długo błąkał się wśród kałuż i bajor, zanim odnalazł zaułek, w którym mieszkała Frania. Gdy tak szedł, wzbudzając ogólny po-

dziw wśród gromady obdartych istot dzikich, brudnych i nagich dzieci, wśród kobiet bladych i chorobliwych, o rzadkich włosach, zapadłych piersiach i wystających brzuchach, zdawało mu się, że jest w jakimś miasteczku po świeżo ukończonym jarmarku, gdzie najazd bydła i ludzi pozostawia po sobie tylko nieczystości i atmosferę oszustwa, kradzieży i rozpusty.

Wreszcie dobił się do owych suteryn, w których mieszkała Frania. Okna były zamknięte i zasunięte firankami. Krajewskiego zdjęła nagle jakby niewytłómaczona nieśmiałość. Poczul się nie na swoim gruncie. Nagle z sieni wyszedł szerokoplecy mężczyzna. Krajewski poznał w nim jednego z tych, którzy byli w suterynie wtedy, gdy odprowadzał Franię. Mężczyzna miał twarz kwadratową, szczękę silną, dawno nie goloną. Wychodząc, potknął się o Krajewskiego. Z pod brwi, silnie obrosłych, rzucił na kochanka Porankowego badawcze wejrzenie i nagle oparł się o ścianę.

Stał jakby na straży owej kamienicy.

Krajewski zwrócił się ku niemu:

— Przepraszam pana. . chciałbym się o coś zapytać— zaczął.

„Pan“ nie zmienił pozycji, ale zdawał się słuchać.

— Czy tu mieszka panna Wątopek?

— Jaka?

— Frania Wątopek. Ona szyje. Tu mieszka w suterynie.

— Żadnej tu takiej niema.

— Przeciwnie. Ja wiem, że tu mieszka. O! w tych oknach...

Mężczyzna podejrzliwie patrzył na Krajewskiego.

— A pan czego od niej chce?

— Chciałem się z nią zobaczyć.. Przysłali mnie z pracowni.

Urwał, bo ów „pan“ z nieukrywaną ironją patrzył teraz wprost na jego twarz rasową i spłowiałe nad książkami oczy.

— Więc... może pan by poszedł na dół i powiedział Frani, że tu jest ktoś...

Lecz „pan“ patrzył teraz na końce butów i kołysał się w charakterystyczny, właściwy łobuzom przedmiejskim sposób.

— Ta idź se pan sam, ta co ja? pana fagas? idź pan, giczały se pan nie poprzetrąca, kiedy panu się chce aż tu łązić...

W pierwszej chwili Krajewski sądził, że ma do czynienia z jakimś uczciwym obrońcą honoru mieszkanki sutyryny, ale łatwość, z jaką mu ustępował z drogi, zmieszała go.

Wszedł do wąskiej sionki i poomacku zeszedł do sutyryn. Napotkał jakieś drzwi. Otworzył je. Wąska, ciemna izba buchala na niego smrodem kapusty. Na łóżku, pod obrazami i całą masą sztucznego kwiecica, leżał jakiś mężczyzna. Nie poruszył się, widząc Krajewskiego, stojącego w progu.

— Czy tu mieszka panna Frania? — zapytał Krajewski

— Jaka? — chrapnął mężczyzna — czy ta z koszem?

— Z koszem.

— No.

— Panna Frania Wątorek.

— Nie znam.

Krajewski cofnął się, zamykając drzwi. Chwilę stał niezdecydowany. Nieraz, z powodu swych miłości, tulał się po rozmaitych wnętrzach, ale w czems tak nieprzychylnem, w czems tak boleśnie zapadłem, jak wiało tu na niego, nie był nigdy. Dusza jego przypadła mu cicho, jakby strwożona tem, w co ją włókł i nurzał. Nagle

otworzyły się drzwi jakiegoś mieszkania, i jakaś kobieta, z zakasanemi po łokcie rękawami, wytoczyła z wnętrza izby balję. Krajewski uczuł dwoje przenikliwych oczów, wpatrzonych w siebie, i równocześnie rozpoznał w deseniu firanek, przyciemniających okna izby, firanki mieszkania Frani. Podsunął się ku kobiecie.

— Przepraszam panią, czy tu mieszka panna Frania Wątopek?

Kobieta podniosła szybko głowę i opuściła poddartą do góry spódnicę.

— A tu! — wyrzekła bolesnym głosem. Pan do niej? Wielmożny pan do Frani? — dodała szybko, jakby się poprawiając.

— Tak. Czy jest w domu?

— Nie. Wyszła.

— Dawno?

— O! już...

Krajewski chciał koniecznie dotrzeć do wnętrza i zobaczyć, jak Frania się gnieździ.

— Niech mnie pani zaprosi do siebie! — wyrzekł, siląc się na dobry humor.

— Proszę! proszę wielmożnego pana!

Usunęła się. Wszedł pierwszy, schylając się mocno z powodu drzwi niziutkich.

— Wielmożny pan wyrósł nie uroku.

— Nie, moja pani, to drzwi za małe.

— Może!...

Starła fartuchem krzesło jeszcze wilgotne i podsunęła je Krajewskiemu.

— Niech wielmożny pan se siądzie.

Lecz on patrzył po izbie. W rogu stało tylko jedno łóżko, wysoko zasłane. Opodal jakaś „szafarka“ stara i przez robaki stoczona, stół, komódka orzechowa. To było wszystko.

— Gdzież tu Frania sypia? — zapytał.

— Al... Frania?

— Tak.

— A no! na tych tu kuferkach. Ściele się jej i sypia. Pod oknem stało kilka kufrów i kilka skrzynek.

Krajewski usiadł na jednej z nich.

— Nie ma łóżka?

— A nie. Młode to, wiadomo. Wyśpi się gdzie bądź. Choć kułak pod głowę i już.

Patrzył na tę kobietę, w której towarzystwie było Frani „dobrze“, i odraza jego spotęgowała się. Krzywe, nieokreślonej barwy oczy miały właściwość wpijania się w źrenice Krajewskiego. Usta jakby spuchnięte zwisały pod nosem cienkim i długim. Chuda była i zwinna, jak zwierzę jakieś wygłodzone i szukające sobie kradzionego żeru. Cała jej postać była szara i bezbarwna, a przecież wrysowywała się brutalnie w pamięć. Nie miała w sobie ani śladu tej krowiej rezygnacji, cechującej prawie każdą kobietę z proletariatu, a nadającej jej właśnie piętno tragizmu, który przejednywa i wiąże silnemi pętami wielkiego poczucia czynionej komuś niewyraźnemu krzywdy. Ta kobieta zdawała się zadowolona i złana niejako ze swem środowiskiem. Tylko jej dłonie w umyśle Krajewskiego przedłużały się, palce wyciągały i sięgały do jego kieszeni, do jego pugilaesu, tam, kędy dla takich ludzi tkwi właściwa wartość człowieka.

— Z nią tylko pieniądze! — mignęło mu przez myśl, i czempredzej wyjął z kieszeni guldena.

Nie mogłaby mi pani przynieść paczki zapalek?

— Dobrze!

Obcierała ręce, opuszczała rękawy.

— Tylko... moja pani... pani... jak?

— Prysadna.

— A... pani Prysadna. Ślicznie. Zapalki szwedzkie. Jedną paczkę.

— Dobrze. Całuję rączki.

Już jej nie było.

Krajewski, zostawszy sam, rozejrzał się uważnie po izbie. Nic, żadnego śladu, któryby wskazywał, że żyła tu młoda dziewczyna. Może jakiś kwiatek na oknie. Zbliżył się. Poznał czerwoną, wpółuschniętą gieranję. Podobna była do tych, jakie kwitły u niego, w przyniesionych przez Franię skrzynkach. To mu wystarczyło i zarazem ucieszyło. Znaczyło to dla niego, iż Frania właściwie za d o m uważa jego dom, a tu jest tylko jakby w przelocie, nie dbając nawet o ten biedny kwiatek, który sechł w doniczce. A że miał dobre serce, więc wstał, zaczerpnął kwartą wody z konewki i podlał ostrożnie kwiatek. Wstając, dostrzegł w kącie warsztat szewcki opustoszony, ale skórę na nim rozciągniętą i stółek przysunięty. Przy podlewaniu kwiatka zastała go Prysadna. Dostrzegł w jej oczach ironię, choć uniżenie oddawała mu dwucentowe pudełko zapalek i resztę.

On odsunął uprzejmym gestem pieniądze.

— Całuję rączki...

Zapalił papierosa.

— Wasz mąż szewc?

— Nie. Mój mąż na prowincji.

— A... więc Prysadna sama? Słomiana wdówka?

— Rychtyg.

— I tak we dwie z Franią?

— A no, także tak.

— Ale ja tu widziałem kiedyś dużo osób.

— Al... tak proszę pana. Wieczorami się schodzą sąsiedzi i trochę ta się bawią.

— Tańczą?

— A no... jak przyjdą z miasta z harmonją, to i tańczą.

— A Frania także się bawi?

-- Ta jak młoda, bawi się.

Obejrzał się dokoła. Zachmurzyło się w nim. Wyobrazić sobie usiłował Franię tu, w tej ciżbie, pomiędzy tańczącymi ojre, w smrodzie, wrzasku, popychaniu się wzajemnem, w ciasnocie wilgotnej suteryny.

— I... tańczy?

Prysadna wlepiła w niego swe kose oczy. Zdawała się czytać w jego duszy.

— Nie. Panna Frania nie tańczy. Bardzo harda i nosi się, jak panna. Dla niej nasze kavaliry za mało. To fajna dziewczyna.

Krajewski rozjaśnił się. Prysadna znów to w lot schwyciła. Była widocznie bardzo inteligentną i wyćwiczoną w odgadywaniu uczuć ludzkich.

— Do Frani przyjechała rodzina? — zapytał znów Krajewski.

— A jakże przyjechała! — odpowiedziała bez zmruczenia powiek.

— A kto? ojciec? matka?

— Także tak.

— A gdzie są?

— Ta... na mieście.

— A gdzie spali? Tu?

— Nie. Gdziesi u familji. Koło rampy... na Żółkiewskiem.

— To Frania ma familję?

— A... tak ci, ma.

— Siostrę? co mieszka na Lyczakowskiej? Irenę? co? Prysadna nie odpowiedziała nic. Teraz oczami błędziła po ścianie. Zdawała się zaniepokojoną.

Krajewski próbował ją uspokoić.

— Ja wiem wszystko! — wyrzekł — Frania mi powiedziała, że ma siostrę, która się przezwała Ireną i łąduje się... Prawda?

— Ha no, skoro wielmożny pan wie...

— To nieszczęście dla Frani, bo i ona może kiedy na taką złą drogę pójść.

— Ha... no...

— Dlatego też, moja pani Prysadna, niech pani czuwa nad Franią, bo to jeszcze jak dziecko. Niech pani jej nie puszcza samej po nocy, bo tu niebezpiecznie i...

Urwał, bo czuł, że jest na jakiejś fałszywej drodze. Traktował Prysadną, jak kobietę prostą, pełną jakichś moralnych zasad co do „prowadzenia” się dziewcząt, a brzmiało to czegoś w tej suterynie, służącej za tancbudę, śmiesznie i niewłaściwie.

Przytem Prysadna trzymała teraz uparcie oczy utkwione w ścianę, z tym samym wyrazem, szklanym i dziwnym, z jakim patrzył dozorca na ulicy Ossolińskiej, stróżka Ireny Wątopek, Romanowa, nawet sama Frania, wszyscy ci ludzie, a głównie kobiety z ludu, gdy nie chciały odpowiedzieć wprost i mówić całej prawdy.

Zgasił papierosa i gotował się do odejścia. Chciał jeszcze zapytać, gdzie Frania noc spędziła, czy w domu, czy może z rodziną, ale nagle porwał go jakiś lęk i, kierując się ku wyjściu, rzucił:

— A któż to, ta Frania z Koszem, co tu także mieszka? Oczy Prysadnej zaświeciły się.

— To, z przeproszeniem wielmożnego pana, małpa i drań. Ja takich do siebie nie wpuszczam.

— Dlaczego z Koszem?

— Bo ona na wiarę siedzi z Koszem. Taki, co się nazywa Kosz, on tu przychodzi, ale ona ni. Taże to pysk i taka lada co. Ja byłam dla niej, jak matka, i dobre jej świadczyłam, żeby głodem nie zdechła, i naszłam jej co nieco i nieraz, co bardzo fajne, a ona sobie teraz mną zęby wyciera. Gada, co ja na niej pieniądze zrobiłam! No, proszę pana... taka!...

Krajewskiego jakby kto pociągnął za włosy. Stał już w progu. Te ostatnie słowa wbily mu się w mózg. Chciał zapytać o jakim to zarobku mówiła właściwie Prysadna, ale znów ogarnął go jakiś lęk. Odwrócił się i spojrział. Prysadna stała na środku izby, ściskając jeszcze w ręce owe pieniądze, otrzymane od Krajewskiego. Żałował teraz, że jej dał te centy. Równało to bowiem Franię z tą jakąś „lada co“, Franią z „Koszem“, za którą Prysadna otrzymywała także pieniądze.

Skinął głową i wyszedł. Gdy się wydostał na ulicę, nie mógł opędzić się przykreemu wrażeniu. Był bardzo wrażliwy, przeczulony i subtelny. Wszystkimi nerwami wyczuwał tu kłamstwo i błoto. Męskim instynktem, który w obcym mieście pozwala mężczyźnie trafić wprost do lupanaru, czuł, że brodzi w pełni tajemnej, nieopatentowanej rozpusty. Lecz nie chciał się do tego przyznać przed samym sobą. Cierpiał tylko na tem, że Frania przebywa w tem środowisku.

— Trzeba to skończyć! — postanowił — Frania musi się stąd wynieść.

Na zakręcie ulicy minął się z jakąś dziewczyną, prawie dzieckiem, niosącym w ręku flaszkę z wódką, kawałek jakiejś, ociekającej tłuszczem wędliny i cygaro Virginia ze słomką. Była okutana chustką, ledwo odziana, w kaloszach na bosych nogach. Powiało od niej taniemi perfumami, czy pachnącem mydłem. Z zawiniętej twarzy widać było tylko śliczne, błękitne oczy, które Krajewskiemu żywo przypominały oczy Frani, tak że aż drgnął cały. Szczupłe to było, drobne i jakby zawędzone.

I miało cechę ciśniętej brutalnie w odmęt i zbrodniczość ludzkich pragnień jakiejś szmatki, bez woli, bez chęci, bez myśli szlachetnej, a nawet pojęcia, że te myśli istnieją.

— To jest Frania z „Koszem“ — pomyślał — co za

nędza! I na niej taka Prysadna zarabia, boć zarabiać ta megera musi, a ten Kosz...

I wzdłuż niego całego przebiegł straszny dreszcz.

— Wszakże to chyba najniższy stopień... — wstrząsnął się — wszakże to mordownia ciał, dusz, zakażenia zgnilizną serc, wszakże to beznadziejne piekło potępieńcze i tarzanie się skłębionych demonów rozwiązłości, którzy wyją rozpacznie, boć nie chcą rozkoszy nimi targa, lecz jakaś nieokreślona potrzeba nagromadzenia tragicznej rozpusty w tem, co jest tragiczną pięknoscią ludzkiej egzystencji.

— I Frania w tem!... Poranek w tem!... — bolał, zgaszony, smutny, wlokąc się ku miastu tą samą drogą, jaką gnał kiedyś za białemi skrzydłami, wiejącami na kapeluszu dziewczyny.

Dowlókl się wreszcie do domu. Gdy znalazł się w osamotnionym pokoju, nuda jego wzrosła. Pomyślał, że mógłby jeszcze pójść do pracowni, dowiedzieć się, czy Frania dziś szyla, potem znów, że Prysadna nadmieniła, iż krewni rodziny Frani mieszkają koło rampy kolejowej, na Żółkiewskiem.

Mógł tam pójść, szukać, dowiadywać się od domu domu. Może byłby trafił na ślad jakiś. Ale ta subtelniejsza, delikatniejsza część jego duszy zaczęła się kurczyć i protestować. Owa ironja w oczach stróżki na Lyczakowie i w kosych żrenicach Prysadnej...

Czegoś się bał.

Czuł, że coś się tam dzieje w tej nieznannej dali, ale jeszcze tego nawet przed sobą sformułować nie umiał.

XXIV.

— Wiem, wiem! Tatuńcio był na Zamarstynowie...— wołała już od progu Frania, gdy wreszcie na czwarty dzień zjawiała się u Krajewskiego.

On powitał ją, siedząc. Od rana był chmurny i smutny. Przeglądał się czekaniem na swą kochankę. Teraz nie powitał jej z tą radością, z jaką się spodziewał.

Ona w jednej chwili ogarnęła całą sytuację. Przebiegle, nie zdejmując kapelusza, podeszła do niego tak ostrożnie, jakby był szklanym przedmiotem...

— Całuję rączki, Tatuńciu! — wyrzekła cicho i łagodnym głosem.

Usiadła obok niego, nawet nie szeleszcząc suknią. Na stole paliła się świeca. Krajewski, który nie spodziewał się już, że Poranek się zjawi, nie chciał zapalać lampy, aby nie robić sobie przykrości.

— Co Tatuńcio robił przez te cztery dni? może Tatuńcio chory — pytała, patrząc na niego słodko, błękitem swych pięknych, czystych, młodych oczów.

Nie odpowiadał nic. Patrzył na nią tylko i powoli upajał się jej obecnością. Rano był znów na Zamarstynowie, pomimo iż walczył ze sobą ciężko. Nie doszedł wprawdzie aż do Prysadnej, tylko zatrzymał się u wylotu zaułka i ulicy. Patrzył w stronę domu, zamieszkiwanego przez Franię. Poszedł wcześniej, przed biurem. Więc poranek jesienny dźwigał się ciężko i leniwie nad ziemią. Kałuże błota zamarzły sino. Jakieś psy, podobne do szkieletów, zebrały się w bandę pod parkanem. Patrzyły na Krajewskiego oczami, opłyniętymi krwią. Były bardzo zgłodniałe i nie miały nawet kawałeczka kości, aby się o nią zagryzać wzajemnie. We wzroku ich była cała rozpacz ludzka, i to ta rozpacz, która tkwi na dnie żreńce kogoś bardzo chorego, bardzo nędznego i który daremnie

żebrze o to, aby go ktoś dobił i wyrzucił ścierwem z pomiędzy żyjących.

Dom, w którym mieszkała Frania, widać było z punktu, gdzie stał Krajewski. Ograniczył się tylko na tem, bo jakaś arystokratyczna wykuintność uczuć nie pozwalała mu w tej chwili zetknąć się z Prysadną. Jeżeli Frania jeszcze nie wróciła do domu, czuł, że grać będzie śmieszną rolę kochanka, latającego za uciekającą przed nim kobietą. Czuł, jak bezdennie głupim i śmiesznym się wydawać musi Prysadnej, on, „inteligent“, upędzający się za jej lokatorką. Wszak dla niej to, co było właściwym urokiem Frani, ta jej dziwna, tajemnicza piękność prymitywnej kobiecości, to jej zaczarowanie w sobie jakby najcichszego, a zarazem najśłodsze powiewu wiosennego, nie istniało wcale. To, co ona знаła i ceniła z Frani, nie było rzeczywiście warte jego troski i pragnień. Miała więc uzasadnioną przyczynę do szydzenia z niego. Przytem czuł, iż do Prysadnej należy tylko przystępować z pieniędzmi, a nie chciał, aby nawet w tym umyśle Frania-Poranek identyfikowała się z Franią z Koszem i aby obie dawały swej opiekunce „zarobek“...

Przed kamienicę wyszedł mężczyzna jakiś i stał, patrząc na drogę. Widocznie czekał na kogoś. W umyśle Krajewskiego powstało przekonanie, że jest to ów „Kosz“, i że czeka tak na swoją Franię, wracającą z nocnej wycieczki. Wstrząsnął się cały. Wszak i on czekał na... swoją Franię!

I z rękami w kieszeni palta, z głową opuszczoną, Krajewski śpiesznie ku miastu iść zaczął.

Za nim płynęła zgniła woń kałuż i ciche, jęklive wycie zgłodniałych psów, które poukładały się pod parkanem i leżały tak nieruchome, jakby czekając na hucelowski postronek, na którym zawisnąć może było dla nich rozkoszą.

.

Frania siedziała ciągle obok Krajewskiego i teraz milczała. Obejrzała się dokoła. Wreszcie powstała i zbliżyła się do okna. Szła do swoich kwiatów. Nachyliła się nad nimi, Krajewski widział, jak je całowała. Gdy podniosła twarz, wielki wyraz smutku jakby chwilę wionął po jej twarzyczce.

— Pamiętałem o twoich kwiatach, Poranku! — odezwał się wreszcie Krajewski — pamiętałem lepiej, niż ty o mnie!...

Jednym skokiem była u jego kolan.

— Ja ciągle, furt o tobie myślałam, Tatuńciu, ja się tu rwałam, jak pies na łańcuchu, jak Boga szczerze kocham...

Uśmiechnął się mimowoli.

— Ty Boga nie kochasz, bo go nie znasz...

— No, to jak temu, co mam najświętszego, spokoju w grobie pragnę, tak, Tatuńciu, ty mi z myśli nie schodził.

— Dlaczego do mnie nie napisałaś?

— Bo...

— No? no?...

— Bo nie miałam czasu. A potem, ty nie wiesz, Tatuńciu, co to z takimi, co przyjadą, to ich trzeba wprowadzać po mieście, jak cieleća, pokazywać i to, i tamto... To się dziwią, to znów gdzieś pogubią... Powiadam ci, Tatuńciu, cała heca...

Miał znów przy sobie oczy jej, które patrzyły mu prosto w źrenice, świecąc się w półcieniu. Powiodł palcem po konturze jej twarzyczki, która wydała mu się jakby zmalą, zdrobniała. Wogóle cała Frania wydała mu się jakby mniejszą, zmęczoną. I, patrząc na nią, czując ciepło jej piersi, które oparła mu o kolana, przeżuwał w myśli istotę swego lęku, który szarpał nim od tych ezterech dni.

A istotą ową było to, że przywiązał się do

przedmiotu, który być może, był tylko przemijającym zjawiskiem w jego życiu i którego nie mógł stać się wyłącznym posiadaczem.

Oto dlaczego ludzie są źli i nieszczęśliwi, mówi Spinoza.

— A potem, Tatuńciu! ja nie myślałam, że ci tak bardzo o mnie chodzi!...

Westchnął.

— Chodzi mi o ciebie, Poranku!

Mgła przysłoniła jej oczy

Do rąk mu się osunęła i zaczęła całować je gorąco.

— Moje ręce... moje...

Brała go już całego. Szła od niej jakaś święta iskra cichego, słodkiego szału, którego tajemnicę musiała przynieść ze sobą na świat. Patrząc na nią, tak prostą i niewyszukaną w swych pieszczotach, a taką wzbudzającą dreszcze, niosącą zarazem rozkosz cielesną i jakieś duszne upojenie, chmurność Krajewskiego topniała powoli i spływała w te dłonie, do których przyłgnęły usta dziewczyny.

I te usta purpurowe, delikatne, a mocne, piły z rąk jego, jak z czar pełnych smutku i drzeń utajonych, całą tęsknotę, lęk i p r z y c z y n ę tego niedopowiedzianego lęku.

.
We dwie godziny później różowawe światło lampy, padało na resztki kolacji, zgotowanej naprędce przez Romanową, przy pomocy Frani. Ubrana w różowy swój szlafroczek, z włosami rozburzonemi, krzątała się po pokoju, ścierając kurze, ustawiając po „dawnemu“, słowem, napełniając wnętrze odgłosem swych obcasików, gwizdem melodyjek, ciepłym zapachem swej młodości, bujnej i żywiołowej.

Krajewski, leżąc na sofie, patrzył na nią, rad, jakby tonąc w tej letniej kąpieli kołysanych mile nerwów. Mimo

to przecież, z chwilą, gdy obręcz ramion Frani rozpadła się w lubem wyczerpaniu, Krajewskiemu powróciła nurtująca myśl wybadania, gdzie Frania spędziła te cztery dni, z kim... Chciał wiedzieć coś o tych ludziach, których ona określała mianem swej „rodziny“. Mówiła mu sama, że byli w Coloseum, że było tam „hecowanie“, że chodzili pod Jura, że włączyli się po mieście i puścić ją na noc nie chcieli. Ale bliżej nie określiła, kto był, i Krajewski czuł, jeśli sama w tym względzie nic nie powiedziała, to i na jego pytanie nie odpowie.

Teraz, w tem półświetle, wydawała mu się bardzo malarską, w fałdach swego szlafrocza. Luźne, dość szlachetne linje kryły pewną grubą strukturę jej szkieletu. Czuł w niej znużenie, które ujawniło się głównie w pewnej sennej powolności gestów. I przesuwiała mu się przed oczami owa suteryna, kuferki, na których było jej legowisko, cała jakaś tragiczna atmosfera nędzy i nizin, pełnych tajemnic, Frania z Koszem, Prysadna, pobrzękująca pieńiedzmi...

— Chodź tu, Poranku!.. — wyrzekł nagle, gasząc papierosa.

Przyszła posłusznie i usiadła na brzegu sofy. Łagodnym, macierzyńskim gestem zaczęła mu gładzić włosy nad czołem.

— Słuchaj, Poranku! ja byłem u Prysadnej i widziałem tę norę, gdzie mieszkasz.

— Co widziałeś?

— Tę dziurę obrzydliwą i wilgotną, w której mieszkasz. Poznałem tę Prysadną...

Zaczęła się śmiać.

— Co? prawda? kuta baba. Powiadam ci, Tatuńciu, że ona samego Pana Boga za nosby wodziła.

— Tego nie wiem. Ale powiem ci, że zrobiła na mnie straszne wrażenie.

— Dlaczego, Tatuńciu?

— Jest to podła i nikczemna baba. Nic więcej.

Frania pokręciła głową.

— Oj, Tatuńciu! jaki ty niesprawiedliwy. A Prysadna właśnie zakochała się w tobie. Mówi, że ty bardzo fajny. Mówi, Tatuńciu, że ty musisz być z hrabiów.

Krajewski mimowoli uśmiechnął się. Rzeczywiście, babka jego była z domu hrabianką, i po niej to odziedziczył cienkie połączenie kości i skłonność do reumatyzmu.

— Pochlebia mi opinia pani Prysadnej — wyrzekł, gasząc ten uśmiech — ale to mojego zdania o niej nie zmienia. Jest to baba, robiąca na mnie wrażenie Judasza.

— Och, Tatuńciu! jak kto rudy i Żyd, to mówią, że Judasz, a Prysadna katoliczka i czarna.

— Ale u niej dusza taka, jak u Judasza.

— Czemu?

— Bo i ona gotowa każdego, choćby nawet ciebie, sprzedać za trochę pieniędzy.

Frania nagle umilkła. Krajewski uczuł, że trafił w rdzeń rzeczy.

— Co, Poranku? co? nie mam racji?

— Ta może masz recht, Tatuńciu. To chciwa baba i lubi pieniądz. O tem to wszyscy wiemy. Ale ona nie jest taka zła, jak ty myślisz.

Krajewski chwilę milczał, jakby się ważył na jakieś duże zapytanie.

— A nie sprzedaje to ona dziewcząt, co je ma na stancji?

Twarz Frani zmieniła się w jednej chwili. Oczy poszerzały i nagle uciekły wzrokiem ku lampie. Frania odsunęła się od Krajewskiego i wybelkotała:

— Skąd o tem wiesz, Tatuńciu?

On uniósł się na łokciu i prosto w twarz jej patrzył.

— Wiem. Poranku, dużo wiem.

— To... bajki może.

— Nie. A Frania, ta z Koszem? Czy Prysadna nie stręczyła jej kochanków?

— Nie. Ona przecież ma Kosza.

— No tak. Ale, oprócz Kosza, takich za pieniądze.

— Ależ, Tatuńciu, ty mówisz... k o c h a n k ó w, a nie gości.

Na czoło Krajewskiego wystąpił pot.

— To jedno.

— Jakże jedno? Ty jesteś mój kochanek, Kosz — Franiny kochanek. A tamci, to goście...

Krajewski umilkł na chwilę. Robiło mu się gorąco. Nerwy miał napięte i czuł, że to samo dzieje się z Franią. Pomiedzy nimi, w powietrzu, wisiała jakaś katastrofa. Czuł, że może tylko rękę wyciągnąć, aby dowiedzieć się wiele. I zląkł się i cofnął. Nie śmiał iść prosto.

— No... — zaczął — więc sama przyznajesz, że Prysadna...

— Tatuńciu! — przerwała nagle ze śmiechem Frania — ty masz światełko...

— ?...

— O tu, na nosie. Tak jak gwiazdka. O tu, tu! Czuć było, że figlami pragnie przerwać rozmowę.

— Nie... czekaj, Poranku! Powiedz mi lepiej, co to za goście, które Prysadna takiej Frani z Koszem stręczy? Wyraz zmęczenia wystąpił na twarzyczkę Frani.

— Ja nie wiem. Takie panowie.

— Skąd ich Prysadna bierze?

— Albo ja wiem?

— Może przez Żydów?

— Może, Tatuńciu.

Odsuwała się coraz bardziej od niego. On nagle usiadł na sofie i wyciągnął ku niej rękę. Ona szybko, dziwnym gestem, zasłoniła przed nim ręką twarz, jakby

chroniąc się przed uderzeniem. Był to to gest bardzo wymowny i charakterystyczny. Krajewski pochwycił ją za tę ręką i przyciągnął do siebie.

— A ciebie, Poranku? — zapytał blisko niej, patrząc jej prawie w oczy — ciebie nie chciała sprzedać komu? powiedz?

Frانيا znów oczami pobiegła ku lampie.

— Tatuńciu... ta daj spokój.

— No... powiedz!

— Ta co mnie se k u j e s z.

Zmęczenie, prawie lży czuć było w jej głosie.

— Nie bój się, Poranku. Powiedz!.. Sama mi to powiedz. Ja wiem, że ty jesteś uczciwa dziewczynka i żebyś nie zrobiła nigdy łajdactwa. Więc tylko chcę wiedzieć.

— A poco ci to, Tatuńciu? Może chcesz zaskarżyć Prysadną do policji?

— Nie. Tylko chcę, żebyś się od niej wyniosła.

Frانيا milczała. Zwiesiła głowę i miała w całej postaci i twarzy wyraz głębokiego zniechęcenia.

— Ta gdzie mnie iść, Tatuńciu! — wyrzekła wreszcie cicho.

— Do porządnego domu, przy uczciwej rodzinie. Będiesz spać na łóżku...

— Ta ja śpię na łóżku.

— Gdzie? na kuferkach!

— Co ty, Tatuńciu! Gdzieżbym ja na kuferkach!

— To chyba śpisz razem z Prysadną, bo tam jedno łóżko.

Jakieś wahanie odmalowało się w twarzy Frania.

— Ja nie... ona śpi na kuferkach, a reszta na podłodze.

— Jaka reszta?

— Ta szewc i Kasia Zahorodna.

— To was tam tyle?

— Tyle, Tatuńciu!

Porwał się z sofy. Zaczął chodzić po pokoju. Ta myśl, że Frania mieszka i całe noce spędza pomiędzy bandą mężczyzn i dziewczek, była mu wstrętną.

— Ty się stamtąd wyprowadzisz! — krzyknął prawie, stając nagle przed nią.

Instynktem wyczuła, że sprzeciwić mu się nie może w tej chwili

— Dobrze, Tatuńciu! Jutro se poszukam czego.

— Ja ci mieszkanie wynajdę. Kupię ci łóżko, pościel, zapłacę za miesiąc...

— Nie chcę!...

— ?...

— Bo ja chcę się z tobą kochać, Tatuńciu.

— I tak się będziemy kochać.

— Nie! nie! to będzie po wszystkim. To już diabli wezmą... a ja nie chcę! Ja mam pieniądze, ja mam! ja se sama stancję wynajmę.

Porwał ją znów za rękę.

— Skąd masz pieniądze?

— Puszczaj, Tatuńciu. mnie boli...

— Skąd masz pieniądze?

— Dali mi.

— Kto?

— Familja.

Puścił ją. Tak. To być mogło. Rodzina mogła jej dać trochę pieniędzy. Spojrzał na nią. Oczy miała łzami zaszkłone. Porwał ją w objęcia i zaczął tulić do siebie, jakby ją wyrwał z głębi przepaści błotnistej, w którą ją ktoś niewidzialny a przemocny wtrącił.

— Przepraszam cię, przepraszam!

Nie odpowiadała nic. Ale zwiła mu w ramionach, wyczerpana i smutna. Usiadł na otomane i posadził ją obok siebie. Otulił ją ramieniem silnie, jak swoją własność.

— Ja się boję o ciebie, Poranku!
Westchnęła długo i ciężko.

— Ty jeszcze mało znasz ludzi, i taka Prysadna może cię łatwo skusić.

Machnęła ręką.

— O to się nie bój, Tatuńciu. Ja pluję na nią i na jej znajomości.

Ucieszył się.

— A jednak trzeba, żebyś się stamtąd wyniosła.

— Już ci przyrzekłam, że będę szukać.

Odsunęła się od niego i patrzyła mu w oczy smutnie.

— Aj, Tatuńciu! jak ty sam guza szukasz.

— ?...

— No bo czego ty złe wyzywasz? Przecie nam tak dobrze razem, a ty chcesz czego innego.

— Ja chcę, żeby jeszcze było lepiej.

— Oj, Tatuńciu... nie poprawiać, bo jak się poprawia los, to się go popsuje. Buciki i los, to już jak złe, na żadnym kopycie nie rozbijesz. A ty ciągiem chcesz rozbić. Ta to złe.

Wstała. Zaczęła szukać kapelusza.

— Ja idę, Tatuńciu!

— Gdzie?...

— Do... do domu.

— Tam? razem z szewcem, w jednej izbie?

— Ta co chcesz? szewc taki sam człowiek, jak i ty.

— Ale ja nie chcę, żebyś tam była.

Porwał się, podbiegł do drzwi, zamknął je na klucz.

— Zostaniesz tutaj na noc.

Jakiś nieokreślony strach odbił się na jej twarzy.

— Tatuńciu, ja muszę iść...

— Jutro pójdziesz.

— Ja muszę być rano na mieście.

— Gdzie?

Milczała. Posunęła się ku drzwiom.

Zastąpił jej drogę.

— A ja ci mówię, że nie wyjdiesz. Nie zniosę tego, żebyś wracała na noc do tej łajdackiej nory, pomiędzy tę hołotę... Słyszysz?

Cofnęła się i padła na otomanę. Nagle zawyła jakimś płaczem, jakimś jękiem, naprowadzającym grozę. Krajewski przez chwilę zmartwiał. Było w głosie Poranka tyle tragizmu, tyle skargi, że dreszcz szedł od mózgu, przez serce i konał powoli, stygnąc kamiennymi łzami. I było tam coś z wycia psów na Zamarstynowie, głodnych, z życia wypędzonych, modlących się o śmierć.

Szybko otworzył drzwi i wskazał jej ręką.

— Możesz iść! — wyrzucił przez zaciśnięte zęby.

Czuł, że przemocą nie zatrzymuje się kobiety. Instynktownie kierował się zasadą, że, jeśli się chce, a by kobieta wróciła, należy ją za drzwi wyrzucić.

Lecz czekał. Myślał, że nie pójdzie, że zostanie. Ona jednak porwała się i, wyjąc ciągle wichrową, psią skargę, dopadła drzwi i znikła w głębi sieni.

Po chwili słychać tylko było trzask ciężki drzwi wchodowych i jakby tupot obcasików, pędzących po ulicy pod oknami Krajewskiego.

XXV.

Wróciła.

Wróciła prędzej nawet, niż przypuszczał Krajewski. Bo przyszła na drugi dzień rano, jeszcze wtedy, gdy on spał ciężko po bezsennej nocy.

— Tatuńciu, całuję rączki!

Objęła go i przytuliła głowę do jego ciepłej od snu piersi.

— To ja, Poranek tatuńciowy.

Uradował się bezmiernie. Całą noc nie mógł się pozbyć wrażenia, jakie wywarł na nim świat dźwięków, zawarty w jej płaczu. Po raz pierwszy widział ją płaczącą. Nie wyobrażał sobie dotąd, że Frania jego płakać umie. A tu upadła nagle bezsilna, tragiczna, jakby zwalona uderzeniem maczugi, i zawiodła cmentarny krzyżyk rozpiętego skrzydłami i ociekającego od krwi na pniu drzewnym puszczyka.

Kto wie, za czym ona tak zawodzi... — myślał — kto wie, kim jest dla niej ta Prysadna. Może to jej matka... Co zaś do tego, że Frania jest Wątopek, a ta Prysadna... to w tej klasie niczego nie dowodzi. Może to właśnie jest owa „familja“, do której się przyznać nie chce. Zaczął wyrzucać sobie, że tyle zmartwienia jej napędził

Równocześnie aż wiło się w nim serce od tęsknoty za nią.

— Już jej nie będę dokuczał, nie zapytam o nic — postanawiał — niech będzie, co chce.. byle tylko przy mnie była.

I, gdy uczuł ją znów przy sobie, gdy mu tak przylgnęła do piersi swoim słodkim zwyczajem, cieszył się nią, jak dziecko zgubioną zabawką.

— Ja ciebie bardzo kocham, Tatuńciu!... — szeptała, leżąc nieruchomo, z zamkniętymi oczyma.

W szalonym uścisku reszta ich kłótni stopniała.

.

Parę dni przeszło zupełnie spokojnie i według dawnego trybu. Krajewski jednak pozornie był tylko spokojny. Coś w nim nurtowało dziwnie i bezustannie. Zerwał zupełnie stosunki ze światem. Pozostał tylko ze swą namiętnością. Powoli bowiem ta słodycz domowego pożycia zaczynała się przeradzać w namiętność, i sentyment zda-

wał się jeszcze iść z tą namiętnością w parze. „Zdawał się“ tylko, bo rzeczywiście to, co Francuzi zowią *passion*, rozwijało się kosztem łagodniejszych i bardziej szlachetnych uczuć. Niemniej jednak podkład był jeszcze ten sam.

Tymczasem u Frani działo się wręcz przeciwnie. Zagospodarowana, przejęta ważnością prowadzenia tego miniaturowego domu, macierzyńska, tkliwa i uważająca, ustępowała z żalem jakby namiętnym porywom Krajewskiego. Jemu się zdawało, że dziewczyna ta miała tę dewizę, która kierowała zawsze zmysłowym życiem kobiet, wydoskonalonych w sztuce kochania.

— Nie żądać nigdy, nie odmawiać nigdy

Lecz ona, po każdym objawie szału ze strony kochanka, zwinięta po dziecinnemu w kłębuszek, leżała jakby senna i martwa. A w kącikach jej ust drgał jakby żal za czemś lepszym, co się odrywało powoli i leciało płatkami śnieżnym, na wzór rozwianych burzą i wichrem kwiatów.

— Pocałuj mnie, Tatuńciu! — prosiła, — ale słodko, dobrze...

Gdy chylił się nad nią jeszcze z resztkami namiętności, wyczuwała to i delikatnie odsuwała go od siebie.

— Nie tak! nie tak! dobrze... słodko... poczciwie.
.....

Do tego słowa poczciwie przywiązywała widocznie wielką wagę. Używała go rzadko, i to w uroczystych chwilach. U niej głównie dzieci matkę, a matka dzieci, mogły kochać poczciwie. Mówiła o takiej miłości jakby z żalem, i Krajewski odczuł odrazu, że musiało jej takiego uczucia w życiu brakować. Ponieważ jednak była tak bardzo skrytą i Krajewskiemu było niezmiernie przykro, ile razy potykał się o mur milczenia, którym się widocznie odgrodzić pragnęła, nie poruszał teraz żadnej kwestyi, dotyczącej czy to jej przeszłości, czy jej pochodzenia.

— Tak będzie poczciwie! — powiedziała raz, gdy

zaczął badać ją, kto był właściwie jej pierwszym kochan-
kiem — tak będzie pocziwie, Tatuńciu, jak się mnie o nie
pytać nie będziesz...

Lecz nim szarpnęła jakaś sameza wściekłość, ta chęć
wyłącznieci, od pierwszej chwili zbudzenia się dreszczu
w ciele kobiety.

— Mogłabyś mi powiedzieć...

— Na co?

— Lżejby mi było.

Otworzyła szeroko swe błękitne, bezświadome oczy.

— A cóż ci to szkodzi, Tatuńciu?

Unosił się coraz więcej.

— Szkodzi mi! szkodzi mi!

Wzruszyła ramionami.

— Też! taż nie jestem panna do wzięcia i nie masz
się ze mną żenić... więc nie powinno ci o to chodzić. Co
inszego na żonę. Al to wstyd dla ludzi...

Patrzył na nią z całą żądzą i uczuciem. Była biała,
różowa, pachniała młodością rozwianych włosów i lekko
spoconych piersi, dobywających się z koronek koszuli.

— Co mi ludzie! — krzyknął — nie dla ludzi chcia-
bym, ażebyś przedemną nie znała nikogo. Jakiś cień
smutku leciuchno zwiewał na jej twarzyczkę.

— El baj baj, będziesz w rajul — roześmiała się
niby.

Przygasła jednak jakoś.

Chcąc, zdaje się, go uspokoić, siadywała przy nim
dłużej i częściej. Lecz zarazem traciła na swej werwie
i humorze. Nie śpiewała, pomimo że ją do tego zachęcał.

— Jakże tam było z tym farosiem? — pytał, udając
także weselszy nastrój.

Patrzyła na niego tępo i nie odpowiadała.

Chwilami lgnęła mu ładnie do rąk i tylko cicho
szeptała:

— Tatuńciul... Tatuńciul...

I wtedy miała, mimo swych silnie rozrośniętych kości, wdzięk jakiegoś ptaka, który jest zmęczony i wichrami poszarpany.

.
I kochał ją wtedy bardzo..

.
Bo niosła mu w tej smutnej bezsilności, w tych oczach, które za nim z całym oddaniem się biegły i tonęły, tę wieczystą kobiecość, która jest djademem królewskim i pętami niewolnicy, okrzykiem triumfu i milczącą skargą, czarem Sulamithy i niepewnym uśmiechem szamoczącej się z wichrem w noc jesienną, zgłodniałej prostytutki. I wszystko to w jedno się zrównoważa. W tę wieczystą kobiecość, zamodloną i skradającą się bezwiednie i podle, a przecież niosącą ze sobą wzruszenie najczystsze, jakie z wzruszeń szlachetnych w ogrodzie duszy mężczyzny rosną.

.
I kochał ją wtedy bardzo.

.
Wdzięczny jej nawet był za ten świat jakiegoś smutku, w jaki popadła. Nastrajać go to zaczęło lepiej i ciszej. Napiwszy się jej żywiołowej siły i wiosennego czaru do syta, czuł się jakby wyczerpany. Ten jej milczący jakiś ton, czerpany z głębin mu nie znanych, dawał mu wytchnienie i owiewał ją coraz większą ponętą. To uleganie nawet jego zmysłowości jakby żalosne zaczął odczuwać i cieszyć się niem. Dawało mu to złudzenie pierwszego podboju, ciągle odnawianego.

Gdy patrzyła nań po każdym wyczerpaniu rozkosznem długo i jakby przez lzy, on przypadał do jej ust i całował je. Miał ochotę błagać ją o przebaczenie. Lecz lękał się wydać śmiesznym, nie jej prostaczej duszy, lecz samemu sobie.

I milczał tylko, paląc papierosy, ale uśmiechał się dawno nieznanym, radosnym, ledwo zaznaczonym uśmiechem.

XXVI.

Lecz był to świat sztuczny, który wytworzył się wśród nich i który podniósł ich jakby nad ziemię i warunki życiowe. Tak ona, jak on, odczuwali tę sztuczność i zdawali się wydzierać każdą dalszą chwilę jakiejś grozie, która ich zniweczyć chciała.

— Ach! Tatuńciu... ja tak myślę, czemu to złe trwa długo, a dobre to tak przeleci, jakby z bicia trzasł — powiedziała raz z melancholią.

— Widzisz, że nie, Poranku — odparł, zdjęty ściśnieniem serca.

— Ot, jak my się dawno kochamy, a przecież to trwa...

Potrząsnął głową. Papieros, który mu robiła, wraz z maszynką wypadł jej z ręki.

— Nie można wiedzieć, co za drzwiami stoi.

Próbowała żartować.

— Ja wiem .. Romanowa. Podśluhuje.

— El to człowiek. Przed czemś, co żyje, można się zawsze obronić. Ale takie coś złe, co na człowieka po kątach czyha, a czego uchwycić nie można, to straszne...

— Chyba to od ciebie poszło. Chyba tybys mnie porzuciła...

Wymówił to zdławionym, studenckim głosem.

Nie odpowiedziała mu nic.

Wbiła po swojemu wzrok w lampę.

Porwał się nagle i potrząsnął nią, jakby chcąc ją zbudzić z letargu, w jaki zapadała.

— Słyszałaś, com mówił?

Milczała.

— Porzuciłabyś mnie?... dlaczego?...

Milczała.

Wreszcie odezwała się jakby z żalem:

— Bo... może ty nie będziesz mnie chciał

— Ja?

— Tak... ty.

— Dlaczego?

— Czy ja wiem... może się ze mną nudzisz, co?

— Ach, ty głuptasie!

Zabrała się znów do robienia papierosów, lecz widział, że jej ręce drżały. I czuł, że ona ulega w tej chwili czemuś więcej, niż tajemniczości melancholji, że ją drze i gnębi jakiś gorzki ból w którym on ją nawet pocieszyć nie jest w stanie, lecz ból głuchy i ciągły, stokroć gorszy od poprzednich wybuchów jej rozpacz.

Starał się otoczyć ją drobnymi staraniami i ze skromnych swych zasobów wydawał to, co było prawie nad jego możność. Widząc ją odzianą zawsze w jedną wydartą sukienkę, kupił jej jakiegoś materiału, który wydawał mu się ciepłym i praktycznym. Ona podziękowała mu serdecznie, lecz natychmiast zaczęła uważnie przypatrywać się tkaninie.

— Po czemu to płaciłeś, Tatuńciu? — spytała.

Wymienił sumę.

— A to złodzieje! — krzyknęła.

Uczuł się dziwnie zmieszany.

— Mówili, że najlepsze.

— Żeby ich szlag trafił z ich najlepszym. Taże to, Tatuńciu, bawelna. To dla sługi na kolendę i to jeszcze w drańskim miejsu.

Lecz natychmiast odczuła, że mu zrobiła przykrość.

— Ty temu, Tatuńciu, nie winien, bo mężczyzna się

na szmatach nie zna. To oni hycle. Ale ci dziękuję, Tatuńciu, za twoje dobre serce i taki to zawsze zabiorę. To się przyda.

W pocałunku jej ciepłych świeżych warg narazie nie-smak, jaki mu zostawiła ta scena, stopniał.

Na drugi dzień Frania była jakaś chora.

W przeddzień wyszła od Krajewskiego wcześniej, twierdząc, że ma dużo roboty, nad wieczorem przywlokła się blada, z podsiniałymi oczami. Mówiła, że ma bóle, że jest chora.

Zrobił jej herbaty, krzątał się koło niej, okrył ją swoim paltem. Jakaś chłopska natura, robiąca z byle niedyspozycji śmiertelną chorobę, zaczęła się przebijać w jękach, jakie wydawała.

— Musiałaś coś zjeść, Poranku! — wyrzekł, pragnąc ją uspokoić.

— Co miałam zjeść! — zawołała — wczoraj poszłam nawet bez kolacji spać...

I znów jęczała.

Nagle się odezwała:

— Tatuńciu! taki duży, wielki, czerwony rak, co to ludzie z sosem jedzą... to bardzo niezdrowe?

— Homar?

— Aha! homar.

— Dosyć. Ale czemu się pytasz. Może jadłaś homara? -- żartował, podając jej herbatę.

— Ja?... ta gdzie? tylko tak, jedna moja przyjaciółka mówiła. Zjadła raz takiego homara, a potem się napiła zimnego piwa i bardzo miała wielkie bóle...

— Naturalnie.

Chwilkę milczała.

— A czy z takiego czegoś można umrzeć? — zapytała cichym głosem.

Wzruszył ramionami.

— Ze wszystkiego można umrzeć, głuptasiel lepiej pij herbatę.

Piła już, milcząc, i niedługo objawiła, że jej lepiej. Ucieszył się.

— Zostań u mnie do rana.

Porwała się.

— Nie mogę, Tatuńciu!

Nie nalegał. Wiedział, że nie zostanie. Nie chciał i siebie i jej rozdrażniać.

— Odwiozę cię!

— Ach! nie!... sama pojedę tramwajem.

— Ależ, ja cię tak puścić nie mogę.

Nagle tupnęła nogą, i wargi jej trząść się zaczęły.

— Daj mi spokój.. zostaw mnie.

Widocznie ból i gorączka rozdrażniły ją i wywołały w tej istocie biernej silny zewnętrzny opór.

On, usłyszawszy ten głos gniewny i jeszcze mu nieznanym, przeraził się. Chciał odpowiedzieć jej równie podniesionym tonem, lecz, rzecz dziwna, nie znalazł w głębi siebie podobnego echa.

— To idź! — wyrzekł prawie pokornie, otwierając drzwi do sieni.

Pocałowała go jakby w przelocie i zatrzymała się u progu.

— I proszę nie przychodzić jutro do Prysadnej, bo ja muszę bardzo wcześnie iść do roboty. Słyszysz, Tatuńciu!...

Patrzył na jej twarzyczkę, którą cierpienie pobielilo dziwnie. Coś delikatnego wiało od jej warg drżących i wybladłych. Myślał teraz tylko o tem, że jest biedna i chora.

— Słyszę, słyszę!...

Drzwi się zamknęły. A on myślał, że nie zapytał jej, kiedy jutro do niego przyjdzie, i lękał się wybiedz za nią

i rozdrażniać jakimś pytaniem. Usiadł tylko na sofie, jakby wtulając się w te poduszki, które nosiły jeszcze od-cisk jej ciała.

.....
W milczeniu wszedł w siebie i zrozumiał, co to jest strach przed kobietą.

Pomimo że ją przecież nie tak dawno w gniewie maltretował i bił nieledwie. A teraz — bał się jej.

Jej jednego słowa, ściągnięcia brwi, tupnięcia nogą.

Bał się.

Bo miała w tej chwili twarzyczkę zdrobniałą, wybladłą i otoczona była jeszcze siecią jęków i skarg.

Bał się jej.

Bo była bezsilna.

.....
Nazajutrz rano zwołał Romanową i kazał jej iść ze sobą. Kupił w sklepie pół funta doskonałej herbaty, cukru, rumu, dwie flaszki Vöslauer Goldecka i wszystko to zanieść kazał stróżce pod adresem Prysadnej.

— Proszę to zanieść i powiedzieć, że to dla panny Frani, żeby piła herbatę, wino i nic nie jadła. I proszę się zapytać, jak się panna Frania ma.

Stróżka z pod derowej chustki, w którą była zawinięta, jak jakaś Tapada bajecznie tajemnicza, patrzyła na niego przeciągle. Krajewski czuł, że Romanowa aż zalewa się od ironji i pogardy dla jego właśnie „wyższych uczuć“.

— I proszę o zdrowie zapytać — powtórzył niepewnym głosem.

Przejeżdżała dorożka. Skinął na nią.

— Najlepiej fiakrem, będzie prędejsz...

— I owszem, proszę wielmożnego pana!

Skoczyła do dorożki, jak mała, bez względu na swe ischiasy i reumatyzmy tradycyjne. Zainstalowała się. Krajewski obok uważnie poukładał wino i paczki. Gdy

dorożka ruszyła, Krajewski przelotnie spojrzał na twarz stróżki. Zawinięta w zatłuszczone dery, śmiała się jednym okiem i podniesioną brwią. Czuć było, iż Romanowa bezczelnie zanosi się od śmiechu. Potrząsały się nawet jej ramiona i łeb szary, wznoszący się nad linią czarną powozu, podrzucany nierównością bruku i ironiczną konwulsją wesołości.

Krajewskiego dotknęło to małostkowo. Zły był nie za to, że jest przedmiotem pośmiewiska, lecz że stał się wrażliwy na tego rodzaju uczucia.

Do Frani zwrócił się ze swą złością i uczynił ją odpowiedzialną za szyderstwa, które go poniżają przed nim samym.

— Błaźnica! — przemknęło mu przez umysł — już ja ją dziś przyjmę!

Lecz, gdy dochodził do biura, żałował już, że nie kazał Romanowej powrócić dorożką i przyjść do biura, aby mu powiedzieć, jak się miewa Frania, a zwłaszcza, czy przyjdzie wieczorem.

— Niechby tylko przyszedł! — myślał, cały wsiąknięty we wspomnienie rozkosznego zapachu jej ciała i łagodnego wdzięku jej zwykłego postępowania.

W biurze natrafił na jakąś ożywioną dyskusję.

Urzednicy, skupieni koło pieca, debatowali nad wiadomością, jaką przyniósł jakiś dzienniczek poranny.

Była to zbrodnia, zwykła, podmiejska zbrodnia. Kochanek zamordował kochankę, która z nim żyć nie chciała. Przedtem ona mu jeszcze kupiła cukierków i zapłaciła za piwo w szynku. Ale to było zakończenie miłości. Powiedziała mu otwarcie, że go nie chce. Jako przyczynę podała: „Nudzi mi się z tobą, ja chcę żyć inaczej, ty jesteś nudny!“ Koło pieca urzędowego, w którym paliły się obficie cesarsko-królewskie węgle, kiwano głowami.

— To nie dostateczny powód, aby opuszczać mężczyznę.

— Naturalnie. To nie jest dostateczny powód.

— Piękna afera. Gdyby każda kobieta, której się nudzi, uciekała, ładniebyśmy wyglądali!

— Spodziewam się.

Żaden z nich nie wyraził swej myśli. Ale w tej brutalnej jasności dziennej, którą nagle spowodował świeżo i przedwcześnie padający za oknem śnieg, czuć było tańczące dokoła okropne myśli.

— Dobrze jej tak! dobrze jej tak!

Lecz nagle wmieszał się w rozmowę Konitz.

— A... przepraszam, moi panowie! przepraszam! dziewczyna miała zupełną rację, chcąc opuścić nudnego kochanka. Cóż u diabła? Czy dlatego się puszcza, aby pędzić życie, jak w klasztorze? Ha?

Nikt mu nie odpowiedział, ale wszyscy zdawali się rozmyślać nad jego słowami. On stał wśród nich śmieszny, drobny, podnosząc się na palce, zarozumiały swoją znajomością kobiet i odcieni ich charakteru.

Krajewski patrzył na niego, siedząc przy swoim biurku.

Wyrazy Konitza uderzyły jego przedewszystkiem.

— Cóż właściwie stanowi duszę kobiety, moi panowie! Chęć życia i użycia.

— O! o! o! — ozwały się nieśmiałe protesty urzędników podatkowych.

— Tak, moi panowie! — ostro i stanowczo przebił Konitz — życia i użycia.

Uderzył się w piersi.

— Mówię na podstawie wieloletnich studjów. Dla mnie kobieta nie ma tajemnic. Sto i jedna!...

Uderzył się znów w piersi.

— Zapytajcie mych płuc.

Krajewski wstał i podszedł ku niemu.

— Mówisz pan, że nudząc się...

— Zawsze porzucił — przerwał mu Konitz, czupurząc się — zawsze. Z początku udaje przez grzeczność, że znosi nudy możliwie. Ale gdy zanadto, ucieka. Niema na to rady. U-cie-ka!...

— O! o! o! — odezwał się chór.

— Naturalnie, nie mówię o żonach, które siedzieć muszą na uwięzi. Ale o tych dziewczętach, które czasowo... no... tak. A więc czego od nich żądać? Aby zamykały się z nami w czterech ścianach? To dobre na pewien czas i o pewnej porze, ale później... ha?...

— Przecież, jeżeli kobieta kocha...

— Co? jak? — wrzasnął Konitz — tem bardziej, jeśli kocha, żąda więcej, bo taksuje się drożej. A potem co? Takie dziewczęta nazywają się jak? jak? no! no!...

Przeginał się, egzaminował, badał ostro, jak profesor z katedry.

Padło jakieś grube słowo.

— Niel niel — zaprotestował Konitz — nie tak, tylko... we-so-łe dziewczęta. Już od czasów tej Menelajowej, we-so-łe córki Grecji. Dziwy la la!.. a wy chcecie, aby one klepały z wami pacierze, kiedy one są we-so-łe!...

Akcentował silnie tę wesołość.

I przekonywał.

— Prawda! — rzucił jakiś chudy, wysoki mężczyzna — on ma rację!

— Pewnie, że mam rację! — triumfował Konitz — i dlatego ode mnie nigdy kochanki nie uciekają. Staram się rozrywać je, wedle możliwości. Co wieczór kawiarenka, kinematograf, koło pierwszego szantani, czasem gumy. Raz nawet wynajęłam takiej mojej automobil.

— O! o! o! — zaprotestował chór.

— To już zbytecznel — zaoponował ktoś z pod samego pieca.

— Dlaczego? niech się kształci. Po tym automobilu jak się mnie czepiła, ani weź się pozbyć. I dlatego, moi panowie, zapamiętajcie sobie. Jeśli chcecie odczepić się od jakiej kobiety, zamykajcie się z nią zawsze sam na sam wieczorami w domu i za całą rozrywkę przedstawcie jej — siebie. Będzie was miała niedługo dosyć i da nura. A teraz... do roboty!

.

Wracając do domu, Krajewski rozmyślał ciągle nad słowami Konitza. Tak, ten mały pokraczny „znawca kobiet“ miał rację. Kobietę zrazić do siebie najłatwiej, kładąc się jej ze sobą nudzić. Czy Frania nie nudziła się? Bezwarunkowo. Musiała się nudzić. Wszystko w niej było życiem, podczas gdy on był już po tamtej stronie życia. W egoizmie swoim ściągnął ją w swe cztery ściany, zamknął drzwi, rad, że ma dla siebie i przy sobie tę istotę kobiecą, tak mu bardzo miłą i potrzebną.

— Ucieka... może ona ucieka... kto wie... — kombinował — nigdy nie chce dłużej zostać, wyrywa się prawie przemocą.. Nudzi się!..

Wszedł do domu i przemknął się delikatnie przez sieni. Wstydził się Romanowej. Miał ciągle na oczach tę drgającą ze śmiechu głowę baby, podrzucaną ruchami dorożki.

Lecz stróżka czyhała na niego przy drzwiach jego mieszkania.

— Całuję rączki wielmożnemu panu! — zaczęła jakoś chytrze.

— Al to był

— Ja ci.

Czekała ironicznie, a niby układnie, na zapytanie. Krajewski to czuł i, gdyby mógł, plunąłby chętnie w twarz stróżki.

— I co? — zapytał wreszcie -- oddaliście panience, com kazał?

— A jakże.

— Była w domu?

— Nie. Panienka szła właśnie do nas. Ale jej powiedziały, że wielmożnego pana nie ma, więc się zawróciła. Krajewski uczył, że go ogarnia dobry humor.

— No... to zdrowa?

— Ta zdrowa.

— A... ucieszyła się prezentem?

— O! bardzo! bardzo!

To „bardzo“ aż rozległo się po sieni, dzwoniąc, jak fałszowana moneta.

— I kazała powiedzieć, że dzisiaj popołudniu przyjdzie.

— Dobrze!

Wszedł szybko do pokoju, rad i rzeźki. Uczuł wtedy, że zgnębienie jego pochodziło z jakiejś niepewności co do przyjścia Frani.

— Niech tylko przyjdzie — myślał, zacierając ręce — niech tylko przyjdzie, już wiem, jak będę z nią postępował.

Przedewszystkiem nie każę się jej ze sobą nudzić.

Bo jej prymitywna instynktowność to dla mnie krynica, z której czerpię odżywczość i siły.

A cóż ona czerpać może ze mnie i mej wyrafinowanej i wymęczonej kultury?

— Nu - dę!

XXVII.

Siedzą w Orfeum.

To ohydny szantan, zadymiony i ciemny. Coś pełza, coś się skrada po ścianach. Z łóż-jam zięje pustka i nuda.

Gdzieniegdzie kelner, z podejrzaną fizjonomią wygorsowanego karjerowca, podpira jakąś kolumnę. Z łóż opadają komiczne, czerwone czapaki, zarzucone na balustradę. Na scenie coś skrzeczy. Para nóg rozpaczliwie porusza się w tył i naprzód.

Wije i z kątów dobywa się gryząca woń amoniaku i karbolu.

W krzesłach garstka ludzi. Kilku wojskowych, uparcie w scenę wpatrzonych. Reszta, okutana w zimową odzież, tonie w jednostajnej masie, przedzielonej czerwienią pustych ławek.

W trzecim rzędzie siedział Krajewski z Porankiem.

Zaprowadził ją tu po długiej walce i opozycji z jej strony. Zadziwiła go rozpacznym uporem, z jakim się broniła przed pójściem z nim do szantanu.

— Nie chcę, Tatuńciu! nie chcę! zostańmy w domu.

— Nie, pójdziemy.

— Szkoda pieniędzy.

— To już moja rzecz.

— Nie jestem ubrana.

— Tam zimno. Będiesz siedzieć w żakiecie. Proszę cię...

Zgodziła się wreszcie na tę „rozrywkę“. Pojechali dorożką, bo Krajewski chciał rzeczy robić *en grand*.

— Zobaczysz... zabawim się.

— A gdzie jedziemy?

— Do Orfeum.

— El... tam drogo.

— A skąd wiesz?

— Mówiła mi jedna koleżanka. Była tam... niedawno. Tam...

Urwała.

Zajechali.

Gdy zajęli miejsca w sali, Krajewskiemu podobało się

bardzo pewne zażenowanie, jakie dostrzegł u Frani. Ciągle pocierała ręką czoło, jakby pragnąc zasłonić twarzyczkę. I tylko z pod oka dość bacznie rozglądała się po widzach.

— Żenuje się biedactwo! — myślał i czuł dla niej jakieś serdeczne, szczere przywiązanie.

Powoli jednak Frania oswoiła się. Patrzyła śmielej i zadawała Krajewskiemu pytania, które go śmieszyły. Pytała o scenę, o to, jak się odbywa tego rodzaju widowisko, czy to prawda, że kobiety wychodzą tu bez trykotów...

Straszył ją i zabawiał, jak umiał. Orkiestra tymczasem rzempoliła jakąś polkę.

— To jest *Ulanenliebe* — zawyrokowała nagle Frania.

— Znasz tę polkę?

— Ach! przez uszy mi się już przelała.

Nagle potrącił ich jakiś widz spóźniony. Był to tęgi mężczyzna, mający wszystkie cechy przeciętnego Wiedeńczyka. Wszedł, prezentując swoją nową kamizelkę i kurtkę, oblamowaną wspaniale szeroką, czarną, jedwabną taśmą. Rumiany był, z wąsami czarnymi, nastroszonymi i oczami wylupiastymi, jakby w ciągłym zdziwieniu. Szedł, pogwizdując cichuteńko między zębami.

Krajewski usunął mu się ze wstrętem. Nie cierpiał tych typów komiwojażerów, a ten był mu specjalnie antypatyczny. Wiedeńczyk przecisnął się do swojego miejsca, które znajdowało się obok Frani. Zobaczywszy dziewczynę, chwilę jakby się zawahał, ale ona patrzyła mu wprost w oczy bez zmrużenia powiek.

— Pardon!... — zamruczał, siadając z trudem na wysokiej i twardej ławce.

Przedstawienie się rozpoczęło. Frania siedziała wyprostowana i milcząca. Kilkakrotnie Krajewski przemówił do niej, dając jej jakieś objaśnienia. Odpowiadała mu monosylabami. Poczerwieniała, a uszy jej przybrały aż cie-

mno-purpurową barwę. Krajewski uśmiechał się z tego wzruszenia, które przypisywał zajęciu się widzianem po raz pierwszy widowiskiem.

Wreszcie gdy kurtyna zapadła, Frania nagle zwróciła się ku niemu.

— Tatuńciu! — wyszeptała — przynieś mi p r o g r a m.

Zdziwiło go, że wie o programach w szantanie, lecz wstał i wyszedł z sali, postanawiając kupić jej także cukierków.

.

Gdy wrócił z małym pudełeczkiem pomadek i programem, Frania siedziała tak samo nieruchomo, jak przedtem. Komiwojażer stał odwrócony tyłem do sceny, z wypiętym brzuchem i złożonemi w serduszko wargami. Szybkim, zdziwionym wzrokiem obejrzał Krajewskiego i zaczął zaraz patrzeć po łóżach, gdzie kryły się niewyraźne cienie w olbrzymich, piórami pokrytych kapeluszach.

Krajewski usiadł obok Frani.

— Proszę cię, Poranku, masz program i cukierki!

Czekał, że się ucieszy i podziękuje.

Ale ona szybko ukryła pudełeczko pod mufkę, jakby wstydyła się jego małych rozmiarów.

Odczuł to i było mu przykro.

— Nie jesz? — zapytał.

— Zęby mnie bolą! — odparła, nie odwracając ku niemu głowy.

— Al... naprawdę?

— Jak Bożę kocham!

Chciała dotknąć się policzka. Pudełko upadło jej na ziemię. Komiwojażer pochylił się i podniósł. Podziękowała mu, nie patrząc, Krajewski szarpnął się.

— Czego ten chce? — zgrzytnął przez zęby — jakiś parch...

— Daj mu spokój! — odcięła cicho Frania — to bardzo porządny człowiek.

— Skąd wiesz?

— Bo... bardzo ładnie ubrany.

— A... tak!

— To dla niej wystarcza — pomyślał — podła dusza!... Spojrzał na nią.

Siedziała, czytając program. Lecz uderzyło go to, że trzyma właściwie program do góry nogami.

Jakaś zmieszana, wzruszona.. — pomyślał. — To go jeszcze więcej podnieciło.

— Franiu! — zauważył ostro -- trzymasz program do góry nogami.

Odwróciła szybko zadrukowaną kartkę.

— A!... -- wyrzekła cicho — nie widziałam nic. Oczy mnie boją.

Ręka jej, trzymająca program, drżała.

Odsunął się od niej, wydała mu się złą i głupią.

Mimo to żałował, że nie ma lepszego palta i że wziął zniszczone spodnie. Siedział tak długą chwilę. Wreszcie komiwojażer wstał i, ziewając, wyszedł. Zaraz Krajewski poczuł, że Frania przysuwa się do niego i tuli. Obejrzał się na nią. Wydała mu się skurczoną, zmienioną jakąś i biedną.

— Co ona winna! — pomyślał — że nie rozumie, jaką nicością jest zewnętrżność wobec treści.

Nie odsunął się od niej. Owszem, przygarnął jej rękę ku sobie. Dotrwali tak w ciemni, bo na scenie syczał i trząsł się kinematograf. Wreszcie przedstawienie się skończyło.

Wyszli.

Frانيا przeszła szybko mimo drzwi, prowadzących do gabinetów i zapuszczonych zatłuszczoneą portjerą. Gdy wyszli na ulicę, odetchnęła i porwała Krajewskiego pod ramię.

— Chodźmy, Tatuńciu!

Zaczęła biedz, rada, jak wypuszczony z klatki ptak. Dorożki nie było. Do tramwaju Frania wsiąść nie chciała.

— Nie, Tatuńciu, nie... zasiedziałam się, muszę rozprostować giczały.

Zaproponował jej, aby wstąpili gdzie na kolację.

— Niel nie! — zawołała — dosyć już tej zabawy. Kupimy po drodze szynki, masła, sardynek i zrobimy w domu ball...

— Ależ to mamy codzien. Dziś chciałbym, żebyś się zabawiła...!

Wzruszyła ramionami.

— Ja ta na to niełakoma.

— El tak mówisz. Ale każda kobieta lubi się bawić.

— El

Nic nie zdoła oddać tonu, jakim to jedno „el“ było wypowiedziane.

Szli teraz dość szeroką ulicą, ale źle oświetloną. Po trotuarze snuły się jakieś niewyraźne postacie. W oddali majaczył olbrzymi budynek teatralny, tonący w jakiejś przecudnej, błękitnawej światłości.

— Zresztą, jak chcesz!

— Tak! tak! ja lubię tylko być u ciebie i z tobą.

Był rad temu, przycisnął jej rękę do piersi.

— I zostaniesz? co?

Szarpnęła się nagle.

— Znowu? — cisnęła gniewnie.

— Co?

— Zaczynasz... z tem: zostaniesz.

— I ty także zaczynasz.

Wyrwała mu rękę, on zacisnął swoje ręce w kieszeniach palta i przyśpieszył kroku.

— Więc nie zostaniesz? — rzucił przez zaciśnięte zęby.

— Nie.

— A ja ci mówię, że zostaniesz.

Nie odpowiadała nic, tylko przyspieszyła kroku.

— A ja ci mówię... — zaczął znowu.

— Idź do diabła.

I z tem puściła się, jak kula, uciekając, biegnąc pomiędzy przechodniami, objając się o ściany domów, wlokąc suknię, bo jedną ręką trzymała mufkę, a drugą przytrzymywała spadający kapelusz.

Ogarnął go wściekły gniew. Zaczął biedz za nią, nie zważając na nic. Migła mu w świetle latarni. Przechodnie zatrzymywali się, patrząc na tę biegnącą dziewczynę i ścigającego ją mężczyznę. Ten i ów śmiał się już wesoło.

— Jakiś warjat! — zauważył oparty o ścianę domu oberwaniec.

To go otrzeźwiło. Zobaczył się pośmiewiskiem gawiedzi. Zatrzymał się. Prawie równocześnie Frania zachwiała się i widocznie, poślizgnąwszy się, upadła. Chwilę wahał się, zanim podszedł, aby ją podnieść. Nie wiedział, jak go przyjmie. Wreszcie zbliżył się i podał jej rękę.

— Stłukłaś się?

— Nie.

Nadspodziewanie upadek ten wprowadził ją w dobry humor.

Śmiała się.

— Widziałeś? a tom się rozciągnęła!...

Lecz, gdy go wzięła znów pod rękę i, śmiejąc się, pociągnęła w stronę jego mieszkania, on miał tylko w głowie to jedno pytanie:

— Czy zostaniesz do rana?

Ale już pytać nie śmiał.

.

Bo rósł w nim strach przed kobietą.

Nazajutrz rano mroźno było i słoneczno. Wczesnym porankiem zimne, czyste światło darło się przez roletę do wnętrza pokoju. Frania czesała się przed lustrem, trzymając szpilki w zębach. Krajewski leżał odwrócony do ściany, wiedząc, że dziewczyna nie lubi, gdy patrzy, jak się czesze. Wieczorem mieli jeszcze burzliwą dyskusję na temat komiwojażera. Frania z całą zapalczywością twierdziła, że po ubraniu można rozpoznać „uczciwość“ człowieka.

— Taki, co ma duszę i honor, nie będzie się nosił, jak łątynda. Zawsze świeżo i wypucowany! — mówiła — o Tatuńciu... patrz, w gazecie jak to rysują. Jak tylko zbój, albo złodziej, to obdartus...

— Najwięksi szubrawcy są często bardzo pięknie ubrani.

— Phil może ta kiedy. Ale tak zawsze, to człowiek porządný porządnie się nosi.

— A ja, Poranku... wszak niewiele dbam o siebie, a przecież...

Roześmiała się bezmyślnie.

— To też Tatuńciu, jakeś do mnie pierwszy raz podszedł, tam w tramwaju, to...

Urwała.

— A przecież śmiałaś się do mnie.

— E, bo widzisz, ja, jakem się lepiej w ciebie wpatrzyła, to widziałam, że jesteś pan z panów.

I sentencjonalnie dodała:

— To zaraz można poznać..

Był to punkt, z którego zaczęło się znów to nieokreślone zdenerwowanie Krajewskiego, które ogarniało go, ile razy Frania potrafiła o jakąś wyczuwalną dla niego strunę swej tajemniczości. Skąd ta prosta dziewczyna mogła roz-

poznawać w mężczyznach rasę? Czy tylko wiedziona instynktem? Czy zewnętrżnością porównań? Jakie wiodły nią ścieżki?

— A później jakże się przekonałaś? — zapytał, siłąc się na uśmiech.

— O! żeś pan. Choć ta czasem się na mnie szarpiesz i to i owo, a przecież to nie po chamsku...

Zapadła w jakieś milczenie i dodała wreszcie niskim, jakby nie swoim głosem:

— Najgorsze to takie kołtuny...

Zamarł cały, zastygł na te słowa.

Bał się je podnieść, jak kłębek splecionych ze sobą zdrętwiałych żmij.

Wreszcie wyszeptał.

— Skąd wiesz?

W jednej chwili odcięła:

— Koleżanki mi mówiły.

Pozostało tak.

I nadeszło rano. Wcześniej wstała milcząca i cicha. Zdawało mu się, że z żalem jakimś powitała ten ranek

— Już jeden dzień przeszedł! — wyrzekła, wyciągając swe kształtne, trochę za silne ręce przed siebie sobie właściwym, ładnym gestem.

— Cieszysz się, czy żałujesz?...

— Och! Tatuńciu! żałuję... żałuję...

Pomyślał, że żałuje mijającej młodości.

— Nie smuć się. Ty jeszcze długo będziesz młoda.

Wbiła znów swój wzrok w szybę, poza którą iskrzyło się brylantami mrozu i dyszało zimowym rankiem budzące się do życia miasto.

— El ja na siebie i na swoją młodość gwizdzę, Tatuńciu! mnie czego innego żal.

Próbował ją przygarnąć.

— Czego? powiedz.

Lecz ona wysunęła mu się z rąk.

— El...

Znów go ogarnęło zdenerwowanie. Usiadł na posłaniu.

— Słuchaj! nie bądź taka skryta...

Nie odpowiedziała nic.

— Odpowiadaj zawsze, kiedy ciebie się pytam.

Milczenie.

— Możesz tego pożałować.

Odwróciła się nagle.

Była blada. Wargi jej drżały.

— Żebyś ty nie pożałował, Tatuńciu...

— Ja? czego?

— A no, żeś ciekawy.

Włożyła szybko żakiet, kapelusz. Porwała rękawiczki.

— Bądź zdrow.

— Kiedy cię zobaczę? Dziś?

— Pewnie.

— Pewnie, że pewnie! Pamiętaj. Żebyś się nie spóźniła. Pójdziemy gdzie.

Była już przy drzwiach. Zatrzymała się z ręką na klamce.

— Znowu?

— Cóż, nie ubawiłaś się?

Wzruszyła ramionami, i wyraz nieokreślonej ironji przemknął po jej twarzy.

— Och! Tatuńciu!... — rzuciła.

Szarpnęła drzwi i znikła.

.

Krajewski siedział długo na posłaniu, zapatrzony we drzwi.

Nigdy może nie zrobiła mu tak wrażenia Poranku, który zniknął nagle i pozostawił wszystko w cieniu.

Na komodzie dostrzegł jakiś mały, biały przedmiot. Było to pudełeczko cukierków, które dał jej w teatrze.

Nawet nie otworzyła go. Porzuciła owinięte bibulką i owiązane wstążeczką.

Było w tem coś okrutnego.

Coś, co może tylko zrobić kobieta.

Podniósł się ciężko i pudełeczko przez okno na ulicę, zasłaną śniegiem, wyrzucił.

— Niech się ktoś pocieszył! — pomyślał.

Nadjechał wóz i rozgniółł cukierki.

-- Tem lepiej..

.

To była niedziela.

Krajewski błędził po ulicy. Uciekł jednak prędko. Za brylantowo było, za jasno, kobiety miały miny gotowych do ofiar, znajomi Krajewskiego zdawali się chętni do rozmowy.

— Nie umiem z nią, nie umiem się obchodzić — myślał Krajewski, idąc pod domami — stanęliśmy oboje u tego kresu, gdzie już zaczynają się dobywać na wierzch nienawiści i, jak błyskawice, przedzierać brutalnie chmury. Trzeba zmienić taktykę, trzeba!..

Równocześnie myślał.

— Każę przyspieszyć krawcowi robotę zimowego palta. Rzeczywiście jestem trochę opuszczony.

Zdrowe zimno nie przenikało go. Niósł w sobie jakąś leniwą, smutną melancholję. Czuł, że mu życie rozpadać się zaczyna i rysować.

— Gdybym był takim Konitzem, może potrafiłbym sobie z nią poradzić. Ja pragnę traktować ją, jak wielką tajemnicę, a to może jest mała zagadka. Tylko, że ja tych zagadek rozwiązywać nie umiem. Miałem do czynienia z prostemi dziewczynami, o jakichś niezłożonych istotach. Tu... jest coś niby kobieta prymitywna, a przecież .. przecież...

I nagle zaświtało mu:

— Pójdę do Konitza.

Konitz mieszkał w hotelu drugorzędnym, ciekawym dla sławy gry w ruletę, jaką tu podobno nocami uprawiano. Gdzie, jak, kiedy, właściwie o tem chodziły tylko głuche wieści. Hotel ten posiadał kawiarnię, przez którą wchodziło się do wnętrza domu i niknęło w kurytarzach. Były tu także stajnie i ńwozownie, dające nocleg zaprzęgom i pojazdom wiejskich paniczów. Konitz lubił to dziwaczne schronisko, podejrzane i dyszące nocą. Mnóstwo portjer, firanek, kilimków przepełniało kurytarze, drapowało drzwi, tłumiło kroki i głosy. Wszystko to było brudne, tłuste i cuchnące, ale przy świetle robiło to pewien efekt.

— Jest to komfort! a ja to lubię! — mawiał Konitz, wydymając piersi.

Gdy Krajewski stanął u drzwi Konitza, z pod draperji pstrej i najeżonej frendzlami wywinęła się jakaś chuda, mizerna dziewczyna, odziana prawie ubogo. Naciągała męskie białe, zniszczone rękawiczki na drobne i chude ręce.

Była to obecna metresa Konitza. Staniczarka uzdolniona, biorąca dwanaście guldenów miesięcznie. Wionęło od niej nędzą i anemją.

Krajewski usunął się przed nią ruchem markiza.

— Całuję rączki! — mruknęła dziewczyna.

Krajewski, wszedłszy do numeru, zastał Konitza, jak naprawiał szpagatem lila jedwabne szelki. Miał na wąsach opaskę. Na rogu stołu, pomiędzy gazetami, wędła chryzantema. Okno, zasłonięte do połowy podartą, koronkową firanką, wychodziło na dziedziniec, skąd dochodziły krzyki furmanów i rżenie koni. Sąsiedztwo stajni, pomimo okien zamkniętych, przepełniało atmosferę pokoju właściwym ciężkim zapachem.

Konitz ucieszył się, zobaczywszy Krajewskiego.

— Witaj hospodyniel — wrzasnął. — Cóż cię przynosi.

Krajewski usiadł ciężko na kanapie, z której tu i owdzie sterczały sprężyny. Siedział długą chwilę w milczeniu.

Nie umiał zacząć rozmowy, on, tak łatwo rozmowny. Konitz patrzył na niego z pod oka, mordując swoją szelkę.

— Cóż się stało... ha? ręczę, że kobieta...

Krajewski podniósł głowę.

— A pan skąd wie?

Konitz aż się zachłysnął od śmiechu.

— Jaby nie wiedział. Masz pan minę, jak na ścięcie. Musiała panu dobrze dojeść. Kogóż pan masz u diabła? Nie możesz pan, tak jak ja, wziąć sobie coś lepszego?

— Właśnie, że to jest coś lepszego.

— El baj baju! Pan się nie znasz. Ja ręczę, że pana ktoś bierze na kawał, jakieś byle co. Opowiedz mi pan wszystko, a ja dam panu radę. Tylko się pan śpiesz, bo idę na dwunastówkę do katedry, obejrzyć... damy.

Z ironją niezrównaną wydał usta przy tych słowach, dając poznać, że wcale nie jest tych „dam” spragniony. Lecz szybko powrócił do Krajewskiego.

— No i co?... powiedz no pan, co to za ziółko?

— Szwaczka.

— Skąd?

— Z Ossolińskich.

— No... tam są trzy gniazda. Można wybierać. Jakie ma imię?

— Frania.

Konitz pomyślał.

— Nie wiem, nie znam...

Krajewski odetchnął. Lękał się poprostu, że ta poraka będzie poprzednim kochankiem Poranka.

— O.. pan jej znać nie możesz... — rzucił niedbale — to bardzo porządna dziewczyna,

Konitz uczył się dotknięty.

— Właśnie, gdyby była porządna, byłbym ją znał. Ale powiedz no pan coś o niej bliżej, może się dobadamy, co to za ptak.

Krajewski odczuł jakieś dziwnie zimno wzdłuż krzyża. Zdawało mu się, że odkrywa wieko trumny, w której spoczywa uśpiony Poranek. I nigdy nie wydała mu się tak miłą, serdeczną i kochania godną, jak w tej chwili.

— Nie, nie... — wyrzekł — Ja pójdę. Tak wstąpiłem pana odwiedzić.

Ale Konitz był bardzo łakomy na wszystko to, co się pewnej sfery kobiet dotyczyło. Kto wie, jakie tam plany zaczynały snuć się pod jego czaszką, a może czuł się urażony poprzednią uwagą Krajewskiego.

Przerzucił więc szelki przez ramię i posunął się za Krajewskim.

— Dawno pan się z nią zna?

— Od jesieni.

— I dojadła panu?

— Ach! nie.. przeciwnie.

— No to pan jej?

— Nie, nie. Nie o to chodzi.

— Więc?

— Zrozumieć jej nie mogę.

Krajewski powrócił na swoje dawne miejsce na sofie. Czuł, że musi mówić, że musi zrzucić z siebie ciężar, który go dławi. I mówił długą chwilę, badany dość dyskretnie przez Konitza, który wyjątkowo i instynktownie zachowywał się w tej sprawie z dość dużym taktem.

I, gdy tak Krajewski rozrzucał przed sobą całość tych miesięcy, przeżytych z Franią, zrozumiał nagle i odczuł, jak dziwnie poszarpało mu się jego życie. Przedstawiło mu się nagle, jak jakaś kupa gruzu, z której musiał [koniecznie uformować jakąś możliwą całość. I nie umiał, nie potrafił. Czuł, że mu coś, czy ktoś, ręce wiąże. Bezsilny prawie, roztaczał drobiazgi tego pożycia przed Konitzem i wstydził się za ten swój głos, który słyszał, i za te wyrazy, które nie on, zda mu się, wymawiał. Płynęły jakby

zdala, cisnęły się do niego i natrętnie tłoczyły mu się do mózgu od zewnątrz, przejmując go dreszczem i niepokojem.

Konitz przysiadł na poręczy fotela, podparł się ręką i słuchał nadzwyczaj uważnie. Gdy Krajewski umilkł wyczerpany i złożył się po swojemu w kącie sofy, Konitz wyrzucił triumfalnie głowę.

— A ja panu powiem, co to jest ta pana porządna dziewczyna. To jest zwykła sobie taka, co to ten...

Instynktem wyczuł, że Krajewskiemu Frania głębiej się zaryła w duszę i unikał drastycznych i brutalnych wyrażań.

— Jak? co?

— Niech pan tylko spokojnie się zastanowi. Ona pana okłamuje od pierwszej chwili. Kryje się, znika, ucieka, kłamie, nie chce nic powiedzieć o sobie. Przecież one najchętniej opowiadają swoją historję. To przecież musi się z urzędu wysłuchać za pierwszym posiedzeniem. A ona co? Pan sam mówi. Zatnie się i milczy... Paniel ostrożnie! Ten Poranek to numer!

I po chwili dodał:

— Jabym się takiej bał.

Krajewski milczał teraz. Nie oponował. Tak szybko Konitz wydobył to, co on faktycznie miał w głębi siebie.

— Jak się przekonać?— zapytał, gryząc nerwowo cygaro.

Konitz usiadł obok niego na sofie. Krajewski mimo-woli skurczył się jeszcze silniej. Doznawał dziwnego pociągu do tego człowieka, który zdawał się z zimną krwią i jakąś zaciekłością sięgać mu do głębi duszy. Ze swą kulturą, wiedzą, czystością rasy poddawał się niejako temu człowiekowi, i to z tem, co krył w sobie z jakimś wstydem i bólem, jak chorobę tajemną i szpetną, powstałą z porywów pełnych najpiękniejszych pragnień.

— Jabym szedł prosto i odrazu zagrał wielkie atu

— mówił tymczasem Konitz. — Taka dziewczyna, jak mi pan to wszystko opisuje, nie jest szwaczką, ale musi mieć inny sposób zarobku. Jest znana w niskich warstwach, ale nie tych zupełnie najniższych. Najlepiej zapytać... faktorów.

Krajewski aż skoczył.

— Co? jak? ale to niepodobne. Frania?

— Naturalnie. Przekona się pan. Jeżeli już nie jest wśród nich, to mają na nią oko. Pan przecież wiesz, jak ścigają każdą, co się pojawi, i że jej żyć nie dają. Już oni tam sobie z nią dadzą radę.

Krajewski porwał się, zaczął chodzić po pokoju. Tarł rękę. Na policzki wystąpiły mu duże plamy.

— Ja już tak jednemu poradziłem! — zaczął znów Konitz — posłuchał mnie, zawołał faktora..

— I?

— I nic się nie dowiedział, bo ta była naprawdę porządna dziewczyna.

— Ach!

— No... tak...

— A więc...

— Pan myśli, że pan się niczego nie dowie? Ha no... może... Choć, wie pan, ja mam taki węch, że taki panu coś ciekawego powiedzą...

Krajewski wziął za kapelusz.

— Dziękuję panu. Idę.

— Co? może się pan gniewa!

— Ja?

— Tak. Trochę. Ja to widzę. Ale mi pan podziękuje. Bo to ciekawe. Pan zaczyna się do tego czegoś przyzwyczajać.

— Ja?

— Pan. Dlatego też tem bardziej trzeba to odrazu przeciąć. *Un, deux...*

Krajewski podał mu rękę ze wstrętem. Gdyby mógł, byłby go ścisnął z całą wściekłością za jego wystającą grdykę, która mu wydostawała się dziwacznie z kołnierza. Zdawało mu się, że, unicestwiając Konitza, zniweczy także i ten ból i jakiś chorobliwy wstręt, który poczuł do tego, co go otaczało i co przed nim było.

— I cóż? zobaczy się pan z jakim faktorem? — zapytał Konitz.

— Niel — odparł twardo Krajewski i, szarpnąwszy drzwi, wyszedł z pokoju.

.
A przecież prosto na poszukiwanie tych faktorów poszedł.

XXIX.

I znów Krajewski znalazł się w dzielnicy, w której po raz ostatni był tego pamiętnego wieczoru, kiedy spotkał po raz pierwszy Franię.

Po dniu hotele i straszna ich tragiczna treść przybrała pozór prawie spokojnych, tylko nędznych przytułków trzeciorzędnych miejskich zajazdów. Okna były szczelnie zamknięte i milczące. Drzwi sieni przywarte. Na trotuarach od czasu do czasu przeszedł spokojnie jakiś świętujący. Tu i owdzie zaglądały do martwych sklepów służące i śpiesznie wychodziły, spoglądając uważnie na roziskrzone jasne niebo.

Krajewski zatrzymał się przed bramą jednego z hoteli. Na balkonie pierwszego piętra żółciło się jakieś enigmatyczne zwierzę z drapieżnie rozwartą paszczką.

Pod spodem napis:

Hotel pod złotą hieną.

Krajewski wsunął się do wnętrza. Natychmiast zjawił się przed nim siwy, stary człowiek, ubogo odziany. Nie mówił nic, tylko oczami pytał.

— Gdzie Kornblum? — zapytał Krajewski.

Stary zwrócił się do wnętrza oszklonej sionki. Ręką ukazał.

Krajewski skinął głową i, nie wyjmując rąk z kieszeni palta, nogą drzwi pechnął.

Na krzeselku koło stolika, na którym leżały jakieś sprószone książki i stare gazety, siedział Żyd o bardzo przyzwoitej powierzchowności. Odziany był w dostatnie nowe palto. Brodę miał podstrzyżoną i okulary na dziwnie zadartym nosie. Ten nos, w połączeniu ze świeżością cery i prawie możliwem spojrzeniem, nadawał Kornblumowi cechę, budzącą na pierwsze wejrzenie jakąś otuchę i zaufanie. Tylko ruchy rąk były szybkie i zdecydowane. Bezustannie przebierał palcami lewej ręki, jakby grał na niewidzianej harfie. I to, przy dłuższej z nim rozmowie, robiło wreszcie wrażenie, jakby on grał na nerwach mówiącego z nim człowieka. Ręka ta na odległość targała i hipnotyzowała. Zdawało się, iż od tych, wiecznie w ruchu będących palców idą jakieś promienie, budzą u ludzi uśpione ich i tajne żądze, a on, Kornblum, jest tym, do którego się te żądze zbiegną i skomleć będą i wyć o uspokojenie, łaszac się i prosząc. We wzroku jego nie było uniżoności. Przeciwnie, coś jakby pogarda, jakby ironia przyschła mu do wiecznie otwartych szeroko ust. Kąciki tych ust miał ściągnięte silnie ku uszom, tak że linia ust przybierała kształt pół-elipsy.

I to był główny, zasadniczy ton tego człowieka.

Ta rozwarta czeluść ust, jakby chłonna w siebie, co spotka do żeru podatne, wiecznie głodna, czyniła go podobnym w wyrazie i wrażeniu, jakim bił niejako (subtelniejszą i bardziej wydelikacowaną spostrzegawczość) do tej

złotej hieny z rozwartą paszczką, tam wysoko na szyl-
dzie hotelu.

Złotawo-rudy zarost lśnił się na jego twarzy, czaszkę okrywał kapelusz wiedeński. Nogi, w amerykańskich schodzonych butach, wyciągnął przed siebie i siedział tak pewny siebie, milezący, czując, że w siatkach jego zawsze szamotać się będzie zwierzyna i zawsze na tę zwierzynę znajdą się odbiorycy.

Paszczałka jego najprzód pochłonie świeże młode ciało, przeżuje, zetrze na proch, pomiesza ze śliną swej chciwości, a potem wypłuje na świat już przegniłego półtrupca...

I galwanizować zacznie ruchem swych rąk na odległość.

Przywabi kupca.

Sprzedą.

Otrzyma trochę pieniędzy za tę z paszczęki wypłutą zgniliznę...

Która przecież była świeżością i wdziękiem, która rozumiała barwę kwiatu i miała trochę nadziei, że nie tak prędko zgnilizną się stanie.

Lecz pochłonęła ją paszcza rozwarta i chciwością dysząca.

.....
Kornblum był handlarzem żywego towaru.

.....
— Pan potrzebuje dziewczynki? — zapytał Krajewskiego — patrząc na niego wprost i z jakąś przejrystą uczciwością.

— Tak!

— Ja mam teraz dobre okazje. Mam jedną guwer-
nantkę. Ona była u wdowca. On się ożenił. Pan. Ma
automobil. On jej dał parę stówek na odprawę. Ale
teraz ona tu mieszka. Może pan ją chce?

— Nie.

— No to może jaką mężatkę? albo co z Orfeum. Tam jest jedna gimnastyczka. Ona ciągle zajęta, ale ja ją panu przyprowadzę. Nie? To może jakie inne dziewczynkę? Ja mam teraz jedną, co ma piętnaście lat, ale że ona bardzo w sobie tęga, to się nikt nie boi, bo jakby co z policją, to można powiedzieć, że pan nie wiedział, że myślał, że jej na dwudziesty, ona jest bardzo śliczna i jeszcze głupia. Ją to mogę panu prawie darmo przyprowadzić. Tylko dla mnie komis. Co?

Krajewski niecierpliwie się zachnął.

— Nie chcę nic z okazji Kornbluma! Już ja cię znam, stary szachraju. Gadasz, że to Bóg wie co, a sprowadzisz co ostatniego.

— Wielmożny pan nie wie. Teraz wielka bieda, grosz rzadki, można z tego skorzystać i mieć takie okazje, że... no... Tylko niech pan powie, co pan chce...

Krajewski się chwileczkę zawahał. Patrzył na siedzącego wciąż przed nim Kornbluma, na jego migocące szybko palce. Ogarnęło go szalone uczucie rozpaczliwego żalu. Czuł, że musi wypowiedzieć, po co przyszedł.

I rzucił się jakby w błotną, mętną falę.

— Ja mam kogoś upatrzonego! — zaczął — kogoś... szwaczkę. Ale Kornblum jej pewno nie zna.

Kornblum uśmiechnął się z nieokreślonym cynizmem.

— Niech pan tylko powie, kto to, a ja panu powiem, czy ja ją nie znam.

— Ja nie wiem dobrze, kto ona... chciałbym koniecznie ją mieć, ona się boczy...

— Ile jej pan dawał?

To słowo szarpnęło Krajewskim.

— To nie jest taka za pieniądze.

Ale Żyd filozoficznie pokiwał głową.

— Co pan wiel

— Wiem. Nic nie bierze.

— Nu .. może. Jak ona mówi, że się nazywa?

— Frania.

Kornblum się zastanowił.

— I jak jeszcze...

Krajewski nagle się zaciął. Jakiś niepojęty upór go ogarnął.

— Nie wiem, jak dalej.

— Gdzie ona mieszka?

— Na Zamarstynowie.

Kornblum pomyślał chwilę, wreszcie odparł całkiem pewnym tonem.

— Na Zamarstynowie żadna Frania nie mieszka. Jedna z Koszem.

— To nie ta! — szybko przemówił Krajewski. — Inna, ja sam tam za nią chodziłem. Wiem nawet gdzie.

— Na Zamarstynowie żadna Frania nie mieszka, tylko ta jedna z Koszem, co się nazywa.

Krajewskiego ogarnęła jakaś radość.

— No... no... — roześmiał się — cóż? widzi Kornblum, że Kornblum jej nie zna.

Kornblum podniósł na niego swe pocziwe źrenice, podczas gdy paszcza jego roześmiała się chciwym, ohydny uśmiechem.

— Niech pan tak nie mówi, bo jeczce nigdy tak nie było, ażebym nie dostarczył jakiego zamówienia, jak dobry klient zażąda. Ja mam je wszystkie spisane. Tam jest kilka takich Franiów, albo takich, co one mówią, że są Franie. Ja panu i pańską Franię przyprowadzę. Gdzie ona szyje?

— Na ulicy Ossolińskich.

Znów Kornblum się zastanowił,

— Tam żadna Frania nie szyje.

— Jak Kornblum może tak mówić. Ja wiem napewno...

— Skąd?

— Ona mi to sama powiedziała.

Nie nie zdoła oddać tego uśmiechu, tego wyrazu twarzy, przechylenia głowy i całej postaci, z jaką Kornblum przyjął to klasyczne powiedzenie Krajewskiego.

— No... może!... — dorzucił.

I znów zdawał się myśleć bardzo uważnie.

— A jak ta pana Frania się ubiera?

Krajewski starał się zebrać myśli. Frania rzeczywiście zmieniała często swoje ubranie. Czasem wpadała do niego prawie wystrojona w jakieś bluzki, kupione widać gotowe, z koronkowymi gorsami, przez które przeświecało ciało, to znów w jakiś kostjum, prawie przyzwoicie uszyty, ozdobiony tylko świecącymi guzikami i galonem. Przeważnie jednak odziana była w jakieś zniszczone spódnice i matinki, na które zarzucała żakiety lub płaszcze. Były one różnej wartości, jedne modne i poprostu detonujące w całości toalety, inne stare, podniszczone, za ciasne. Krajewski dziwił się nawet mnogości tych okryć różnorodnych, ale Frania odparła mu ze śmiechem:

— To mojej przyjaciółki. Ona ma tyle okryć b i e d ó w. Ja sobie pożyczam.

— Któraż to?

— A no... Frania z Koszem.

— A... skądże ona?

— Umarła jej matka i siostra. To się po nich zostało.

Jedno z tych okryć utkwilo wszakże Krajewskiemu w pamięci. Frania chodziła w niem najczęściej wieczorami. Było koloru migdałowego, sukienne, dość długie i ubrane kołnierzem z białej gipiury, podbitej ciemno-brązową taftą. Frania nie umiała nosić tego eleganckiego płaszcza, ale widocznie lubiła go bardzo, bo ubierała się w niego dość często.

— Dostałam od naszej pani! — powiedziała raz, oglądając z lubością koronki.

— Od kogo?

— No... od pani... tej... w pracowni.

Krajewski ten płaszcz, jako charakterystyczną cechę, Kornblumowi rzucił, jak się rzuca psu jakąś część odzieży, należącej do tego, kogo mu się tropić każe.

— Ma płaszcz jasny z białą koronką...

Złota hjena otworzyła szeroko paszczękę.

— Nu... nu...

— Długi. Podszyty... podszyty... różowem...

— Ona ma teraz nowe lakierowane buciki — przerwał nagle Kornblum.

— Tak...

— I ona ma kapelusz z białym ptakiem, a na szyi szare zwierzę, co mu brakuje szczęki, bo zgubiła...

— Tak.

— I ona nosi halkę, czarne z białem w paski.

— Tak.

Głos Krajewskiego stawał się coraz cichszy.

Nastąpiła chwila milczenia.

W tej brudnej oszklonej przestrzeni zmagало się coś bardzo tragicznego, coś bardzo fatalnego i coś nieuniknionego.

Wreszcie Kornblum, rozwalając się na krześle, jeszcze bardziej triumfująco, skromnie wyrzucił:

— Ja ją panu przyprowadzę!

Krajewski się nad nim pochylił.

— Kornblum ją zna? — wybełkotał.

Lecz Żyd pozostał zagadkowy.

— Ja ją panu przyprowadzę! ;

.

Pot wystąpił na czoło Krajewskiego. Zimno mu było pod czaszką. Zdawało mu się nagle, że jest nędzny i mały, i głupi. Że nic nie wie, nic nie umie, a ten Żyd o twarzy

hjeny dominuje nad nim i stoi na jakiejś niedościgłej dla niego wyżynie. Było to uczucie, jakiego doznaje ktoś, widzący przed sobą pięść atlety, zamierzającą się ściśniętym kuliakiem tuż nad jego piersią.

— Gdzie pan każe ją przyprowadzić?

(Kornblum jest w swoim prawie. Idzie po wytyczonej ścieżce swego życia).

— Nie wiem... nie wiem...

— Może tu, do nas, do hotelu?

— Tak. Dobrze.

— Pan mi zostawi trzy dni... no... może dwa dni.

Krajewski powoli powraca do względnej równowagi.

— Kornblum będzie próbował.

Żyd się skrzywił ironicznie.

— No... tak. Ona ma swoje fantazje. Ja jej powiem, że to jeden bogaty obywatel ze wsi. One bardzo na to łakome, bo zaraz myślą, że ją taki obywatel weźmie na wieś i że ona się tam na mleku i na powietrzu trochę podreperuje. Chyba, że pan chce, żeby zaraz powiedzieć, że to pan i jak i co.

Krajewski aż się cisnął.

— Za nic. O to właśnie chodzi, ażeby nie wiedziała, że to ja.

Kornblum obrzucił go szybkim, jak błyskawica, wejściem. Instynktem zwęszył, że tu o coś głębszego chodzi, niż o zwyczajne dostarczenie towaru dla nabywcy.

Wstał powoli, splunął na dywanik, na którym błoto zatarało wszystkie barwy, obejrzał swoje lakierki i wyjął z kieszeni wykałaczkę do zębów.

— A ile ja za to dostanę? — zapytał, zabierając się do czyszczenia rysich pazurów wykałaczką.

— Proszę tylko to zrobić! — cisnął przez zęby Krajewski — a ja już nie będę się targował.

— Bo ja będę miał koszty, duże koszty — cedził

Kornblum — to trzeba i to i owo... wielmożny pan wie, teraz wszystko drogie. A za to ja już tak zrobię, żeby ona mało dostała. Wielmożny pan mnie na rękę wypłaci, a ja już jej...

— Dobrze! dobrze! dostaniecie oboje, i ona i Kornblum, tylko proszę się postarać.

Ten straszny targ o żywą istotę, o człowieka, nigdy nie uderzył go tak nędzą swoją. Bez woli, bez wiedzy tamtej istoty taksowano ją i obliczano zarobki i wydatki. Czynił to przecież dawniej jeszcze, gdy był bardzo młody, targował się tak po zaułkach z tragicznymi faktorami, owianemi grozą, lecz oni właśnie wydawali mu się raczej komiczni, a on sam podszyty lekkością rozbawionego młokosa.

Teraz coś go przeszywało aż ze wstydu. Gnębił go i smagał ten szept, to plugastwo, w którym stał i które się na niego waliło.

— No to... dziś niedziela — liczy Kornblum — jutro pojutrze, no to we wtorek o dziewiątej wieczór. Chce tak wielmożny pan?

— Dobrze.

— I pieniądze mnie na rękę?

— Dobrze.

Krajewski odchodzi. Kornblum rzuca za nim arogancko:

— Całuję rączki.

Targ skończony, przybity.

XXX.

Błękitne oczy Frani, jej rozsloneczniona twarz, jej wdziek młodego zwierzęcia, jej krzatanie się zagospodarowanej kobietki, jej padanie na piersi, jak motyl o rękach-

skrzydłach różowych, przeświecających młodziuchną pulsującą krwią, ona cała triumfująca potęgą niezwalczoną swej płci zwycięskiej, ona cała sprzedana, jak niewolnica, w ci-chym półszepcie plugawego targu.

— Skusi ją .. — myśli Krajewski — skusi ją przeklęty. Choć może się nie da. Choć może się oprze.

Przez cały dzień następny podwaja swą dobroć i delikatność względem Frani. Otacza ją drobnymi dowodami pamięci, mówi do niej słodko, stara się niczem nie urazić i nie rozżalić na siebie. Przychodzi mu to tem łatwiej, że Frania jest bardzo jakaś zmieniona, cicha, milcząca, i także nadzwyczaj dla niego serdeczna. Serdeczność ta przechodzi w jakiś smutek, w jakąś melancholijną zadumę, z którą Frania najwidoczniej walczyć usiłuje.

W poniedziałek wieczorem przychodzi w czystej świeżuchnej matince blado-różowej, o barwie tak delikatnej, jak barwa jej piersi.

— I zostanę dziś, Tatuńciu! — mówi ze słodkim, dobrym uśmiechem.

Krajewski tuli ją w objęcia, a przecież wołałby, ażeby sobie odeszła, bo chwilami czuje, że ciężko mu kryć się tak ze swemi uczuciami, że porwie ją za ramiona i zapyta, czy zna Kornbluma, czy faktor rozmawiał z nią dziś i czy wygnała go precz od siebie.

Frانيا patrzy na niego długo i smutno.

— Dlaczego tak na mnie patrzysz? — pyta ją Krajewski.

— Chcę się napatrzeć na ciebie, Tatuńciu.

— Cóż to? wybierasz się do Ameryki?

— E! nie. Choć tam podobno dobrze kobiecie, jak się umie obrócić. Ale tak, Tatuńciu .. przecie ludzie nie są do siebie przyszyci. Ty do mnie, ja do ciebie... Możemy się rozlecieć.

— Al..

— No tak. Człowiek na to stworzony, żeby się ciągle witał i żegnał. Może, Tatuńciu, na nas tak przyszło, że będziemy się żegnać...

— Porankul...

— Nie nazywaj mnie tak, Tatuńciu, bo mnie aż w gardle dusi.

— Dlaczego? lubiłaś, prosiłaś o to...

— Tak. Ale dziś nie, nie.

Po raz pierwszy namiętnie, z jakimś pożądaniem tuliła się do niego. Lecz to było nieszczerze czegoś, mimo że wszelkie wysiłki czyniła, aby temu uniesieniu nadać cechę szczerości. Złączyli się jakoś rozpacznie i pozostali potem długo w milczeniu zupełnem, jakby tym dreszczem wyczerpali ze siebie całą siłę, całą treść, mogącą się jeszcze uzewnętrznić, odnośnie do ich wzajemnego względem siebie nastroju.

Wreszcie Krajewski pierwszy przerwał milczenie.

— Dlaczego mówisz, Poranku, że się będziemy żegnać. Ja cię od siebie nie puszcę.

Westchnęła ciężko.

— Trzeba będzie, Tatuńciu.

— Zostaniesz ze mną zawsze, zawsze. Wezmę większe mieszkanie, będziesz się zajmować mojem gospodarstwem, i tak już będzie do śmierci.

Rzucił te słowa prawie niebacznie, jak najwyższą stawkę, która miała dowieść Frani, że istotnie przywiązał się do niej.

Czekał wybuchu radości z jej strony.

Ale ona milczała.

Leżała obok niego z twarzą okrytą rozrzuconą falą włosów. Była bezwładna, zdana na łaskę losu, żadna.

— Co? Poranku?...

Wyciągnął rękę. Przez gąszcz włosów szukał jej

twarzy. Chciał ją przycisnąć do serca, aby czuć ją blisko zupełnie siebie. Nagle uczuł gorąco łez.

Frania cicho płakała.

Podniósł się na łokciu i odrzucił jej włosy z twarzy.

— Franieczko! dziecinko!... co ci jest? czego płaczesz?

— Tatuńciu!

— Nie chcesz zostać ze mną do śmierci?

— Tatuńciu!

— Będę dla ciebie bardzo, bardzo dobry. Nie będziesz więcej chodzić do szycia. Ja będę ci na wszystko dawał. Będziesz, jak moja żona.

Krzyknęła nagle boleśnie. Zakryła twarz.

— Franeczko!..

— Nic, nic.

Nagle przesunęła mu się po głowie dziwna myśl.

— Franiul może ty nie jesteś wolna? może ty masz męża?

Przez łzy parsknęła śmiechem.

— Także coś!..

Lecz znów łzy zaczęły jej płynąć po twarzy.

— Czasem jest coś raz gorsza niewola, niż wszystkie śluby. Czasem tak człowieka spęta, że ani w prawo, ani w lewo. Chyba z okna skoczyć, albo jak sobie śmierć zrobić.

Starał się zajrzeć jej prosto w oczy.

— Masz kochanka dawnego, który się ciebie czepia? powiedz! ja jakoś znajdę na to radę.

— Nie! nie! To jest, Tatuńciu, daleko mocniejsze, niż wszystkie mężowie i batiary. To jest, Tatuńciu, takie silne, co może być najsilniejsze. Już na to niema rady! Jak porwie w kleszcze, to, choć głową o kamienie do krwi tłuc, kłać do białego dnia, a już nie puści i tak musi być już, jak jest, na zawszel...

I porwała się, usiadła na pościeli, ponura i groźna.

— A niechby poprzepadali! niechby skonać nie mogli... niechby patrzali, jak ich dzieci własną śmiercią nie giną, niech im co rok trumnę z domu wynoszą!...

Straszna była, pobladła, oczy jej pociemniały, szczękę miała wysuniętą naprzód.

Szarpała włosy, bieliznę, zdawało się, że się udusi namiętym szalem nienawiści do jakichś przez nią samych znanych wrogów, w których mocy żyła.

Krajewski patrzył na nią z trwogą.

Nie poznawał jej. Ani jej rysów, ani jej twarzy, ani jej głosu...

— Franiul...

Upadła na poduszki.

— Powiedz mi, proszę cię...

— Nie, Tatuńciu, nie. Ty się dowiesz. Ale nie dziś, nie zaraz.

Leżała tak długą chwilę, jęcząc cicho, wreszcie, znudzona, wyczerpana, umilkła.

Cisza była zupełna.

Przyćmiona lampa zatoczyła bladawe koło w kącie pokoju. Straszny, bezdenne smutek zwinął skrzydła i opętał całe wnętrze.

Krajewski uczył zamęt w głowie. Nie rozbierał już ostatnich słów Frani. Widział tylko jej tragicznie wyciągnięte ręce i potem opadające z wolna na pościel.

I z tem wrażeniem tych bezsilnych rąk kobiecych, które nie miały innej broni, jak wołanie w pustkę, a potem przekleństwo jałowe i bezpożyteczne, zasnął.

.

Na drugi dzień Frania sama powiedziała, gotując się do odejścia:

— Przyjdę dziś wieczorem, Tatuńciu.

Zadrżał cały radośnie. Jeżeli chce sama przyjść wieczorem, to znaczy, że nie przyjęła oferty Kornbluma, bo

wszakże schadzka z Krajewskim miała się odbyć właśnie o dziewiątej wieczór.

— O której przyjdiesz, Poranku?

— O... piątej.

— Tak wcześnie?

— Tak, Tatuńciu. Chcę się z tobą nacieszyć.

Całowała jego oczy i ręce. Zrobiła mu śniadanie i podała je klęcząco, jak oryginalna niewolnica. Nigdy nie była tak miła i tak kobieca, jak właśnie tego ranka.

— Nikt cię tak nie upieścił — powiedziała nagle ze smutkiem.

— Ja też nikogo nie chcę prócz ciebie, Poranku. Ty mi wystarczasz. I wiesz... pójdę dziś jeszcze szukać mieszkania. Skoro coś znajdę odpowiedniego, dam zadatek.

Powracał do swego. Chciał ją tem ostatecznie spętać, przykuć.

Lecz ona potrząsnęła głową.

— Nie śpiesz się, Tatuńciu.

— Dlaczego? Chciałbym jak najprędzej...

— Najgorzej coś sobie układać. Ta ty nie wiesz, że zawsze djabeł wtedy w poprzek się kładzie.

— Ech! człowiek czasem silniejszy od diabła.

— Nie, Tatuńciu. Nieszczęście zawsze mocniejsze od człowieka. Niczem takiej psiarskiej cholery nie zniszczysz. Jak się zawieźmie, to nijak uciec. Wszędzie dogna.

— Ja nieszczęścia przed nami nie widzę.

— Bo my mamy, Tatuńciu, głupie ślepie. My nie widzimy, co najważniejsze. Pies śmierć przeczuje i nieszczęście. Pies więcej widzi, niż ja, niż ty... Choć ja jestem trochę jak pies. Wyczuję to, co się po kątach czai!

— Boś jeszcze człowiek prymitywny.

— Jaki?

— Prymitywny.

— Nie wiem, co to.

— Nie wiedz, tylko taką zostań, jak jesteś.

Roześmiała się jakoś smutno.

— A no... muszę. Taże ja nie gad, żeby skórę zrzucać.

Gdy wyszła, Krajewski się uczuł jakiś weselszy i pełen nadziei. Złe przeczucia opuściły go. Zapragnął jednak mieć teraz Franię ciągle ze sobą, bo uczuł, że rozwija się w nim namiętna jakaś podejrzliwość, która mu życie psuje.

Wstąpił do kilku mieszkań, ale żadne nie było takie, jakiego pragnął. Chciał mieć dwa wejścia, aby zachować jeszcze jakieś pozory. Małe mieszkanka jednak miały przeważnie jeden wchód.

— Znajdę jutro... — pomyślał.

Nagle targnęła nim myśl wieczoru. Doznał nerwowego bólu w całych piersiach.

— Byle to minęło. Zresztą ona przyjdzie.

Nie mógł się oprzeć jednak jakiemuś niewyraźnemu przeczuciu, które wzrastało razem z zapadającym zmrokiem.

— Czyżbym i ja zaczynał więcej widzieć, niż to, co do tej chwili widziałem? Nie, to niemożliwe. Mam już za dużo raffinady. Ta stępiła we mnie zmysł przewidywania. To tylko rozigranie wyobraźni. Zresztą, ona przyjdzie.

Rzeczywiście przyszła punktualnie o piętej.

Była ubrana dość starannie, ale nie nadzwyczajnie. Włosy tylko miała lekko zakarbowane i uczesane z pewną kokieterją.

Zwrócił na to uwagę.

— Chciałam, Tatuńciu, żebyśmy gdzie poszli. Ale ząb mnie na drodze rozboleł i wolę posiedzieć u ciebie.

— Boli cię?

— Tak. Ale nie zważaj na to. Tak ćmi... szelma. Ale to na powietrzu. W pokoju lepiej.

Wydała mu się zgorączkowana, nienaturalna. Mówiła dużo i z wielkiem ożywieniem. Nie tuliła się jednak do

niego i nie wpatrywała się w jego twarz. Oczy jej błyszczały, na policzki wystąpiły rumieńce. Chciał, ażeby zajęła się kolacją, ale ona odmówiła.

— Boli mnie ząb, jak się ruszam, gorzej. Posiedzę spokojnie.

Usiadł przy niej i oparł głowę na jej kolanach. Ona oparła się o ścianę, przymknęła oczy, łokcie przycisnęła do ciała i przybrała bezwiednie pozę.

— Dobrze u ciebie, Tatuńciu! — wyszeptała wreszcie.

— Dobrze mi z tobą, Poranku! — oddał jej, starając się zapaść w łagodne odrętwienie.

Pocieszał się bowiem i uspokajał. Oto chwila próby nadeszła, a jego dziewczyna jest z nim, u niego, w ciszy ścian jego domu.

I ogarnęła go wściekłość przeciw Konitzowi, przeciw Kornblumowi, przeciw samemu sobie. Bo wydali mu się wszyscy i on z nimi, jak jakaś sfera rozżartych psów, tropiących spłoszoną, zléknioną, uciekającą zwierzynę.

Zaczął całować jej kolana, kajać się przed nią, zdjęty wielką skruchą.

— Ty moja sarenko biedna! — mówił rozrzewniony.

Postanowił jej nie mówić nigdy o swoich konszachtach z Kornblumem i o próbie, na jaką chciał ją narazić.

— Będzie to dla niej obelgą straszną. Gotowa mi nie przebaczyć. Takie ucziwe dziewczęta z ludu są bardzo wrażliwe na punkcie swego honoru. Nie chcę, aby miała do mnie żal. Nie chcę.

I nagle wykwitło w jego umyśle postanowienie:

— Ożenię się z nią!

Usiadł, odsunął się i patrzył na Franię w milczeniu. Ona również milczała nagle wyczerpana i zapatrzona w światło lampy.

Wydała mu się inną kobietą i zdawało mu się, że widzi ją po raz pierwszy. Miała jakąś w sobie łagodną

dostojność i powagę. Odziana ciemno, obcisłe, z białym kołnierzykiem, spiętym ciemną krawatką, zdawała się smuklejszą, młodszą, bardziej subtelną i dziewczęcą.

— Czem się różni od tych, z którymi według świata mógłbym się żenić bez skandalu? Czem? kośćmi trochę grubsze, skórą może mniej wydelikowaną. Poza tem, poza tą powierzchowną różnicą, czyż nie jest równie delikatną w swych pojęciach i wyobrażeniach? Od mej woli będzie zależało nadać tym pojęciom kształt odpowiedni. I będę miał to szczęście żyć z kobietą, której odczucie naprzykład uczciwości zatrzyma się na tej linii, na jakiej zatrzymuje się moje. Z tego punktu wyjdzie całe nasze porozumienie życiowe.

Ożenię się z nią!

Chciał jej to powiedzieć zaraz, niezwłocznie. Wiedział, że będzie oponować. Powie mi: „świat“, a ja jej odpowiem: „pluj na świat“. Jestem sam i chcę zostać sam. Bo, będąc z tobą, będę sam z moim cieniem, z częścią mnie. Urobię sobie z ciebie kochankę i towarzysza, i będziesz mieć tylko moje wierzenia i zachwyty, moje oczy i moje sumienie. Tak jej powiem. Nie zrozumie teraz, ale posłyszysz dźwięki. Zapamięta. A gdy ją urobię, zrozumie, co do niej w tej chwili mówiłem...

Wyciągnął ku niej rękę.

— Franiu... zaczął.

Ona jakby ocknęła się.

— Która godzina? — spytała.

— Nie wiem... ósma.

— A!...

— Słuchaj, coś ci powiem.

— Nie, nie, Tatuńciu!

Zeskoczyła z sofy.

— J a m u s z ę i ś ć.

To padło straszne, jak grom, jak uderzenie piorunu. Krajewski pobladł, przeszył go śmiertelny dreszcz.

— Dokąd? dlaczego?

— Ząb mnie bardzo boli. Jedna panna w pracowni chora, ja muszę ją zastąpić... Pilna robota... ta to przecie sezon...

Zbierała się gorączkowo, szukała rękawiczek.

On stał, oparty o ścianę. Nie miał słów. Zdawało mu się, że wszystko się wali dokoła niego.

— Zostań, Poranku! — wybełkotał wreszcie.

— Nie mogę, Tatuńciu. Pani by się gniewała... Pozwoliła mi dziś przyjść wcześniej, ażebym na dziewiątą była...

— Na dziewiątą? teraz po ósmej. Masz czas.

— Nie, nie. Muszę iść do domu, przebrać się.

— Po co?

— No... bo... Bo w staniku niewygodnie szyć, włożyć bluzkę.

— To niewarto... zostań! Odwiozę cię...

Nie odpowiedziała nic, ale ubierała się dalej pośpiesznie.

— Słuchaj.. — rzucił jej przez zaciśnięte zęby — słuchaj zostań.. bo... mogę pomyśleć co złego.

— To mi już wszystko jedno... — wyszeptała, szukając dokoła mufki.

— Ale mnie nie wszystko jedno. Mogę pomyśleć, że śpieszysz się do kogo.. że kto na ciebie czeka.

Pośpiesznie cofnęła się ku drzwiom.

— Bądź zdrow, Tatuńciu!... ja jutro, jak zawsze, przyjdę!

— Wróć się.

Chciał skoczyć za nią, porwać ją za szyję, cisnąć o ziemię, zdeptać nogami to białe, miłe ciało, tarzać w prochu, jak łachman wstrętny, i krzyczeć, że wie, wie wszystko, całą tajemnicę.

Ona już otworzyła drzwi i znikła w głębi sieni. Ślicznym, pełnym melancholji gestem rzuciła mu pocałunek.

— Bądź zdrow, Tatuściu!

Powstrzymał się całą siłą woli. Zresztą odniósł tylko to wrażenie, że ona odchodzi, że znika.

— Jutro? co?

— Jutro!...

Gdy wyszła, stał chwilę, pragnąc dojść do ładu z natłokiem szalejących w nim wrażeń.

— Kto wie... może ona nie kłamie. Może idzie naprawdę do pracowni, może i to moje podejrzenie upadnie.

Jak tonący, uczepił się tej myśli.

— Tak! tak... jutro znów przyjdzie, wszystko będzie po dawnemu. Biedna jest. Musi dbać o miejsce, musi... musi.

Spojrzał na zegarek.

— Pół do dziewiątej... Pójdę, pójdę przekonać się, że jestem szalony, że czynię jej krzywdę... że...

Obejrzał się dokoła.

— Lampę tylko przyćmię, bo za godzinę wrócę. Ach! jak się uspokoję... jak ja się uspokoję...

Ubrał się gorączkowo. Ręce mu drżały.

— Romantyk ze mnie. Wszystko u mnie nabiera rozmiarów katastrofy, a to nic.. nic.

Gdy już zamykał drzwi wejściowe, wchodził ze sobą w pewien kompromis.

— Właściwie nie powinienem iść, ale idę właśnie dlatego, żeby się przekonać raz na zawsze...

A gdy szedł ulicą, zagryzł usta do krwi i szarpał brodę tak silnie, że aż wyrwał włosy.

Lecz bólu nie czuł.

Bo ból, jaki miał w głębi duszy, był silniejszy nad wszystkie bóle ciała.

Pokój wąski, długi, szkaradny.

W pokoju woń straszna, zabójcza. Cuchną cygara podle, niedopałki papierosów, źle wymyte naczynia, mydło, mięta, cuchnący odór przygodnie oczyszczanych ciał, jakiś tłuszcz zwierzęcy, pot — słowem, wszystko, co może złożyć się na trujące wyziewy trzeciorzędnych miastowych zajazdów.

W murach to tkwi, w tych obiciach ciemnych, szarych, wiszących łańchmanami od sufitu. Pająki za niemi czyhają nieruchome, wyprądlszy z swej piersi mordownię i śmierć. Z firanek zieje, z tych firanek, o klasycznym kolorze zakrzepłej krwi, po których brudne barwy żółte i czarne się znaczą krzywizną linji. Z mebli smrodliwych zgniłem sianem, z tego łóżka ohydneho, wciśniętego w kąt, czyhającego i uległego, jak zwierz wytresowany w nędzy i pod batem plugawego dozorca.

Na stole świeca cienka, ledwo tlejąca. Płomień jej tańczy leciutko i wydobywa od czasu do czasu tajemniczą plamę zwierciadła, wiszącego nad kanapą i pokrytego jakby szarą, nieprzenikliwą mgłą.

Nic nie zdoła jednak oddać tego czegoś nieuchwytnego, czego ten pokój, ten „numer“ hotelu pod Złotą Hieną jest pełen.

Wynajmowany na godziny, na wieczory, na noc, jest schroniskiem całej galopady istot, kradnących z życia rozpustnie i złodziejsko to, co było dumą i pięknem istnienia. Cudowną tajemnicę rozrodczą i żywotnością dyszącą przywłóczono tu ukradkiem i czyniono z niej ohydę sprzedajną i podłą. Z chwilą zamknięcia tych drzwi, w których jakieś brudne ręce poprzewierały otwory, mogące przynieść widok podniecający, rozpoczynała się fatalna tragikomedja, wśród której zwierzęcość i chciwość walczyły ze sobą o lep-

sze. Gdy się zastanowi, że te chwile często dają kierunek reszcie życiowego układu, że jest to jakby podkład, na którym buduje się gmach wzajemnego oceniania kobiet i mężczyzn, że tam, w tych strasznych norach, tworzy się pojęcie o żywej wartości wzajemnego stosunku płci, jakiś lęk ogarnia. Te szczelnie szpilkami od kapeluszy pospi-nane firanki, przez które wązki pasek światła przedostaje się z gwałtem na przestrzeń uliczną, zapadają, jak całun pogrzebny, na uczciwość i ukochanie życia, które każdy choćby najnędzniejszy i najbardziej rozuzdany komiwojażer, każda najbardziej rozpuszczona dziewczka ze sobą na świat przynosi.

I jest to wielki grób, wielka przepaść bez wyjścia, w której popelniają się gwałty i zbrodnie. Niema trupów, w zwykłym tego słowa znaczeniu, lecz są trupy dusz ludzkich, które zgalwanizowane wywłóczą się na dalsze życie, beczelnem zadowoleniem pokrywając rany, których już nic zagoić nie zdoła. I stąd, jak ze źródeł przeklętych i nieczystych, rozplywa się najstraszniejsza tragiczność, jadem trupim i niezwalczonym rozkładająca ciała i umysły ludzkie.

Cichy wieczór zimowy. Cisza na ulicy, zasłanej śniegiem. Gdzieś w oddali zabrzączą sanki, prześlą i znikną. Z okien hotelu ścielą się ukośne jasne smugi. W bramie znikają szybko ludzkie postacie. Czasem stary, ciężko stąpający człowiek idzie naprzód, a za nim szybko biegnie drobna, dziecięca prawie postać. Bez wahania wpada w czelusć bramy, zna drogę. Zna cenę, za którą swą młodość sprzedać będzie zmuszona. Dziś, wczoraj wymknęła się szczęśliwie rękom policji.

Jeżeli jednak jest już zarejestrowana, otaksowana, upoważniona do szerzenia moralnej zarazy (chodź bowiem tylko o zarazę fizyczną), idzie spokojnie z podniesionem czołem. Spełnia swą misję destrukcyjną z całym przeświadczeniem, że jest w zupełnym względem społeczeństwa porządku. Opatentowano ją, usankcjonowano.

I idzie w świat fatalna i straszna. Idzie do nor cuchnących, szargając łachman królewski swego ciała za cenę nędznej strawy i lichej odzieży. Profanację miłosnego cudu spełnia, licząc zysk, i oto gotowa błotna deprawacja, którą przepaja się istota jej przygodnego współtowarzysza.

Patent na bezszkodliwość wydało jej. Państwo, na bezszkodliwość ciała.

Kto wydał jej patent na bezszkodliwość dusz, które katorgą piekielną wleczone na uwięzi i w zniweczeniu wszelkiej szlachetnej cząstki w chwili złączenia, nad grobem swym, owinąwszy się w archanielskie żałobne skrzydła, rozpacznie łkają?

.
Krajewski chodzi po pokoju, chodzi ciągle zdenerwowany, wybladły, paląc bezustannie papierosa za papierosem. Na dole, w bramie spotkał się z Kornblumem.

— I cóż?

— Przyjdzie.

— Przyjdzie?

— No, tak. Niech pan idzie tylko pod numer, ja ją przyprowadzę.

Krajewski pobladł, jak ściana.

— Kornblum z nią mówił? Widział ją?

— No, tak.

— Gdzie?

— To już moja rzecz.

— I zgodziła się?

— Tak. Tylko to będzie kosztować. Wielmożny pan obiecał, że mnie na rękę da pieniądze.

— Dobrze.

— Ja nie biorę zadatków. Ja nie jestem, jak te inne faktory, co nie wierzą, nabiorą pieniędzy, a potem oszukują i co innego dadzą, nie to, co się żąda. Ja jestem uczciwy...

— Dobrze, dobrze. Niech tylko Kornblum idzie po nią.

Krajewski wpadł do zostawionego dla niego numeru. I teraz od pół godziny chodzi po tym pokoju, trawiąc się własnym bólem i straszną niepewnością. Cały zamienił się w słuch. Od czasu do czasu przewlecze się ktoś po korytarzu. Raz zaszemrały spódnice. Krajewski cofnął się pod ścianę. Lecz szmer ustał. Jakaś kobieta przeszła dalej.

I Krajewski rozpoczął swoją wędrówkę, starając się tym ruchem przytłumić bolesne ściskanie nerwowe, jakiego doświadczał.

Gdzież się podziała teraz jego kultura! jego filozofja, jego z takim trudem osiągnięty spokój życiowy! Zdawało mu się, że jest już tym, który cierpieć przez małości życiowe nie umie i nie może. Nie starał się nawet przypomnieć sobie maksymy, która nim kierowała do tej chwili, że cierpienia nasze istnieją tylko w głębi nas samych, a nie nałatują na nas z zewnątrz. Nie miał siły tej hydrze, która mu się rozsiadała w głębi serca, nakazać przylegnąć cicho i szlachetnie.

Szalał i szaleństwu swemu nadawał dobrowolnie coraz więcej bolesne formy.

Minęło trzy kwadranse — i nikt się nie zjawiał. Krajewski jednak podniecał się coraz bardziej.

Nigdy może plugawość tego otoczenia nie wystąpiła przed nim z taką jaskrawością. Przechodząc, splunął na łóżko, zasłane napozór czystą bielizną, i kopnął je ze wzgardą. Dławił się poprostu tą brutalną nędzą moralną, jaką zionęły wszystkie kąty tego schroniska występku.

— Ona... tu... ona... — powtarzał, jak szalony.

Lecz, gdy ujrzał na zegarku, że jest już trzy kwadranse na dziewiątą, ogarnęła go jakaś nadzieja. Może nie przyjdzie. Może Żyd skłamał i zakłada teraz na nią wszelkimi siłami sieci, w które nie uda mu się jej złowić.

Kto wie! kto wie!

Nagle zaszumiało na kurytarzu. Kilka osób szło śpiesznie w kierunku jego numeru. Całą siłą woli zapragnął, aby minęły drzwi i poszły dalej. Ile miał siły nerwowej, wyteżył w nakazie przesłanym, przez zaporę drzwi tej fatalności, która do niego biegła. Nigdy już potem nie zapomniał tej minuty natężenia, przez jaką przeszedł.

Lecz do drzwi zastukano pewnie i śmiało.

Nie było możności pomylić się.

Krajewski zgasił szybko świecę i cofnął się ku ścianie. Blask czerwony padał z pieca przez rozżarzone drzwiczki.

— Proszę! — wyrzekł zdławionym głosem.

Drzwi otworzyły się szybko i do pokoju wpadła jakaś dziewczyna. Twarzy jej widać nie było, tylko dół sukni od kolan oświeślały krwawe blaski, padające z pieca. Lecz Krajewski po sposobie, w jaki wtargnęła do pokoju i wbiła swe nogi, obute w lakierowane buciki, w podłogę, odrazu poznał, że to nie jego Frania.

Porwał z kieszeni pudełko zapalek i zaświecił jedną dziewczynie prawie w samą twarz.

To nie była Frania. Jakaś twarz nalana, pełna, o rybich oczach, podkreślonych silnie czarnymi linjami. To uderzyło go w pierwszej linji.

— Kto to? czego? — zapytał gwałtownie.

Przez otwarte drzwi wsunął się do połowy Kornblum.

— To jest panna Stefcia...

— Czego tu?

— Może wielmożnemu panu się spodoba.

— Nie chcę. Gdzie tamta?

Dziewczyna zachichotała trywialnie.

— Pan niegrzeczny dla dam — wysepleniła, zakrywając usta mufką.

— Ale tu jest i panna Frania, proszę...

Żyd otworzył drzwi szeroko na korytarz i do numeru weszła druga dziewczyna.

Weszła wolno, łagodnie i stanęła w cieniu.

Krajewski drżąc zapalił znów zapalnik i podniósł rękę w górę, aby oświetlić dziewczynę.

Oczy Frani i jego spotkały się.

Była to piorunująca chwila poznania.

Frانيا schwyciła się za gardło, jakby jej nagle tchu zabrakło. On rzucił się ku niej.

— To ty? to ty? — powtarzał, a zęby mu dzwoniły, jak w febrze.

Frانيا wyrwała mu się i wypadła z numeru.

— Puść mnie!... puść mnie!...

Wybiegła na ganek, okalający ciemny i smrodliwy dziedziniec. Pędziła wprost przed siebie, uderzyła się o zlew, wystający cuchnącym żłobem tam, gdzie się ganek kończył. Krajewski biegł za nią. W śmiertelnej trwodze uczepiła się zlewu obu rękami.

Dopadł ją. Uczuła jego gorący dyszący oddech. Nie widziała twarzy w ciemności, nie chciała nawet jej widzieć.

Powtarzała wciąż machinalnie:

— Puść mnie!...

On szarpnął nią tak silnie, że puściła zgrab zlewu, i miał ją teraz, przypartą do ściany, zupełnie bezbronną, twarzą w twarz ku niemu zwróconą.

— To ty? ty... chodzisz z Kornblumem?

Milczała.

Potrząsnął nią z całej siły. Głowa jej uderzyła o ścianę. Jęknęła. Nie oprzytomniło go to. Mężczyzna, zraniony w swem prawie własności, szalał.

— Dlaczego to robisz? dlaczego?

— Ja napisała...

— Coś napisała?

— List. Ja ci wszystko napisałam. Całą prawdę.

— Milcz! nie łżyj! ty ciągle łżesz!

— Żebym tak skoła w tej chwili, żeby mi tak oczy wypłyęły, żebym tak jutra..

— Milcz! takie, jak ty, im więcej się klną, tem gorzej łżą.

— Ja ci się do wszystkiego przyznała w liście, przeczytasz, dostaniesz.

Kornblum zajrzał na ganek.

— Wielmożny pan się zaziębi. I co z panną Stefcią?... Czy ona ma pójść? Jej trzeba coś dać...

Krajewski porwał Franię za rękę.

— Chodź do numeru.

Powlókl ją. Kornblum wszedł za nimi. Umalowana Stefcia stała wciąż na środku pokoju, ironicznie uśmiechnięta. Świece paliły się w lichtarzach. Widocznie Kornblum je zapalił. Gdy Krajewski wprowadził bladą, jak trup, Franię, panna Stefcia odezwała się słodko i kwaśno:

— Cóż to, Ireno? masz jakieś znajomości?

Krajewski obejrzał się. Sądził, że jeszcze jedna dziewczyna, jakaś Irena, weszła tu podczas jego nieobecności. Lecz obok Stefci stała tylko Frania, która w odpowiedzi na interpelację przyjaciółki ramionami nieznacznie wzruszyła.

Krajewski zmarszczył brwi.

— Precz stąd! — krzyknął do Stefci — czego tu?

Dziewka cofnęła się, szeleszcząc jedwabną halką.

— Bardzo proszę... co za grubian.

— Precz, bo wyrzucę.

— Idę! idę!... a to dopirol..

Wydeła usta i już, otworzywszy drzwi, rzuciła:

— Panie Kornblum, pan mówił, że pan nas prowadzi do jakiegoś obywatela, a ta to całkiem gemajny baciara...

Trzasnęła drzwiami i wyszła.

Pozostawszy sam na sam z Franią, bo i Kornbluma wygnał, sypiąc nań przekleństwa, Krajewski zamknął drzwi na klucz. Nie wiedział, co czynić. Był jak błędny. Cała jego kultura, całe trenowanie się w kierunku szlachetnego stawiania czoła przeciwnom losu, wzięła w łeb w jednej chwili.

W tym smrodliwym numerze zamknięty z kobietą, która ujawniła mu się nagle, jako szczyt obłudy, kłamstwa i upadku, drażniony zapachem silnych jakichś podłych perfum, któremi suknie Frani skropione były, doznawał błysków w oczach, to znów, nie widział nikogo i nic z tego, co go otaczało. Przeszła tak długa chwila. Chodził po pokoju wielkimi krokami, podczas gdy Frania wyczerpana stała ciągle niedaleko drzwi. Wreszcie szum jedwabiu zbudził go. Frania osunęła się na krzesło i pozostała tak z rękami opadającymi bezsilnie wzdłuż ciała.

— Dlaczego ona cię nazywa Ireną? — zapytał, stając przed nią i wbijając swój wzrok w jej słodką, strwożoną twarzyczkę.

— Bo ja się także tak nazywam — odparła cichutko.

— Irena? dlaczego?

— Ta bo to ładniej. Frania to ordynarnie. Inne też się przezywają.

— Jakie, inne?

— No... moje przyjaciółki.

— Te ze szwalni?

Umilkła na chwilę, poczem odezwała się silniejszym głosem, jakby zbierając całą odwagę.

— Ja wcale nie chodzę do szwalni, Tatuńciu.

— Nie? a co robisz?

Milczała.

— Co robisz?

Był przy niej, zmieniony, z ópadłą w dół szczęką.
Wstała i cofnęła się ku ścianie.

— Co ja mogę robić?...

— To ty jesteś ordynarna taka z ulicy?

Milczała.

— Dlaczego kłamałaś? dlaczego powiedziałaś, że jesteś uczciwa dziewczyna, że żyjesz z tego, co zarobisz u krawcowej, że...

— Ja byłam taka, Tatuńciu.

— Dlaczego teraz nie jesteś?

Gestem, pełnym tragicznej rozpacz, zaznaczała całą bezsilność wobec potęgi faktów, pietrzących się dokoła niej.

— Dlaczego? czy słyszysz? odpowiedź!...

— Tak wszyscy za mną gnali, jak te psy za zwierzem... to i...

Nie dokończyła i znów uparcie powtórzyła:

— Ja ci to napisałam, Tatuńciu!

Cisnął się bezprzytomnie.

Zakazuję ci nazywać mnie tak.

— Dobrze, Tatuńciu!

Uległość jej, rezygnacja podniecała go coraz więcej.

— A czemu łgałaś?

— Bo powiedziałeś, że plujesz na takie, co się źle prowadzą. A ja się do ciebie przywiązałam, Tatuńciu, i chciałam, żebyś mnie, jak najdłużej chował i żebym mogła do ciebie przychodzić.

Złożyła ręce.

— Ja tak przez to kochanie, jakie miałam dla ciebie, Tatuńciu!...

— Milcz!... nie mów o kochaniu, kiedy mogłaś równocześnie z innymi. I z kim? gdzie?...

— Tażę, Tatuńciu, właśnie. Żebym miała drugiego kochanka, jak ty, jaką stałą znajomość, to byłoby podle, ale że ja tylko tak...

Patrzył na nią i zapadał poprostu w ciemnię. Czuł, że w tej chwili ona go nie rozumie, że ona ma w sobie tę linię postępowania, właściwą jej podobnym, które tylko odróżniają zdradę w formie zakochania się.

— Ty... bydlę! — wyrzucił przez zaciśnięte zęby.

To ją nagle zważyło z nóg, jak policzek.

— Ot nie!... — krzyknęła — nie! ja nie jestem bydlę, bo ja to z serca zrobiłam i z serca kłamalam. Co ja miałam do ciebie? co? Widać, żem cię kochała, kiedy tak na darmo czas z tobą traciłam. To najlepszy dowód. A ty tego nie chcesz zrozumieć. Ty mnie od bydlęcia wy-
myślasz? Co? A kto większy bydlę, czy ja, co dla kawałka chleba się męczę, czy wy, co byście mi zemrzeć z głodu dali, jakbym tak ot... dla miłosierdzia tylko was o grajcar poprosiła?...

Policzki jej płonęły. Oczy świeciły się, jak węgle.

— Puść mnie... — krzyknęła, szarpiąc drzwi — ja se pójdeł ja bez ciebie po nocy, po wichrze latałam, jak warjotka, i tu, i tam, przebierała się, nieraz setny pot ze mnie już szedł, jakem się musiała przed tobą wyłgać i od ciebie wyrwać. A ty się jeszcze ciskasz.

— Dlaczego, poznawszy się ze mną, nie rzuciłaś tego? co?

— A ty myślisz, że to tak łatwo? że to można? Ta ja jestem prywatyzująca teraz, to mam wszędzie co płacić i długów się mnie naczepiało tak, że ze mnie duszę prują. A wszystkim się opłacać trzeba.

— Komu?...

— Im!..., psiakrwiom! I każdemu, co się do takiej zbliży. Mało się ta twoja Romanowa odemnie nabrała.

— Romanowa? to ona wie?

— A jakże. Jej Mańka to moja znajoma. My nieraz w Colosseum i w Orfeum razem były, to ona mnie raz w sieni spotkała i wszystko matce powiedziała. A ja, że

się bałam, że ty się dowiesz, to ja jej w gębę pchałam, co mogłam, żeby tylko była cicho.

Krajewskiemu przypomniał się ironiczny grzbiet Romanowej, trzęsący się od śmiechu w dorożce, gdy wiozła wino i herbatę dla „Poranka“.

Ogarnął go wstyd i wstręt.

— Ach!... jaka podłość! .. — wyszeptał.

Rzucił na nią wzrok, nienawiści pełen. Ale był to tylko wzrok, zewnętrzna oznaka, nic więcej.

Ona była, jakby ją nagle coś podcinało do buntu i zuchwalstwa.

— Podłość! — krzyknęła — kto podły ja? bez co? bez moją ofiarę i szczere serce? Inne dziewczęta sobie takiej fatygi nie zadają i nie ich to nie obchodzi, czy ich kochanek lubi, czy nie lubi, jak się jest taką z ulicy. Ale ja przez to, że Tatuńcio był dla mnie słodki i dobry, to mi go żal było i w kawałki byłabym się dała pokrajać, żeby go nie martwić... A ty mnie jeszcze wyzywasz. Jak tak, to ja se idę...

— A idź! idź!

— Pójdę, stracę się...

— Idź!

Mówił to, lecz w rękę ścisnął klucz ode drzwi, który wyjął po uprzednim zamknięciu.

Ona znów zaczęła klamką szarpać.

— Puść mnie stąd!

— Aha! chcesz iść znów się łotrować. Pilno ci...

— Puść mnie...

Przyskoczył do niej, porwał ją wpół, chciał ode drzwi oderwać.

— Pójdziesz, jak ja zechcę.

Ale ona nagle zawiła strasznym, charakterystycznym płaczem.

.

Och! jak się często taki głos słyszy. Taki bezłzawy, gdzieś z trzewiów wyrrywający się głos. Po nocy ciemnej, tylko punktami żółtymi latarni znaczonej, po błocie, po oślizgłych flizach szamocze się kobieta, jak wilczyca w dybach, które krwią jej na śniegu ociekają. Wyje do gwiazd, do przestworza, wyje o pomoc. Nie tylko w tej chwili. Bo zwykle ta chwila jest jakimś marnym momentem jej życia. Lecz głos takiej prostytutki, szamoczącej się czy z władzą, czy z siłą jaką równie brutalną, w tym charakterystycznym krzyku ma w sobie skargę milionowego legjonu, całych wieków, całej nędzy potwornej ciał, na żer i łup piętnowanych.

Wyje bezsilnie. Wrzaskiem swym wstrząsa i przeraża. A czasem... śmiesz.

Zwłaszcza gdy padnie na klęczki i tak kolanami po bruku jest do więzienia wleczone. Albo na inspekcję.

Bo wszystko musi być w porządku.

Inaczej, cóżby się stało z ładem społecznym?

.
Gdy Franja zawyla tak u drzwi, Krajewski odskoczył na chwilę, zmieszany i niepewny. Jeśli się łudził do tej chwili, że upadek jej był chwilowy, że to był dopiero „początek”, ten głos, przeszywający go, jak cienki stalowy drut, wybił go z błędu. Tak krzyczą tylko już profesjonalne prostytutki. One tylko potrafią, one tylko nie lękają się rozwrzeszczyć tak tragicznie i strasznie.

Proszęco złożył ręce.

— Mileż! mileż!...

— Oddaj mi klucz!...

— Gdzie chcesz iść!...

— To moja rzecz. Ta co ci o to chodzi. Pójdę i śmierć sobie zrobię.

Spojrzał na nią uważnie. Była prawdziwie tragiczna. Włosy jej spadły na ramiona. Twarzyczka jej nosiła piętno

prawdziwej rozpacz. Cudowne jej błękitne oczy były zalane łzami. I zbudziła się w nim litość, czy jakieś inne uczucie. Co, sam nie wiedział. Określićby nie mógł. Ale wyciągnął rękę.

— No... dosyć! dosyć! — wyrzekł zmienionym głosem — chodź tu... napij się wody!

Patrzyła na niego nieufnie.

Nalał jej szklankę wody i podał. Wypiła. Zęby jej szczękały o szkło. Odsunęła się od drzwi. Zatoczyła się, jak pijana. Widać było, iż była wyczerpana do dna. Podtrzymał ją. Padła mu na ręce, jak łachman, jak coś bardzo nieszczęśliwego i bezbronnego.

— Tautńciu! — wyłkała cicho.

— Ochl ty!... ty!... — odpowiedział jej szeptem.

Nie przygarnął jej jednak do piersi. Nie mógł, zdawało mu się, że w tym pokoju nie powinien z nią zostać ani minuty.

— Popraw włosy! — powiedział do niej — i chodź.

Spojrzała na niego lękliwie.

— Gdzie mnie chcesz zaprowadzić, Tatuńciu.

— Chodź! pójdziemy do siebie.

— Do... nas?

— Tak! prędej. Chodź!

Drżąc, ogarnęła się. On nie patrzył na nią. Czuł, iż popełnia w tej chwili czyn szalony, lecz nie miał siły, aby go nie spełnić.

Wyszli za chwilę oboje na miasto.

Kornblum miał na tyle taktu, że się nie pokazał wcale, a należność za pokój uiszczona była według zwyczaju z góry.

I poszli w tę noc przykrą i mroźną jedno obok drugiego. On trzymał ją silnie za rękę i prowadził, chwilami tylko wpijając swe paznokcie kureczowo w jej dłoń.

Lecz ona, choć ból był to prawdziwy, nie jęknęła, ani nie starała się uwolnić nawet swej ręki.

I tak szli we dwoje...

XXXIII.

Przywlekli się do domu.

Późno już było. Brania była zamknięta.

Na dzwonek, odziana chustką, bosa, sina z zimna, jak mara, otworzyła im się Romanowa.

Oslaniając ręką ogarek świecy, spojrzała badawczo na zapuchłą od płaczu twarz Frani i na zmienione rysy Krajewskiego. Ten wzrok stróżki uchwycił. Przeszło mu błyskawicą przez myśl, jak bardzo naigrawać się z niego musi.

Pchnął prawie Franię przed siebie.

— Idź prędzej!

Lecz Frania zwróciła się do Romanowej.

— Gdzie macie list, co wam kazałam oddać panu dziś wieczorem?

— Położyłam na stole, w pokoju — odparła stróżka. Krajewski szarpnął gwałtownie Franię.

— Chodź stąd... co to za rozmowy.

— Ja tylko o list...

Weszli. Za nimi zamkły się drzwi. Gdy zapalił lampę, dwa różne wrażenia odbiły się na ich twarzach. Krajewski widocznie cierpiał, wprowadzając tu tę zbrudzoną i zwalaną dziewczynę. Frania zaś doznawała radosnego uczucia, jakby odzyskała coś, co uważała za stracone.

— Zdejm kapelusz! — rzucił jej ostro Krajewski.

Posłusznie zdjęła kapelusz i palto. Dopiero teraz Krajewski dostrzegł, jak była strojną i elegancką po swo-

jemu. Miała różową bluzkę z koronkowym karczkiem, przez który przeświecało jej delikatne ciało. Wysoki kołnierz, naszywany mozolnie złotem, opinał szyję i podkreślał delikatną linię jej podbródka. Granatowa, dość dobrze skrojona spódnica przylegała do bioder. Frania była w gorszej, ściśnięta w pasie złotą szeroką taśmą z dużą świecą klamrą. Włosy uczesane modnie, sfalowane, pospinała grzebyczkami. Cały ten strój niezwykle, breloki, dzwoniące u zegarka, świecidła klamry, lakier pantofelków i mimo zimna delikatny ażur czarnych jedwabnych pończoch, cała ta elegancja, skropiona obficie jakąś nieokreśloną perfumą o ostrym drażniącym zapachu, robiła z niej typ przeciętnej dziewczyny ulicznej, będącej „pod bronią”. Szelest umyślnie wybranej chrzęszczącej tafty, ocierającej się o jedwabną podszewkę sukni, dopełniał wrażenia.

Krajewski usiadł ciężko na sofie i patrzył na nią ze smutkiem niewymownym. Była inną, była różną zupełnie. Oczy miała podczernione, brwi przyciemnione, co jej nadawało pozór lalki. Atmosfera wyuzdania i nocnych kawiarni otaczała ją. Była więc jedną z tych, które on tak gardził, jak czemś wysoce nieczystym i zarazę w sobie noszącym.

— Chciałem się z nią żenić — myślał — chciałem się z nią ożenić.

Pod lampą na stole leżał list, w różowej brzydkiej kopercie. Dużem pismem widniało nazwisko Krajewskiego.

Nieśmiało Frania ujęła ten list i podała go kochankowi.

— Proszę przeczytać...

— Co to?

— To mój list.

— Jaki?

— Ja mówiłam. Do wszystkiego ci się tam, Tatuńciu, przyznaję. Jak na spowiedzi.

Odepchnął jej rękę.

— Nie chcę. Będiesz znów łgać. Nie wierzę ci...
Niespodziewanie upadła mu do nóg.

— Czytaj, Tatuńciul... jak na spowiedzi!...

Otworzyła kopertę, wyjęła list i położyła mu na kolanach. Był pisany znów innem pismem, niż poprzednie.

— Nie ty pisałaś!

Milczała.

— Nie próbuj kłamać! Każdy list pisze kto inny.
Pewnie twoi kochankowie. Co?

— Niel niel to moje koleżanki. Ten pisała Frania z Koszem, tamte to inne dziewczęta. Ale nigdy żaden facet. Jak Boga pragnę przy skonaniu, jak...

— Cicho. Milcz!...

Chciał pytać, ale tyle pytań tłoczyło mu się do mózgu.

— Może twoja siostra ci te listy pisała.

— Która...?

— No, ta z Lyczakowa.

— Ja nie mam żadnej siostry.

— Jaktol ta, co się źle prowadzi. Ta... Irena...

Uśmiechnęła się nagle.

— To ja jestem Irena.

— To ty? ty mieszkasz tam? a Zamarstynów? a Pry-sadna?...

Lecz ona złożyła ręce jak do modlitwy.

— Czytaj Tatuńciul

Mimowoli czytać zaczęła.

„Mój święty ukohany i jedyny Tatonciol Ja pisze do ciebie, Tatoncio i bardzo się martwie i bardzo płacze, aż mi z tego płakania cały świat zasłoniło i chciałabym nie-żyć i zniknąć ze ziemi i bydź het podziemią a w grobie bo tam nie byłabym nieszczęśliwa i niezrobiłabym ci, Tatonciu, krzywdy za twoi dobry serce i słowa i miłości nasze i ko-chanie. Tak Tatonciu najdroższy i najcódniejszy, przebacz i niewinni mnie ba ja jusz tak od dziecka skazana na to

żeby ci zmartwieni dodać kiedym ci w tramwaju drogę zaszła i pokochała — bo będziesz Tatońcio na mnie bardzo kłął jak się dowiesz że ja nie nie Frania tylko ale ja mam jeszcze inny imiona a od roku to ja się nazywam Irena i tak mnie znajom znajomi i cały świat. A ja jestem krzczoną na Franię ale tak musiałam się przezywać, ale ja chciałam żeby ty Tatońcio, mnie kochał jak Franię a nie inną Irenę albo inną. Bo ja nie uczciwa dziewczyna. Oj nie mój Tatonceiu złoty! ja już dawno z nędzy i głupoty uczciwość swoją zatraciłam i pszes to już ja nieraz oczy wypłakałam i duszę inną dostałam a serce to mi jak kamień w piersiach nie co. Ja Tatuńcio złoty prosta taka co niewarta ciebie i ja ci sie przyznaje że to tak że ja niepowinna do ciebie chodzić, bo ja mogę a muszę innym facetom kłamać, a przed tobą to aż mnie coś drze jak ja teraz kłami. S początku tak nie było ale teraz taki jest bo my się coras wiecei kochali i to już tak być nie mogto żeby ty wiezył wie mnie, jak w co pocziwego a to nie warto. Pluń ty w moją stronę, Tatońcio. Ja nie mieszkam na Zamarstynowie u Prysadny. To moja praczka, ona szelma, złodziejka na dziewczęta i bilizne, ja ci niemogła zaraz powiedzieć, że ja mam dwa pokoi i kuchnie, i wszystko na Lyczakowi to byłbyś mi nie dał wrócić a ty mi się od pirszego dnia bardzo spodobał bo ty Tatońcio mówił mnie jakby ja była co warta i taki był dla mnio dobry, że jak kiedys moja bidna matka co umarła to tak do mnie dobrzy mówiła. To mnie było wstyd przyznać się do wszystkiego i tak się potym ślimaczyło a ja ciągle myślała że jeszcze trochu i jeszcze trochu — bo si bałam zostać tera sama jakem ci poznała. Ale Tatońciu ja już niemogę i ja niemogę i ja niemogę. Jak ja mósiałam ot ciebie iść tam gdzie mnie obstalowali to ja strach głową o mór biła, a na kolaci to wszyscy sie śmiali i bawili a ja nie to się mnie pytali czy mi kto umarł a ja mó-

wiła umarł, umarł bo to ja umarłam i ty i nasze kochanie, a oni wino lali, a ja tobie myślała i tak było zawsze bo ja ci kochałam, Tatuńciu mój brylantowy i dobry i święty i anielski, a ja si do ciebie modliła jak ja si modliła dawno jak była malutka do świętych co ja jusz o nich dawno zapomniała bo takie jak ja to nie powinny o takich rzeczach myśleć i tysz o kochaniu jak nasze — bo to nie dla nas i my jak psy już nicniewarte i tak musimy szczenząc a nawet na cmentarz nie wpószczą. Ta poco si modlić i koehać — ta można sobi co złego zrobić z takich myśli co najdą do głowy i ja, Tatońcio jusz tak zgnije, bo ty nie wiesz wszystkiego i ty nie wiesz to ja ci do nówek opadam i całuje cię po nóżkach i proszę, kochaj swoje Franie co ją nigdy nie zobaczysz, a ona będzie pod twoimi oknami chodzić ale ucieknie a kwiatki to chowaj i te masyzynie co się zapala wyrzucić bo się kiedyś het sparzysz, Tatońcio kochany słodki códowny Franiowy i wspominać Franie i nie mów Poranku inszy dziewczynie i niech cię nie nazywa Tatońciem bo to Franiowy Tatońcio i ona go całui i przepasza i bardzo płacze i płacze i strach serce boli.

Twoja tatuńciowa do
śmierci samy do tromny do
skonania jak pies
Frانيا Irena Wętopek.

.
Przeczytał ten list i padł mu na duszę kamieniem.
Jakiś wstyd, jakiś żal, jakiś ból go przejął na wskroś.
Bo to był krzyk takiego serca, które się zdawało szczerem
złotem i zarazem bagnem.
Ale to był krzyk s e r c a.

.
Spojrzał na leżącą mu u nóg kobietę.
Jak kupa łachmanów, bezwolna, ciśnięta na łaskę losu

Widział tylko jej płuca, obciążnięte jedwabiem delikatnej barwy i resztę ciała w jakimś epileptycznym skurczu, oczekującej na bat niewolnicy. Głowa jej skulona, zakryta rękami, wciskała się w ramiona. Nie nie zdoła oddać wyrazu zdania się na „to, co ma się dziać“, jak ten układ tragiczny ciała, który mówił więcej, niż krzyk i płacz.

— Tatuńciu!... — coś jęczało cichuteńko przy ziemi. Wypełzał ten jęk i przy rękach mu skołał.

— Tatuńciu!...

Przemknęło mu przez myśl.

— Nie wiedziała. Ciemna... bez czucia. Kto jej powiedział, że to hańba? kto?... Rozporządziła się swoją własnością, boć ta nędzarka chyba ten łachman ciała miała, jako swoją niezaprzeczoną własność. Dziś ja napadam na nią dziko... ja... Jakiem prawem? czego. Sama mówi — nędza, głupota. Dwa najcięższe czynniki wzięły ją w kleszcze... Przypuśćmy, jeść miała, dach. Ale młodość jej była głodna, młodość nędzarki, która nie skosztowała jeszcze niczego, a widzi koło siebie wszystko... Jakie mam prawo? Gdzie byłem wówczas ja, gdy ona walczyła? Bo musiała walczyć, kiedy teraz tak rozpacznie mi płacze u nóg...

Jakby czytała w jego myślach.

— Tatuńciu, ja wtedy nie wiedziała, a potem..

— Cicho! cicho!

Zanim się ku niej schyli, chciałby zostać sam ze sobą, obliczyć się, jakie ma dla niej uczucie. Czy wstręt, jak do zwykłej ulicznicy, chorobliwy, graniczący u niego z maniactwem, czy jeszcze coś tli, coś rozpacznie wstawia się, analizuje, przebija, tłumaczy...

Nie wie, zrozumieć nie może. Coś nim szarpie, porzywa. Wyobraża sobie, że ją wypędza, że zostaje bez niej sam w tym pokoju. Nieznośny ból ściska mu piersi. Ta prosta, ordynarna dziewczyna jest już pół nim, i bez ro-

zerwania swej istoty na części nie potrafi odpędzić jej od siebie. A więc, nie pozostaje mu nic innego, jak przeciąć to wszystko jakimś szaleństwem, z któregoby nie było wyjścia.

Tak. Jenó nie dozwolić się opamiętać zmysłom. Dać się im rozszaleć do zapamiętania. Zgnieść to, co serce mogłoby wnieść buntowniczego przeciw temu połączeniu się ze spodłłą i skalaną.

Głosem ciała zabić głos duszy! Upoić się tak, aby paść później bezprzytomnym i pustym zupełnie, bez śladu siły i oporu.

Pochylił się nad Franią i żarłocznie, brutalnie porwał ją za ramiona. Przypadł do niej na ziemi i odwrócił ją ku sobie. Przerażona, z oczyma szeroko rozwartemi, w gąszczu rozburzonych włosów, patrzyła na niego bez słowa. Czuła, że jest w nim taka potęga rozpacz, iż staje się aż groźną. Palce jego drżące zaczęły szarpać na niej cienką tkaninę jej bluzki.

— Cicho! cicho! — rzucał tylko z poza wysuniętej starczo szczęki — cicho!... cicho!...

Zamknęła oczy i poddała się tej katordze z wyrazem bezmiernego smutku na twarzy.

XXXIV.

Pozostała się u niego, bo więcej nie puścił jej od siebie. Kupił jej do zmiany parę koszul, pończoch i pantofle. Błagała go o troszkę pudru.

— Nie potrzebaj — rzucił jej gwałtownie — nikomu się tu nie będziesz podobać prócz mnie...

— Ale ja przyzwyczajona.

— Ja cię odzwyczaję.

Zasunęła się w kąt i zaczęła cicho płakać. Wogóle

płakała teraz prawie bezustannie. Z początku było to wszystko dla niej nowością, ta straszna jakaś niehumanitarna zazdrość, która ją otoczyła. Żyjąc pomiędzy mężczyznami, którzy z całą obojętnością ustępowali ją sobie wzajemnie, pojąć nie mogła w pierwszej chwili postępowania Krajewskiego. Mogło mu być przykro, gdy się dowiedział, tak, ale skoro ją zostawił i to jeszcze tak, na ciągle ze sobą, to już powinienby nie męczyć się i nie wydziwiał nad nią, jak „kat nad dobrą duszą“.

Tymczasem on, po zatonięciu w szale zmysłowym, mimo wszystko dręczył się, i były chwile, w których obecność dziewczyny przejmowała go wstrętem. Mimo to, gdyby mu kto kazał otworzyć drzwi i dozwolić jej uciec, byłby pognął za nią, chwycił za włosy i przywłókł do swego mieszkania.

Nie pojmował, nie rozumiał siebie. Kiedyś, dawniej kochał jakąś pannę białą i wiotką. Prędko płocha i pusta, rozpoczęła romansik z kim innym. Był młodszy, więc pędu życiowego w nim była moc nieprzebrana, a przecież... to, co czuł wtedy, w porównaniu z obecną chwilą, było niczem, dziecinnadą.

— Zadrośny byłem o teraźniejszość, a tu o przyszłość... o wszystko... — myślał — może dlatego.

I ogarniał go straszny wstyd, że on jest zazdrośny o taką przeszłość. W chaosie jakichś istot ohydnych, cynicznych, rozuzdanych błąkał się myślą wśród nocy bezsennych. Często chciał zbudzić Fanię, śpiącą ciężko w masie swych rozrzuconych dokoła włosów i kazać jej opowiadać.

— Może się uspokoję...

Ale i jej się wstydził i nie chciał słyszeć tego bagażu słów, które mogły spłynąć na niego w ciszy nocnej. Tak, jeszcze nie wie, a gdy powie, już będzie miał na czem oprzeć swoją myśl, swój szal.

Przypomniał mu się Jan z powieści Safo Daudeta. I on tak szalał z zazdrości. Lecz to było co innego. On szalał z tego powodu, że Safo była zanadto kochana. Ależ Frania nie była kochana, Frania stanowiła tylko przedmiot najniższej rozpusty i przygodnemu stadu służyła za rodzaj przejściowej ulgi. Kto wie nawet, czy, gdyby Krajewski wynalazł pomiędzy tą kohortą jakiegoś człowieka, któryby ją kochał, czy to nie byłoby dla niego pewną radością i łaską losu. Godna miłości, jakiegokolwiek, ale miłości, wydawałaby mu się mniej brudną i mniej znikczemniałą.

Kto wie... może tam w tym życiu dziewczyny upadłej był jakiś „kochanek“. Musiał być przecież... Zapragnął o tem wiedzieć.

— Słuchaj — zapytał ją raz wczesnym rankiem—słuchaj, powiedz mi, kto był ten pierwszy...

Popatrzyła na niego, jakby przerażona.

— Tatuńcio!...

Silił się na łagodność.

— Powiedz mi. Jc ci nie zrobię żadnej wymówki, bo przecież ja cię wtedy nie znałem. Tylko tak. Dasz mi dowód, że mnie kochasz. Powiedz mi całą prawdę. No... Poranku!

Przygarnął ją.

— Kto cię namówił? tu w mieście? Byłaś bardzo głodna może... z biedy... tak się nawinał...

— Ni...

— Nie? no, to go kochałaś. Jaki ładny, młody chłopak. Może wojskowy... bo mundur to was ciągnie...

Uśmiechał się, głaskał ją po głowie.

— I on Poranek kochał?

Wzruszyła ramionami.

— O nie, Tatuńcio, to nie. Ja była wtedy całkiem mała. Mnie dziesięć lat było.

— Co?...

Wypuścił ją z ramion.

— A tak, Tatuńciu!...

— Któż to? kto?...

Wyobraźnia podsuwała mu straszne obrazy satyrów. Frania w jednej chwili wyrosła na męczennicę.

— Kto to?

— Ta, Tatuńciu, ta to pastuchy.

Zamilkł i odsunął ją od siebie. Nie umiał znaleźć słowa. Zdawało mu się, że ogarnęły go dokoła jakieś karle potwory.

Ona tymczasem mówiła:

— Ta jakże, Tatuńciu. Do szkoły nie chodziłam, bo ani się w co odziać, a potem trzeba było macochy słuchać, iść paść. Ta jaka tam nad takimi dziećmi opieka, co? Ot, łotrują się po rowach od małego... Kto ta na to u nas patrzy...

Gdy mówiła, znów w nim tajało. Widział to dziecko drobne, małe, bose, ciśnięte cały dzień samopas wśród chłopaków, bez żadnej ochrony, żadnej moralnej podstawy, prócz wyklepanego pacierza, z którego nic nie rozumiało. Taka koedukacja bez rozgraniczającego dozoru musiała doprowadzić do zbudzenia się płci i głosu jej przepotężnego, na wzór otaczającej te dzieci dokoła natury. Wszystko parło je ku sobie. Ciekawość, instynkt, przykład, brak elementarnych wiadomości o szkodzie, jaką siłom swym wyrządzają. Żaden hamulec, a wszystko dzikie i pierwotne, rozuzdane i pędzące ku sobie z żywiołową mocą.

— Ta to nie moja wina, Tatuńciu! — tłumaczyła się Frania.

— Nie. To nie twoja wina, Poranku! — odpowiada jej prawie łagodnie.

I ona przytula się do niego szczęśliwa, że raz choć uniewinnił ją z tego, co popełniła.

Cały dzień przeszedł im względnie dobrze. Krajewski, wychodząc do biura, był bardzo niespokojny, czy Frania nie wychodzi z domu. A więc, jakkolwiek ze wstrętem, wszedł w konszachty z Romanową. Za pewną cenę ustawił ją jakby strażnikiem Poranka. Gdy wracał z biura, zastał zwykle pokój nadzwyczaj czysto i ładnie uprzątnięty przez Franię, wszystko poustawiane, okurzone, naprawione, na miejscu. Frania jednak smutna i najczęściej z oczyma czerwonymi leżała na sofie, jakby ogarnięta melancholią. Czasami udawała, że coś czyta, ale on wiedział już dobrze, że ani czytać, ani pisać nie umie. Nie chciał jej jednak dawać do poznania, bo szanował w niej ambicję w tym kierunku. Nawet odczuwał wtedy pewien smutek i współczucie, patrząc na tę analfabetkę, wstydzącą się swej ciemnoty. Postarał się jej o książkę z obrazkami i dał jej, jak się daje więźniowi lub dziecku. Sądził, że go o coś zapyta, odnośnego do ilustracji, że się czemś zainteresuje, lecz ona przerzucała kartki bezmyślnie, a na jednej z nich zatrzymywała się, czyniąc jakąś bezwstydną uwagę. Ponieważ to było prześliczne stare wydanie *Gulliver'a* z ilustracjami *Guillaume'a*, dotknęło go to więcej, niż przypuszczał. Wyrwał jej książkę z ręki i rzucił na stół.

— Połóż, kiedy nie rozumiesz! — wyrzekł ostro.

— Bo to durne, Tatuńciu!

— Ty jesteś głupia...

— El Tatuńciu!

Odwróciła się na sofie. Zmrok zapadał powoli. Na stole stały resztki nie posprzątanego obiadu. Przeciągnęła się i ziewnęła.

— Tatuńciu! — wyszeptała prawie cicho.

— Czego?

— Czy jabym nie mogła trochę jutro wyjść?

Zmarszczył się.

— Gdzie?

— No... do siebie. Taże tam zimno. Tam nie palą, ta jakże tak? Meble potrzaskają, a nie moje. Kwiaty mi już pewnie het pomarzli. Ta choć do kwiatów puść, Tatuńciu! Taże to nie godzi się mrozić kwiaty...

Roześmiał się ironicznie.

— Właśnie do kwiatów chcesz iść. Wierzę temu.

— Tatuńciu, bodajem tak oślepla, jak kłamię.

— A do kochanka ci się nie spieszy?

— Ta kto? Tatuńcio jeden, a reszta to niech ich...

Porwał ją za ramiona.

— A kto ciebie kochał? powiedz mi? Kochał cię kto kiedy?

— Ta nikt. Takie kochania na kolacji...

— Ja się nie o te pytam. Ja się pytam, czy ciebie nie kochał kiedy jaki uczciwy człowiek... przypomnij sobie.

— A na co ci?

— Jabym wolał, żeby ciebie choć jeden człowiek kochał serdecznie, no... przypomnij sobie.

— Ta kochał mnie. Ale to jeszcze nie tak, jak ty..

— A kto to taki?

— Józio. Ty go widział nawet.

— Ja?

Zaczęła się uśmiechać po dawnemu.

— A no wtedy, jak my byli w Orfeum, pamiętasz, ten taki szykowny facet, co się tobie tak nie podobał.

— To bydlę wypomadowane?

— A Tatuńciu... ta to reisender, on z próbkami przyjeżdża z zagranicy, czy jeszcze dalej. On strasznie dużo zarabia. Jak on mnie kochał, mnie się dobrze działo. Ja miałam wszystko, i halki jedwabne, i pończochy jedwabne. Jeszcze teraz donaszam. Na gumach my jeździli, róże mi codzień przynosił i na kolacje codzień..

Rozweseliła się. Twarzyczka jej pojaśniała. Krajewski pochylił się nad nią.

— Ja się ciebie pytam, czy bardzo cię kochał?
— Tażę słyszysz, Tatuńciu, co mi to fundował...
— To niczego nie dowodzi. Można kobiety nie kochać i płacić jej Bóg wie co...

Zastanowiła się.

— No tak, Tatuńciu. Ty potrafisz mnie inaczej przekonać, że mnie kochasz, bo i powiesz dobre słowo i całe twoje ze mną bycie inne, ale taki Józio, ta co on? Tylko płaci, kupi... no nie? Tażę on ma całkiem inną duszę od ciebie Tatuńciu, i inaczej tę duszę przedstawia.

Umilkł, rozmyślając nad jej słowami. Uczuł na chwilę radość, że tak analizuje i potrafi rozebrać psyche ludzi, którzy mówią jej o miłości. Lecz równocześnie z tej czarnej masy, z tej bezimiennej kohorty, która tam, w zaułkach włączyła ją do tanich restauracji i kawiarni, wyróżnił się nagle ten wstrętny, buldogowaty „reisender“. I cała siła, cały pęd zazdrości, jaka w nim szalała, zwróciła się ku temu „Józiowi“, mającemu być właśnie taranem od nawałnicy jego namiętnego uniesienia.

— Taki Józio... taki Józio...

Nie mówił jej tego, bo już to było mu za ciężkie. Wstyd go ogarniał. Buntowało się w nim wszystko jego delikatniejsze. Tylko teraz zaczął czepiać się drobnostek i w każdym jej słowie, jej geście, jej ruchu widzieć, to szponami wydobywać jej naturę ulicznicy i wyuzdanie ukryte.

Przerażona, oslepła i drżąca, poddawała się tej torturze. Czuła, że tu drży w powietrzu to skoncentrowanie się nienawistnego szalu jednego mężczyzny do drugiego i gięła się kornie. Ale chwilami błyski jej ocz wybiegały poza szyby okien, na których mróz cudowne różgi srebrzyste kładł i brylantami sypał. A w oczach jej błękitnych był strwożony wzrok ptaka, spragnionego choć mgnienia swobody i jednego uderzenia swobodnego skrzydeł.

XXXV.

Któregoś dnia przecież, gdy Krajewski wrócił, zastał Franję weselszą, ruchliwszą, uśmiechniętą.

Powitała go radośniej, zarzuciła mu ręce na szyję. Stół był nakryty. Jakieś kwiatki mokły w szklance. Słoik konfitur, ciastka. Zapytał, skąd wzięły się te drobiazgi.

— Romanowa kupiła.

— Skąd wzięłaś pieniądze?

— Miałam, Tatuńciu.

Nie pytał jej nigdy, czy miała cokolwiek. W tej chwili stanęło mu w myśli, że kupiła te konfitury, ciastka, kwiaty z pieniędzy, które zapracowywała prostytutką. Porwał słoik i bukiet, otworzył okno i, nic nie mówiąc, cisnął na ulicę. Widział, że zbladła i oparła się o ścianę. Nie zrobiła mu żadnej wymówki.

Widocznie zrozumiała.

Wogóle zaczynała teraz pojmować trochę. Bardzo mało, ale jakiś błysk przedzierał się jej przez umysł. Zauważył, iż całą siłą woli pragnęła, aby nie wspominał jej o dawnych jej kłamstwach, ale to tylko podniecało go do zadawania jej najszczegółowszych pytań. Obecnie wieczory całe obracał na te powolne tortury, jakie i sobie i jej zadawał. Systematycznie przypominał sobie cały przebieg ich pożycia i wypytywał ją o wszystko.

I tak dowiedział się, że tego pamiętnego wieczoru, gdy z pod okien suteryny Prysadnej wytropił ją powracającą nocą do miasta, został przez nią dostrzeżony. Wiedziała, że szedł za nią ulicami, i całym jej usiłowaniem było „zgubić” go gdzieś po drodze, a samej umknąć do mieszkania na Lyczakowską, gdzie miała przebrać się, aby pójść na kolację z panami nafciarzami z Drohobycza. Chciała jednak zostawić jeszcze złudzenie Krajewskiemu i, widząc, że niemożliwe będzie uciec przed jego pogonią, pobiegła

na ulicę Ōssolińskich, tak jakby szła do swej fikcyjnej pracowni, gdzie miała noc spędzić.

Krajewski słuchał jej słów z zapartym oddechem. Przeżywał tę całą pogoń brudnymi, ciemnymi ulicami za białą skrzydeł, wiejących na jej kapeluszu.

— Weszłaś przecież do bramy i zostałaś. Czekałem dwie godziny. Nie wyszłaś...

— Tak, Tatuńciu. Ale ty nie wiedział, że tam była druga brama. Ja tamtędy wyszłam.

W mowie jej dosłyszał wzmiankę o „nafciarzach”. Natychmiast podchwycił te słowa.

— Znałaś się z nafciarzami?

Coś jakby duma rozjaśniła jej twarz.

— Tak, Tatuńciu. To bardzo grzeczni panowie. Ja jeździłam czasem do Drohobycza. Wtedy do ciebie nie przychodziłam...

Pchnął ją gwałtownie, aż upadła.

— Ta .. za co?

— Milecz!

— Sam się pytasz...

— Milecz!..

Czuł, że może ją zabić. Porwał palto, kapelusz, wybiegł. Dusiło go.

Jednego ranka w biurze posłyszał, jak Konitz mówił do jednego z kolegów.

— Kobiecie nigdy wierzyć nie należy zupełnie... chyba w haremie..., i to jeszcze...

Zastanowił się. Kto wie, co tam Frania robi przez cały ranek, kto wie.

Zerwał się od biurka. Biegł przez ulicę, dziwiąc się, że mu to do tej chwili na myśl nie przyszło.

Wszak oszukiwała go i okłamywała przedtem, dlaczego nie może okłamywać teraz?

Gdy wpadł do kamienicy, natknął się na Romanową.

— Panna Frania wróciła do domu? — zapytał ją gwałtownie.

Baba chwileczkę jakby się zastanowiła, ale nagle odpowiedziała:

— Już z pół godziny.

Krajewski wpadł do pokoju. Na sofie siedziała Frania, jeszcze zaróżowiona od przechadzki po mrozie, i zdejmowała z nóg buciki.

Widząc Krajewskiego, przeraziła się.

— A co chcesz, Tatuńciu?

— Chcę wiedzieć, gdzie chodziłaś.

Zaczęła natychmiast się zaklinać.

— A żebym tak jutra doczekała, żebym tak rodzonego ojca na marach nie spotkała, żeby mi oczy nie wypłynęły, żeby...

Porwał ją ręką pod gardło.

— Milcz... nie kłam. Wiem, żeś chodziła.

— Żeby mnie... tak... — bełkotała, siniejąc prawie.

— Romanowa powiedziała.

Chwyciła powietrze. Uczuł, że może ją udusić, puścił ją. Uderzyła w płacz.

— A żeby tę babę pokręcił! szelma! ona na ciebie ostatnie psy wiesza. Ona ciebie kradnie, Tatuńciu, ona wtedy, jakieś mi przysłał tę herbatę i cukier i wino, a ja jej to dała, to ona pluć i mówiła, że to złe i drańcie...

Zrobiło mu się bardzo przykro.

— Ty jej to dałaś? — zapytał.

— A jakże. Ja miałam dosyć wszystkiego w domu. Ale żebym wiedziała, jaka to szelma, to byłabym na ulicę wyrzuciła, a jej tego nie dała.

Nie powiedział już do niej ani słowa, tylko cofnął się do drzwi. Smutek jego wzrastał. Coraz głębsze rysy wpijały się w jego serce tkliwe i pełne sentymentu, i przejął się rozpaczliwym gniewem.

Wyszedł.

Lecz przedtem zamknął drzwi na klucz.

I klucz wziął do kieszeni.

.

— Będiesz mnie tak zawsze zamykał, Tatuńciu?

— Tak.

Nie odpowiedziała nic.

Ściągnęła brwi. Podeszła do okna. Spojrzał na jej profil. Wydała mu się w tej chwili brzydką, tak jej rysy obwisły nagłem zniechęceniem.

— To wszystko przez tę babę! — odezwała się po długiej chwili.

— To wszystko przez ciebie. Gdybyś nie wychodziła wtedy, gdy ci zakazałem, nie zamykałbym cię teraz na klucz.

I stanął nagle przed nią, a chwyciwszy ją za barki, odwrócił ku sobie.

— Gdzie byłaś?

— Chodziłam trochę koło domu, żeby kości rozprostować...

— Kłamiesz.

— Żebym tak do jutra dożyła.

Wiedział, że gdy zacznie się przeklinać, nie wyciągnie z niej prawdy. Zostawił ją. Posłyszał pode drzwiami jakieś szmery. Podeszedł i otworzył drzwi. Romanowa z furją taszczyła ze swej suteryny wytworny kufer angielski, obity moletonem, z szerokimi pasami skórzanymi. Cisnęła kufrem popod drzwi Krajewskiego.

— Co to znaczy?

— A to panowej panny kufer. Niech go sobie pan do siebie weźmie. Ja go tu trzymać nie będę.

— Skąd go macie?

— Jeszcze wczora go od siebie tu staszczyła i dała do mnie w przechowanie.

— Wczoraj?

— A no. Przecież codzień, jak pan poszedł do biura, tak leciała na miasto. Mnie czasem zabierała do siebie na Łyczaków i wreszcie się tu spakowała w kufer i sprowadziła. Ale jak mi dziś nawymyślała...

— Jakto dziś? przecieżem ją zamknął?

— Aha! taka sobie głowę łamie, jak chce uczciwą kobietę obrazić. Ja łód na ulicy obrębywałam, a ta okno ozwarła i bez okno mnie nawyzywała... Ja nie bez wzgląd na pana, bo pan jest zawsze pan z panów i mój pan. A że panu tera się bez nią trochę popsuło w głowie, to Pan Jezus da, że się odwróci. Ja będę tylko końca patrzyła i...

Widoczne było, iż stróżka lękała się utracić posługi i starała się dyplomatyzować. Nędza pobijała dumę i „honor“. Krajewskiemu było to na rękę. Nie chciał nikogo wtajemniczać w tę szpetotę, w jakiej brodzić zaczynał.

— No... no... jakoś tam będzie! — uspokajał Romanowę, nie patrząc jej w oczy.

Otworzył drzwi i wepchnął do pokoju kufer, poczem odział się i, zamknawszy drzwi na klucz, wyszedł na ulicę. Czuł, że nie jest w stanie dłużej wytrzymać w tej ciasnej przestrzeni razem z tą dziewczyną, która była względem niego uosobieniem ciągłego kłamstwa i oszustwa. Patrzył na to okno, poza którem odczuwał jej obecność. Zamknął drzwi, czy i okno miał opatrzyć kratą? Jakież istnienie gotował jej i sobie?

Chodził wzdłuż domu, nie mogąc się oddalić od tych murów. Starał się napróżno powrócić do jakiejs równowagi i taktu. Całym wysiłkiem woli pragnął wmówić w siebie, że w tym nawale faktów odnajduje s m a k, to jest piękno rzeczy drobnych. Lecz to nie były rzeczy drobne, które się nań waliły. To było najstraszniejsze, iż urastały one do ogromu i przytłaczały wokół niego ten spo-

kojny mur cichych zadowoleń i odczuć estetycznych, jakie były dawniej pożywieniem jego ducha. Niezdolny był w tej chwili do żadnej pracy twórczej, ani zgłębiającej twórczość innych. Czuł, że niedługo niezdolny będzie do sądzenia swych własnych czynów i jego własna istota umnie mu niejako z ręki i naigrawać się zeń pocznie.

— I co? i co? — powtarzał błędnie — i co?

Stuknięcie w szybę ocknęło go. Frania go obserwowała i przyzywała.

— I co?...

Powrócił. Gdzie miał iść? Ciepły kąt, oświetlony, z żywym stworzeniem własnem w okręgu domowej lampy, posiłek, zastawiony czysto (więc jako u zwierzęcia rasowego spożywany chętniej), to wszystko ciągnęło go na jakichś niewidzialnych linewkach do gniazda, w którym czekała samica.

A potem jeszcze rodziło się w nim zamięrowanie w bólu, powstałym z erotycznych przyczyn. Jest to zupełnie specjalne uczucie, właściwe człowiekowi wyrafinowanemu, a nie wypaczonemu uczuciowo. Poddaje się bólom i wyszukuje przyczyny, które go zwiększają. Gdy się uspokajać zechce, lechce go jakby wspomnieniami cierpień ubiegłych i otacza się murem cierni, na które powoli nabija swe serce, już obumierające.

Być może, iż czuje, że z chwilą tego obumarcia kończy się wszystko i gaśnie jasność życiowa. Instynktem samozachowawczym chwytą się swego bólu. Mimo rodzaju uczucia, chce tylko czuć za jakąkolwiek cenę. Broni się od letargu i kropli potu, które później od wysiłku ocknięcia nadaremne krwawemi stygmatami mu na trupie czoło wystąpią.

I jest to wielka nasza tragedia to, że w życiu czepiamy się rozpacznie, aby tylko drzeć życiem.

Abym żyć.

Krajewski w dalszym ciągu zamykał Franię na klucz. Zdawało mu się, że w ten sposób znalazł pewne rozwiązanie kwestji. Tem bardziej, iż niedaleko jego domu urządzono posterunek dorożek. Oknem więc Frania wydostać się nie mogła. Wstydziłaby się. A potem — jakby wróciła? Choć — czyby wróciła? Sądził, że tak. Wyczuwał w niej uległość udręczanego powoli i z pasją zwierzęcia. Znajdował ją powolną i apatyczną. Tylko teraz było pomiędzy nimi dwójgiem coś trzeciego. A to — kufer! Ten marny kufer, mieszczący całe jej mienie. Krajewski widział w tej czarnej masie, przyklepionej do ściany, jakieś wrogie zwierzę, pełne w trzewiach swych wspomnień gnojennej i strasznej przeszłości. Delikatny zapach szagrynu i rzemieni, rozgrzanych od bliskości pieca, unosił się w tym kącie. Krajewski, leżąc, miał kufer ten przed oczami i pał jego widokiem swe serce, zawsze żądne nieprzyjaznych wrażeń.

Nie znał jego zawartości, ale się domyślał i taksował cenę pieszczot, za którą były nabyte te czarne jedwabne koszule, te koronkami obszyte spódnice, cicho szeleszczące właściwym szelestem. Wiedział, ile uśmiechów i rzutów ramion Porankowych kosztowały podwiązki różowe, lśniące olbrzymią motylą kokardą z boku uda, ile targu wstrętnego, rozdzierającego ostatek wstydlivości kobiecej, przedstawiały zwłaszcza te długie, ażurowe, pajęczce, jedwabne pończochy, z których tak bardzo dumne są takie Franie Wątorek. Była to nędzna historia życia dziewczyny, pchniętej siłą fatalizmu, historia jej Józiowych, komiwojażerskich, obywatelczukowskich rozpust po norach ulicy Słonecznej, pod egidą Kornblumów. Tylko taki kufer. Dwa, trzy metry kwadratowe, wypełnione trochę tkanin.

Nic więcej.

I za to! za to!

Starał się wczuć i wrozumieć w psychologię kobiety. Naga jest, myślał, straciła upierzenie samicze. Więc instynktem, zwierzęciu właściwem, ściąga, co może, aby się podobać...

Może to... trzeba zrozumieć, trzeba to odczuć.

Lecz, choć czuje, że grunt, do którego sięgnął, jest racjonalny, odwraca się od tej formułki. Ściąga. Gdyby kra dła. Rozgrzeszyłby ją. To lepsze. Ale tak, tak...

Wiedział, że gdy go niema, ona żyje cała i dyszy atmosferą tego kufra. Często znajdował jakieś strzębki na ziemi. To znów zobaczył na niej liljową bieliznę, której nie znał. Często spotkał jej wzrok, miłośnie utkwiony w zamki i rzemienie, żółkniejące na czarnem tle szagrynu w kącie pokoju. Wstydził się wybuchnąć wtedy całą myślą, powiedzieć jej to, co się z nim dzieje. Ona osądziłaby, iż jest zazdrosny o... kufer. Według niej, byłoby to już coś, graniczącego z okłakaniem. Nie zrozumiałaby, że on cierpi na myśl symbolu, jaki ten kufer przedstawia, tej syntezy jej życia... jej upadku, jej grozy.

Raz przecież, wróciwszy do domu trochę wcześniej, zastał ją klęczącą przed kufrem i składającą na ziemi delikatną bieliznę, ponawlekaną kolorowymi wstążeczkami. Arkusiki bibuły, którymi były poprzekładane te drobiazgi, leżały także dokoła.

Frania zaróżowiona, z matinką, opadającą z szyi i karku, miała wzrok błyszczący i wyraz twarzy podniecony. Jakieś pudełka, bombonierki, fotografie w pluszowych ramkach były pomieszane z bielizną. Białe, pachnące, a nawet kosztowne boa rzucone były na krawędź otomany.

Zobaczywszy wchodzącego Krajewskiego, Frania ob-

łała się ponsem i zaczęła instynktownie szybko wrzucić wszystko do kufra.

On jednak kopnął parokrotnie batyst i koronki.

— Precz z tem! — rzekł krótko.

Szarpnął boa. Posypały się pióra. We Frani zbudziła się strojność samicy. Wyciągnęła rękę.

— Ta, Tatańciu! ta to strusie!...

Splunął.

— To z błota, z gnoju....

— Ta co ty! To wiedeńskie.

Zatrzymał się przed nią, blady, jak ściana.

— Czy ty nie czujesz, że to twoja hańba?

Wzruszyła ramionami.

— Ja nie ukradła! — rzuciła hardo.

— Wolałbym

Otworzyła szeroko oczy.

— Ta co? żebym ukradła? żebym była złodziejem?

— Wolałbym, niż żebyś zarobiła łajdactwem.

Skurczyła się. Przysiadła na piętach.

— Musiałam mieć. Za złodziejstwo byliby mnie wsadzili do kozy, za łajdactwo nie.

Cisnął jej boa w twarz i odszedł do okna. Czuł, że ma rację, że klasyfikacja prawna postępów takich kobiet upoważnia ją najzupełniej do jej czynów.

.
Zdawało mu się, że dziewczyna, której rzemiosłem jest prostytuowanie swego ciała, nie może mieć żadnych subtelności w dziedzinie wstydu. Wobec Frani jednak uczył, że rozumowanie jest błędne. Frania miała zakamarki swego duchowego ja, które żarliwie broniła przed wtargnięciem ciekawości ludzkiej. Było z nią moralną, jak fizyczną. Chodziła, wspinała swą rośliną królewską nagością, a nie chciała wobec Krajewskiego rozczesać swych włosów i spleść je w zwykły jej codzienny węzeł. Tak

to postępowała i w mowie. Często wyrywała się z jakimś słowami, które odkrywały w niej beczelną zgniliznę moralną. Za chwilę cofała się przed zapytaniem jakimś Krajewskiego, które zdawało się być niczem w porównaniu z tem, co wygłosiła poprzednio. Imponowała mu często wiarą ślepą, bezgraniczną w fatum. I tak, gdy pewnego dnia napadł na nią brutalnie, wołając:

— Dlaczego taką byłeś, dlaczego?

Czyste swe błękitne oczy wbiła w jego źrenice:

— Nie wiem, Tatuńciu!

— Nie mogłaś się wstrzymać?

— Ta, gdybym mogła, to byłabym się przecie wstrzymała.

Przybijała go tą prostotą. Przybijała i zarazem podniecała coraz więcej w rozpacz i gniewie.

Mówiła naprzykład o jakimś dygnitarzu, którego nawisko Krajewski przeczytał wieczorem w dzienniku.

— To dobry pan.

— ?..

— Tak. On dobrze płacił. Bardzo zacny i szlachcie.

Powstrzymał się, aby jej nie uderzyć. Ona dostrzegła zmianę w jego twarzy.

— Ta co, Tatuńciu. Przecie to godnie nie skrzywdzić biednej dziewczyny. Ja muszę być sprawiedliwa i przyznać, co i jak..

Patrzył na nią ponuro. Siedziała nisko, na małym stołeczku i cerowała skarpetki. Światło lampy oblewało złoto jej karku młodego i pachnącego świeżością. Wyobraził ją sobie nagle w gabinecie restauracyjnym w towarzystwie „zaczego“ pana. Odwrócił się gwałtownie. Ona powstała i usunęła się pod ścianę, gdzie pozostała milcząca i nieruchoma. Dziwne było, iż, czując widocznie swój upadek (boć tak pracowicie kryła się z nim przed Krajewskim), nie odczuwała znów, iż słowami swemi bo-

dzie do żywego jego serce. W tej chwili była szczerze zmartwiona, sądząc, iż Krajewski błędnie interpretuje jej stosunek do „zaczynego” pana.

— I... Tatuńciu... — odezwała się nareszcie — on był stary i brzydki. Ja jego ani na chwilę nie kochała. Nie masz czego się martwić.

Roześmiał się z goryczą.

— Milcz! — krzyknął.

Zniechęcona, odparła:

— Ta bo ty ciągle, ciągle mi tylko kłamstwo ciskasz. Ja już doprawdy w twoich oczach to gorzej psa.

— Gorzej!... Ty nie masz wstydu i przez to gorszaś, niż zwierzę.

Poczerwieniała lekko.

— To nie! — odparła. — Ja wstyd mam przed tobą.

— Ty? ty się czego wstydzisz?

— Ja!

— Ty?

— Ja, żebyś wiedział. Ja mam takie nieszczęścia, że jabym ich nigdy przed tobą nie wypowiedziała. Nigdy! Rozumiesz. Mnieby wstyd zadławił... rozumiesz?...

Coś tragicznego było w jej głosie, gdy to mówiła. Coś tak z głębi, z samej najtajniejszej głębi, że Krajewski, choć nie porzucił maski szyderczej pogardy, jaka mu do twarzy prawie teraz przyrosła, zamilkł i pozostał także nieruchomy na swem posłaniu, wsłuchany w echo jej słów.

Czasem, kilkakrotnie Frania mówiła o jakichś „ich”, którzy jej musieli wyświadczyć straszną krzywdę. Mówiła: „oni”, nie określała bliżej. Drżącą pięścią groziła w przestrzeń. Sypała wtedy przekleństwa. Jakąś kohortę straszną i groźną miała na myśli. To czuć było w jej żenicach,

w wyrazie jej twarzy. Krajewski patrzył na nią wtedy prawie z trwogą. Unosił ją szal.

— Żeby mnie byli pierwaj stracili... — krzyczała — żeby mnie byli stracili.

Nie odzywał się. Myślał, przeklina swych dawnych kochanków, mężczyzn, którzy w pościgu za chwilową rozkoszą napawali ją swem wyuzdaniem.

I zdawało mu się, że jest mu lżej, gdy słyszał jej głos ostry, szalony, klnący w przestrzeń swych krzywdzicieli.

.

Raz pod oknami ich mieszkania w ślizgawicę padł koń. Nędzny koń, ledwo żywy już. Pretekstem było poślizgnięcie. Właściwie to już była śmierć. Trup konia leżał na śniegu. Widocznie był jeszcze ciepły. Dokoła tajała zamarzła ziemia. Otoczyły go wieńcem dzieci i wyły i wrzeszczały. Jedno dziecko batem biło trupa. Frania stała w oknie cała drżąca. Gdy nadjechali oprawcy, założyli w martwiejący pysk sznury i pociągnęli zwierzę, oparła głowę o szybę. Dwie wielkie łzy spłynęły po jej policzkach.

— Ach! jakie to dranie! jakie to wszystko dranie!... — odezwała się nagle, odchodząc od okna.

— Kto? — zapytał Krajewski.

— Ci, co nawet trupa nie zostawią w spokoju.

— Dzieci?

— Jakie dzieci? te hycle magistrackie, co go taszczyli na postronkach.

— Muszą! Zgnilizny zostawić nie można.

Zaszyla się w kąt ponura i chmurna.

— Kto im, bestjom, dał prawo?

Zadziwił się. Anarchizm, czy co?

— Jakto, kto dał prawo? Trzeba czuwać nad porządkiem publicznym.

— Djabli im do tego. Niech każdy, jak chce, nad

sobą czuwa. Każdy jest pan sobie samego, nawet ta zdechła szkap. Co? Jak padła, tak niech zgnije.

— Innych zarazi.

— Jak ona gnije, niech inni gniją.

— O! co to, to nie. Nad tem właśnie czuwa władza.

— Bodaj się zapadło! bodaj ich za to czuwanie...

Wykręcała sobie nerwowo ręce.

Wzruszył ramionami.

— Zostaw. Co ci do tego? Ty nie rozumiesz, że pewne porządki muszą być zaprowadzone i utrzymane.

— Aha!... nie rozumiem!

Wielka gorycz, jakiś śmiech jakby rozpaczy zagrał w jej krtani.

— Aha!... nie rozumiem!

Odwrócił się i wziął znów w rękę książkę.

— Zresztą, co ci do tego.

Lecz ona cichutko podeszła i usiadła na brzeжку otomany.

— Tatuńciu! — wyrzekła jakby z wahaniem — czy to na całym świecie jest... policja?

— Ach! daj mi spokój — odparł zdenerwowany — co ciebie policja obchodzi? Pewnie, że jest. Gdzie tylko jest porządek społeczny, tam muszą być i jego stróże. Więc jest i policja.

Chwilę milczała. Wreszcie powstała.

— To juchy! — rzuciła z trudnym do określenia wyrazem w głosie — to juchy!

I siadła znów do cerowania skarpetek.

.

Co najwięcej drażniło Krajewskiego w obecnej sytuacji, to to, że Frania zdawała się powoli uspokajać i zastosowywać do wykreślonego jej przez niego życia. Początkowo szarpała się, jak ptak w klatce, i widoczne było, że rwie się do wolności, domagając się, aby pozwolił jej

przejsć się choćby „koło chałupy“, jak się wyrażała. Obecnie przycichła, skurczyła się i jakby skuliła się w zamknięciu czterech ścian. Patrząc na nią, rozumiał obecnie, iż w każdej kobiecie drzemie „haremówka“. Pragnąłby jednak, ażeby w niej znalazły oddźwięki te burze, które nim szarpały i męczyły go. Wobec jej gładko ułożonej maski twarzy, spokojnej, równej dykcji, ruchów sennych czuł się nie na swoim miejscu, wybuchając krzykiem lub szarpiąc się gniewem. Z całą jakąś rezygnacją przyjmowała to uwięzienie, w które ją wtrącił, i zdawała się nie pragnąć żadnej zmiany. Co więcej, okazywała nawet lęk przed tym światem, który był poza ścianami pokoju, poza szybami okien. Instalowała się, obijała, kitowała, frote-rowała, tworząc pracowicie „dom“, gniazdo, zamknięte najzupełniej od wpływów zewnętrznych. Nie wybiegała nawet do sklepiku, co najwyżej tylko przemykając się przez sien, i to silnie zawinięta, z twarzą ukrytą w fałdach chustki. Robiła wrażenie, jakby chciała zniknąć dla świata zewnętrznego.

— Jak tam dziś na dworze? — to było jedyne pytanie, jakie zadawała. Jedyiny łącznik, którym interesowała się jeszcze. Równocześnie wzrosła w niej chęć wytworzenia w tej ściśnionej domowej atmosferze pewnego spokoju i nawet wesela. Starła się głupimi, biednymi dowcipami rozweselać ponurość ich sam na sam. Co więcej, nucila teraz nieśmiało swoje legendy o chałupie rozigranej, o babie i farosiu.

Krajewski czuł w drzeniu jej głosu i spojrzeniu, jakie rzucała w jego stronę, iż jest to wysiłek z jej strony, jakby skradanie się po możliwość unormowania jakiejś możliwszej wspólnej atmosfery, lecz nie mógł znaleźć w sobie dość siły, aby uszanować te wysiłki tak, jak na to zasługiwały.

Słyszając śpiew Frani, porwał się i uczepił tego pretekstu, aby wybuchnąć dawno tłumionym gniewem.

— Milcz! czego się cieszysz? Nie śpiewać tobie... ty...
Mówił, a zdawało mu się, że ktoś inny po za nim się odzywa, ktoś zły, szablonowy, niepo czytalny.

Ona stanęła na środku pokoju i żałośnie odparła.

— Czemu, Tatuńciu! ty dawniej lubiłeś, jakem to śpiewała.

— Dawniej... nie teraz.

— Ta ja nie mam chryпки. Nawet mam czyściejszy głos, Tatuńciu.

— Ale sama jesteś brudniejsza dla mnie. Rozumiesz?...

— Tatuńciu!...

— Nie mów tak do mnie. Idź precz!... nienawidzę cię!
Cofnęła się na swój kufer. Padła na niego i objęła go rękami. Nie płakała. Leżała tak nieruchoma, milcząca.
On podszedł do niej i potrącił jej rękę.

— Jaki ci drogi ten twój kufer! ol jaki drogi!

— Taże, Tatuńciu, kufer bardzo porządnym. Naprawdę, drogi...

— Ja mówię o tem, co jest w nim, we środku.

Westchnęła.

— Ta już tam niema nic, co warte. Same szmaty.
Popatrzył na nią z nienawiścią.

— Jak ty!

Nie odpowiedziała mu nic. Ale bardzo pobladła.
Odczuł, że tę obelgę, przyjętą w świecie, z którego pochodziła, zrozumiała najlepiej. I równocześnie przemknęło mu przez myśl, że musiała ją nieraz słyszeć od owych Józiołów i innych jego poprzedników. Przeszył go dreszcz.

— Idź stąd! idź precz!...

Lecz ona z natężeniem zwróciła się w stronę drzwi.

— Cicho! cicho!...

— Mówię ci, idź precz!...

Porwał ją i ściągnął z kufra. Uczepiła mu się rąk.

Pchnął ją ku drzwiom.

— Idź ode mnie!

Porwał za klamkę.

Wpiła mu się paznociami w rękę.

— Nie otwieraj drzwi!

— Puszczaj!

Szarpnął drzwiami. Zobaczył w głębi sieni jakąś sylwetkę mężczyzny. Grzbiet w palcie zielonawego koloru. Sylwetka znikła szybko. Mimowoli Krajewski cofnął się do swego pokoju. Frania szybko zamknęła drzwi.

— Tam był kto? — zapytała zdławionym głosem.

Pomyślał, że to pewnie jaki z jej dawnych kochanków dowiedział się, gdzie ona się znajduje, i teraz węszy pode drzwiami.

— Był.. był...

Tak jak poprzednio, chciał ją wygnać na zimno, na śnieg, aby tylko uwolnić się od jej obecności, teraz, czując, że tam jakiś drugi skrada się po jego własność, nie byłby za nic w świecie pozwolił Frani odejść na próg tego pokoju.

— Chcesz iść? pilno ci? do niego? może to twój Józio? — wołał, zamykając drzwi na klucz i chowając klucz do kieszeni.

— Trzeba jeszcze okna zasłonić... — bełkotała Frania. Zapuć, Tatuńciu, rolety... Ja nie chcę podchodzić do okna.

— Milcz! nie graj komedji. Nie udawaj, że nie chcesz. Dałaś znać temu jakiemuś, że jesteś tutaj, zwlokłaś go za sobą, a teraz udajesz, że go widzieć nie chcesz.

Ale ona pobladła, stroniła wciąż od okien.

— Co ty wiesz, Tatuńciu! co ty wiesz! — powtarzała pobladłemi ustami.

.

Od tej chwili jedyną troską Frani zdawało się być to, aby nikt nie ujrzał jej i nie dowiedział się o jej istnieniu.

Zapytała raz Krajewskiego, czy nie możliwe byłoby,

ażeby powiedział przed Romanową, iż niema jej w kamienicy, że wyjechała zupełnie z miasta.

— Widzisz, Tatuściu! — tłumaczyła — to byłoby nawet lepiej. Jakby się kto o mnie pytał, to ona powie, że naprawdę mnie niema. A tak, choćbyś jej nie wiem co dawał i płacił, to ona zawsze mnie wyda i powie, że ja to u ciebie.

— Dlaczego ci tak teraz chodzi, ażeby nikt się o tobie nie dowiedział? — zapytał.

Chwileczkę się zająknęła.

— Żeby tobie nie było znów przykro... — odezwała się jęklawie.

Nie mógł się powstrzymać, ażeby jej nie rzucić w oczy swej niewiary.

— Znów kłamiesz?

Złożyła ręce.

— Prawdę mówię!

— Kłamiesz! Troszczysz się teraz, żeby cię kto przez firankę nie dojrzał, a nie wahałaś się żyć z drugimi... co?

— Ja teraz mówię prawdę.

Podszedł do niej zły i groźny.

— Jeśli mówisz prawdę, powiedz, kto jest ten, tam za drzwiami.

Milczała.

— Może nie wiesz?

Chciał, ażeby powiedziała, że nie wie, że by kłamała.

Lecz ona milczała.

— Więc... wiesz?

Zamknęła oczy, pobladła, przez zaciśnięte jej usta wybiegała tylko cichutko skarga, jakby skomlenie psa.

W nim rozgrywało się całe piekło.

— A ja ci powiem, ty podła, dlaczego nie chcesz się pokazać w oknie. Nie mnie boisz się sprawić przykrość,

ale temu tam, temu jakiemuś, który cię szukał i wreszcie znalazł...

Milczenie.

— A ja ci więcej powiem, tyś mu sama dała znać, gdzie jesteś... ty...

Plątał się w nielogicznościach. Czuł to, rozumiał. Porwał ją za ramiona. Wstrząsnął jak łachmanem. Była bez siły, bez oporu.

— Przemów co! — krzyknął.

Otworzyła swe wielkie oczy. Wyraz szalonego zmęczenia, udreki, rozpacz y zarysował się w nich dokładnie.

— Co ty wiesz, Tatuńciu! co ty wiesz!... — przemówiła z nieopisanym smutkiem.

.

XXXVII.

Od tej sceny pamiętnej, która jakby wryła się w umysł Krajewskiego, widoczne było, iż Frania głównie i całą siłą dąży do tego, aby pozostać w ukryciu zupełnem i przy nim na stałe. Starala się unikać wszelkich wspomnień, instynktem kierując się, nie odzywała się, jak dawniej, zносиła jego gniew i zarzuty, wiecznie łagodna, rozbijająca i miła.

Nie zaglądała do kufra, a nawet raz przyniosła mu dwa kluczyki, związane wstążeczką.

— Co to? — zapytał.

— Kluczyki od kufra.

— Na co?

— Ja tobie, Tatuńciu, je daję. Schowaj! Już wtedy będziesz napewno wiedział, że do kufra nie zaglądam.

Parsknął ironicznym śmiechem.

— Dużo mi to pomógł! — rzucił ze wzgardą. Ale kluczyki schował.

Prędko odczuł we Frani tę uległość psa, który boi się wygnania z budy, gdzie znalazł schronienie. Czuł w niej rozpaczłą, szaloną trwogę przed możliwością znalezienia się poza progiem ich domu. Przejęło go to jakby radością. Widział w tem dowód jej bezgranicznego do niego przywiązania. Lecz równocześnie zbudziły się w nim dwie żądze. Po pierwsze, jak najczęstsze napawanie się właśnie tą pewnością jej miłości, powtórę, rozkosz sprawiania jej trwogi bolesnej, jakby zemsty za cierpienie, przez które przechodził.

I zaczęło się wtedy całe piekło w tych czterech ścianach ich legowiska.

Co chwila Krajewski rzucał Frani:

— Idź stąd!...

Ona bladła, źrenice się jej rozszerzały.

— Tatuńciu!...

— Idź stąd!

Padła mu do nóg. Obejmowała jego stopy.

— Pozwól mi zostać!...

Te ręce, splecione u jego nóg gestem Magdaleny, jakże go zachwycaly. Poił się cały szczęściem pozornem tej chwili.

— Tatuńciu! ja iść nie mogę! Ta ty nie wiesz nawet, co jest. Także ja jużbym nie mogła...

— Ty?... ty?...

— Tak .. ale nie to, co myślisz.

— Więc co?

Tłukła głową o podłogę, lecz odmawiała dalszych wyjaśnień.

Zdrowie jej jednak cierpiało bardzo. To było widoczne. Żyła w zamknięciu, w zupełnym braku ruchu. Pobladła, schudła, znędzniała. Zaczęła kaszleć, i to coraz

silniej. Krajewski skonstatował parę razy u niej gorączkę. Nie chciała się przyznać do swego chorobliwego stanu, siląc się na dobry humor, na sztuczną bolesną wesołość. Jemu ścisnęło się serce. Nienawidził siebie, winiąc się, przezywając egoizmem brudnym całą tę aferę miłosną, w jaką się wplątał. Teraz zaczynał czuć wyrzut sumienia, gdy przekręcał klucz w zamku drzwi, poza któremi cicho ukryta pozostawała Frania. Lękał się powrotu do domu, jej gestu zwłóczącej się z wysiłkiem z pościeli na jego widok, a zwłaszcza wyrazu jej twarzy, oczu przygasłych i bolesnych i ust, całą mocą rozwartych tragicznym uśmiechem. Ażeby mu robić przyjemność, przeglądała Guliwera, ale czuć było, że udaje, iż książka ją zajmuje. Robiła wrażenie lampy, nagle gasnącej. Subtelnością swoją chłoniął w siebie ten nastrój i cierpiał wspólnie z nią. Podwoił zostawiane jej mleko, znosił pożywne i dobre jedzenie. Wiedział, że siliła się, aby jeść, i dziękowała mu. Lecz czuł, że sprawia jej tem przykrość, i nie nalegał, aby się dalej forsownie odżywiła. Nerwowość jej wystąpiła teraz bardzo silnie wraz z anemią. Często w nocy zrywała się strwożona, jakby chcąc uciekać przed pościgiem widzialnych dla niej tylko sił.

— Są... są.. znaleźli.. — szeptała, a zęby jej szczękały, kąciki ust opadały starczo i przerażająco. Nie starał się uspokajać jej.

Ten jej krzyk odtrącał go od niej. Wyobrażał sobie, że w tej chwili widzi kohortę swych dawnych kochanków, i przejmował go straszny wstręt. Odwracał się od niej. Padała wyczerpana, złana potem, szepcząc:

— Puśćcie... puśćcie.. nie macie już prawa, nie macie...

Na drugi dzień zwłóczyła się z posłania, aby mu przygotować śniadanie, Oczy jej zapadały głęboko w sine podkowy. Raz nieśmiało zapytała:

— Mnie się zdaje, że ja przez sen gadam?

Rzucił jej krótko:

— Tak.

— A!...

Niespokojnie patrzyła na niego.

Roześmiał się ironicznie.

— Nie bój się, nie powiesz mi nic nowego.

Potrząsnęła głową.

— Co ty wiesz, Tatuńciu!...

— Przynajmniej coś takiego, do czegoś ty się wstydziła przyznać...

Z tym samym wyrazem twarzy powtórzyła:

— Co ty, wiesz Tatuńciu!

Zauważył, iż od tego dnia starała się nie spać i wytężała wszelkie siły, aby spędzać noce bezsenne. Piła bardzo mocną herbatę, kawę. Ten system podziałła na nią zabójczo. Słaniała się po prostu na nogach.

Postanowił zawieźć ją do lekarza.

Powiedział jej o tem, jakkolwiek go dużo kosztowała decyzja wypuszczenia jej z domu i pokazania drugiemu mężczyźnie.

Wahał się długo, gdzie ją zawieźć. Lękał się, że natrafi na kogoś, kto Franię znał, jako dziewczynę łatwą i przystępną, a nawet kto był jej przejściowym kochankiem. I powstała w nim prawie bezrozumna myśl, że Frania może podczas badania porozumieć się z takim człowiekiem, uciec do niego, albo w jakiś sposób zorganizować schadzkę.

A przytem sam fakt badania, brutalny i niezaprzeczony, wzbudzał w nim odruch samca, przywykłego do wyjątkowego posiadania już tej żywej własności w formie kobiecego ciała. Lecz trudno... Frania nikła. Rezygnacja jej słodka potęgowała przejmujące wrażenie melancholji, jaki jej zanik sprawiał. Należało działać bez zwłoki.

Inaczej sumienie zbyt gryzło.

Frania oparła się stanowczo wyjazdowi z domu.

— Tatuńciu! zlituj się!... błagam, proszę!...

Padła znów na kolana. Był nieubłagany. To wszystko zaczęło mu się wydawać już przesadą.

— Oszalałaś?

— Ja nie chcę! nie mogę! nie trzeba, ażeby ktokolwiek wiedział, gdzie ja się podziałam. Nie trzeba... nie trzeba...

Aż wyła z rozpacz.

— Ubieraj się.

— Nie pójdę.

— Pójdziesz! Ja tak chcę.

— Tatuńciu! będziesz żałował.

— Czego? zwarjowałaś?

Namysłił się jednak.

— Ja sam nie mam ochoty pokazywać się z tobą. Wezmę dorożkę. Każę podnieść budę. Nikt nas nie zobaczy. Ubieraj się.

Uczuła, że nie zwalczy jego uporu, zwlokła się z ziemi powoli. Zamyśliła się chwilę. Wreszcie odezwała się nieśmiało:

— Tatuńciu! daj mi kluczyki.

— Jakie?

— Od kufra.

— Po co?

— Muszę wziąć u c z c i w ą bieliznę.

— Jaką?

— No... jakąś batystową. Taże ja idę do doktora.

Splunął.

— Uczciwa bielizna!... no! no! pójdziesz, jak jesteś.

— Oj, Tatuńciu, taże to madepolan.

— Mniejsza. Mówię ci, pójdziesz, jak jesteś. Nie chcę, żeby doktor zgadł, kim jesteś.

— A tak to pomyśli, że ja sługa.

— Ochl żeby choć to...

Wyszedł i za chwilę powrócił dorożką. Cała ulica była śniegiem zasłana. Zadymka wirowała w powietrzu. Niebieskawo-szarawy zmrok zapadał lekko nad miastem. W odstępach paliły się latarnie, przeświecając delikatnie przez gazę padającego śniegu. Ulice były puste. Okiść ciężka ociągała gałęzie drzew na dół.

Gdy Krajewski wyprowadził z sieni Franię i umieścił ją w dorożce, zauważył, iż, wychodząc, obejrzała się trwożnie dokoła i dopiero, zobaczywszy zupełną pustkę na ulicy, wskoczyła do powozu. Zajechali przed dom lekarza, o którym Krajewski wiedział, iż ma długotrwały stosunek z jedną z dam z towarzystwa i kocha ją namiętnie. W poczekalni zastali kilka osób rozmaitego gatunku i kalibru. Usiedli na dwóch fotelach klasycznych, mających pomiędzy sobą stół, na którym lamentowały prospekty miejsc kąpielowych, z pozawijanemi oślemi uszami w bardzo kunsztowny sposób. Z gabinetu lekarza dochodził jego nosowy trochę (wzorem wiedeńskich szykowców) głos. Frania, z silnemi wypiekami na twarzy, siedziała na brzeżku krzesła, odziana w swój stary żakiet i kapelusz z białemi skrzydłami. Krajewski powoli rozejrzał się w ciemnym trochę pokoju. Ktoś z samego kąta pod piecem, jakaś dama czyniła do niego przyjazne znaki. Zażenował się i zawahał, czy przywitać się, będąc w towarzystwie Frani. Poznał jednak Gwozdecką. Ucieszył się prawie. Była mu miłą i przyjazną, miłszą, niż te inne panie, które bawił w salonach pustą rozmową. Powstał i podszedł ku niej. Wydała mu się bardzo ładną i uduchowioną. Przedewszystkiem aż biło od niej tą rasą, której nie ani zetrzeć, ani ośmieszyć nie zdoła. On, sam rasowiec *pur sang*, w jednej chwili zapragnął gorąco zbliżenia się do tej affiny, której w przebywaniu z Franią był pozhawiony.

Powstał więc i zbliżył się do Gwozdeckiej. Zbliża wydała mu się jeszcze bardziej subtelna i malarska. Ciało jej, ciało efeba rysowało się przesłicznie pod długą aksamitną szatą o prostym empirycznym kroju. Ciemna barwa aksamitu, wysoki kołnierz, długie, bardzo wąskie rękawy, opadające aż na pół palców delikatnych i modlitewnych, czyniły ją podobną do...

Zapatrzył się w nią chętnie.

— Tak dawnol — wyrzekł, uśmiechając się tak, jak już zapominał się uśmiechać obecnie.

— Dawnol — powtórzyła Gwozdecka.

— Co się z panią dzieje?

— Oddaję się benedyktyńskiej pracy. Kopiuje enluminury. Oczy bołą. Ale cuda! Ozdabiam w ten sposób książkę modlitewną dla jednej z moich krewnych. Będzie to rzeczywiście coś, co nie przeszkadza w modlitwie, ale dopomaga.

— A tekst?

— Krasieński i Bobrowa.

— Al...

— Tak. Ta jedna jedyna.

Umilkła. Usta jej drobne, dziecięce ułożyły się w linię, która nagle przypominała Krajewskiemu przecudny rysunek ust Joanny Bobrowej.

Dostrzegł, że Gwozdecka oczyma biegła ku Frani i patrzyła na nią spokojnie i badawczo.

Wolałby w tej chwili, aby raczej zajęła się nim, a nie jego kochanką.

— To ona? — zapytała cicho.

Miał ochotę zaprzeczyć, ale już Gwozdecka sama odpowiedziała sobie.

— Tak... ona! I to jakieś biedactwo.

Spojrzał na Franię. Skurczona, wystraszona, znędziała, siedziała, gniotąc ręce w bawełnianych rękawiczkach.

Odżyła w nim próżność mężczyzny. Żałował prawie, że nie pozwolił jej ubrać się lepiej, strojniej.

— Chora jest... — tłumaczył — nie miała sił, ażeby się, ubrać, uczesać.

Gwozdecka pokręciła głową.

— Nie, ona jest nie tyle chora, ile bardzo nieszczęśliwa.

Próbował się roześmiać.

— Co znowu?

— I... to musi być nawskroś dobre stworzenie.

— Tak. Troszkę głupie.

— I coś ciekawego... coś bardzo ciekawego. W niej jest pierwszorzędnym materiałem na dewotkę.

.....
Zastanowił się.

— Co pani mówi? To jest raczej ateuszka.

— Właśnie dlatego w niej na dnie jest dewotka.

— Tak pani sądzi?

— Jestem pewna.

Młczeli chwilę. Frania, czując się obserwowaną, mieniła się. Bładła, czerwieniała.

— Niech mi ją pan przyprowadzi.

Lecz on odparł krótko, sam nie wiedząc dlaczego:

— Nie.

— Chciał pan przedtem.

— To było przedtem. Nie teraz.

Uczepił się tej myśli.

— Tak, teraz nie.

— Jak pan chce.

Lekarz otworzył drzwi. Nadeszła kolej Gwozdeckiej, ale ona wskazała ręką na Krajewskiego.

— Ustępuję moją kolej państwu.

Był jej wdzięczny za to, że odczuła mękę Frani w tej poczekalni, pełnej ludzi.

Skinął na Franię. Weszli do gabinetu. Ona, płacząc się niezgrabnie, z silnie zaczerwienionemi uszami. Krajewski śledził bacznie doktora, gdy ten patrzył na Franię. Lecz uspokoił się. Lekarz Frani nie znał. To było widoczne. Krajewski przedstawił Franię, jako swoją kuzynkę. Widoczne było, iż lekarz wiedział, czego się trzymać, i nie uwierzył mu ani na chwilę, ale nie dał mu poznać swej niewiary. Badanie odbyło się szybko. Frania nie była interesującym okazem. Anemja silna. Poleciał odżywiać się i powietrza, dużo powietrza. Gdy wyszli, minęli się we drzwiach z Gwozdecką. Ta, wchodząc, obrzuciła sympatycznym i jakimś pełnem litości spojrzeniem Franię. Ta, zażenowana, ukłoniła się nisko. Krajewskiego to zirykowało. Gdy wsiedli znów do dorożki, zapytał:

— Dlaczego się kłaniałaś tej pani, skoro jej nie znasz?

— Myślałam, że to grzecznie.

— To nie grzecznie, ale głupio.

Westchnęła.

— Nie wzdychaj! Myślałby kto, że cię katuję. Jeśli jesteś taka nieszczęśliwa ze mną, to...

Chciał wskazać jej zwykłym ruchem drzwi, ale tych w dorożce nie było. Uczuł śmieszność sytuacji. To go rozbroiło. I to słowo Gwozdeckiej:

— Biedactwo!

Tak. Na świecie, na szerokiej przestrzeni ta Frania, która mu się wydawała w zamknięciu czterech ścian jego klatki jakąś potworną, groźną siłą destrukcyjną kobietą, małała, nikła, ginęła. I było to rzeczywiście „biedactwo“, anemiczne, wycieńczone, skurczone w kącie dorożki, jakby chciała zajmować jak najmniej miejsca na świecie.

— Kiedyś tam coś było w płucach — powiedział doktor.

Kiedyś tam!

.

Ścierniska z wodą na wpół zamarzłą pomiędzy brózdami. Wiatr hula, wiatr jesieni zdradzieckiej, przedwczesnej, chorób pełnej. Wiatr rwie i szarpie badyle i krzaki, gnąc je ku ziemi. Ni to już listeczka, ni to zieleni. I niebo obwisło płachtą żebracką, szarą, bolesną, jakby od skarg i łez nabrzmiałą.

Jakieś beznadziejne, jakieś straszne. I tam, pośrodku brózd, mała postać w szarej szmacie, z nogami szczyrniałemi, wbitemi w lód. Pół naga, szarpana wichurą. Badył trzyma w rękach, pasie jakieś szkielety, ona sama szkielet z wydętym brzuchem i oczyma zaropiałemi. Kaszle, kaszle... Wicher roznosi ten kaszel bezwzględny, suchy, strwożony...

.....
„Coś tam dawniej w płucach było“.

.....
Krajewski wyciągnął rękę i przygarnął ku sobie Franię.

— Poranku! — wyrzekł cicho.

Niepewna, drżąca, przysunęła się do niego.

— Tatuńciu!...

— Biedactwo!...

Nie odpowiedziała nic. Pochyliła mu głowę na ramię i zdawała się odpoczywać tak po jakimś strasznym, okropnym zmęczeniu.

XXXVIII.

Przyjechali do domu w zupełnem milczeniu. Zdawało się, że oboje czują sztuczność tej chwili spokoju, wykradzonej poprostu z godzin bólów i udręki wzajemnej, Nierzem jej płoszyć nie chcieli, ani budzić się do życia. Gdy dorożka stawała przed domem, Krajewski westchnął ciężko.

— Wysiadaj! — powiedział do Frani, która była od strony trotuaru.

Wysiadła szybko, lecz nagle jakby się cofnęła i chciała wsiąść napowrót do dorożki.

— Co to? — zapytał Krajewski.

— Nic... nic., ale ja... — belkotała prawie nieprzytomna.

Odsunął ją szybko i wysiadł także. Wówczas dostrzegł, iż przed bramą stoi mężczyzna, odziany w zielonawe palto, o dziwnych, przenikliwych oczach. Twarz lisia, charakterystyczna wpijała się jakby w pamięć i budziła niepokój. Krajewski poznał w barwie palta tego samego człowieka, którego dostrzegł w sieni, uciekającego z pod drzwi jego mieszkania. Teraz stanęli sobie twarz w twarz i Krajewskiemu zadrgało dziwnie serce.

Obok niego Frania, prawie bezprzytomna, oddychała ciężko.

Zdawało się przez chwilę, że przyjdzie do jakiejś katastrofy. Była to sekunda może wspólnego wahania, lecz nieznajomy usunął się lekko z przed bramy i odszedł szybko w górę ulicy. Krajewski śledził go wzburzony i drżący. Teraz nie wątpił, że coś wiązało Franię z tym człowiekiem. Wygląd jego dwuznaczny i podejrzany napełniał Krajewskiego wstrętem.

— Może faktor! — pomyślał, wciągając Franię do mieszkania.

Gdy weszli do pokoju i Krajewski zapalił światło, przeraził się zmianą, jaką dostrzegł w twarzy Frani. Była trupio biała, z odcieniem zielonym. Nie wymówiła ani słowa, tylko podeszła do otomany, na którą upadła. Ta jej depresja fizyczna i moralna była taka wielka, że Krajewski poprostu uląkł się i nie śmiał robić jej żadnych wyrzutów.

— Co ci? Jesteś słaba?...

— Tak! — odpowiedziała.

— Co ci jest?

— Zimno mi!

Okrył ją swem paltem i położył jej pod głowę poduszkę.

Pocałowała go w rękę i zaraz zamknęła oczy.

— Może zaśniesz...

— Może...

Nastawił maszynkę na herbatę. Krzątał się cicho. Czuł, że ona nie śpi, że tam przeżywa jakąś Golgotę, którą przed nim kryje całą siłą.

Zapragnął, aby przed nim wyjawiała główną istotę swej męki. Po raz pierwszy może zatroszczył się o to, że i ona cierpi. Do tej chwili widział tylko swoją rozpacz.

— Poranku! — wyrzekł cicho.

Otworzyła z wysiłkiem oczy.

— Ja... zaraz.. Tatuńciu... wstanę... zrobię ci herbaty.

— Nie trzeba. Leż... To ja ci podam herbaty.

Powiedz mi... co ci jest.

— Tak... mroczy mi się w głowie.

— Masz jakie zmartwienie? Boisz się czego? powiedz mi... czego?

Pokręciła głową.

— Nie mogę ci powiedzieć Tatuńciu!

— Dlaczego?

— Bo jużbyś mnie tak zniecierpiał, że nie mógłbyś się na mnie spojrzeć.

— To tak jest coś strasznego?

Twarz jej oblała się tragiczną, ciężką maską.

— To jest najstraszniejsze Tatuńciu, co kobietę może spotkać... to już największy wstyd... to...

Głowa jej opadła w tył. Widać było, że cierpi.

— I ja to dopiero teraz, u ciebie się przekonała, jakie to było okropne.

Wstał, zaczął chodzić po pokoju. Sądził, że czyni aluzję do poprzedniego swego życia. Po raz pierwszy tak otwarcie mówiła z nim. Zwykle zdawała się odczuwać tylko to, że on pogardzał sprzedającymi się dziewczętami, lecz nie czuła swego upadku, tu zaś jawnie wyrażała swe myśli. Chciał ją pocieszyć, lecz równocześnie zdławiło go przekonanie, iż przyszłość nie zdoła zmazać ani w jej, ani w jego myśli przeszłości.

Milczał, chodząc po pokoju i gryząc niezapalonego papierosa.

— A przecież .. — zaczęła znów Frania — ja już nie nie chciałam, tylko żebym tak mogła zostać tu u ciebie, Tatuńciu. I bosabym chodziła i obdarta, byle już nie iść do tych szelmów i nie padać im na ręce. Ja się nawet modliłam, Tatuńciu, o to... ale djabli po modlitwie... Znów się wszystko zacznie, znów...

Staął przed nią jak wryty.

— Co się zacznie?

— Moja nędba, moja hańba... moje wszystko.

Zwinęła się jak robak nadeptany.

Pochylił się nad nią.

— Nie się nie zacznie! — wyrzekł — bo zostaniesz u mnie.

— Ty sam mnie wygnasz.

— Chyba, że zrobisz jakie lajdactwo.

— Och, Tatuńciul... ja nigdy! Ale coś będzie takiego, coś przyszło, że ty sam powiesz, ażebym poszła precz, i będziesz miał recht, bo ja tak samobym zrobiła...

— Ale co? co...

Lecz ona zamilkła i nie chciała już odpowiedzieć na żadne jego pytanie. Przyszły na nią dreszcze widocznie nerwowe, bo łzy płynęły jej ciągle z oczów. Starał się ją uspokoić, lecz milczała ciągle, zapadając w jakąś nędzę tak straszną, że jemu nikł w sercu żal, który miał do

niej, a występowała w nim litość bezbrzeżna nad jej bólem tajemnym, który do dna zdawał się pożerać jej istotę

*

Powoli powstał świt. Ciężko zbudził się ze snu ołowianego Krajewski. Ta szarość fałszywa i niepewna, przekradająca się przez szczeliny stor, ocknęła go jakby boleśnie. I, co więcej, doznał nader wyraźnego uczucia, iż dzień ten będzie ważny i silny jakimś wydarzeniem, które rozedrze na poły jego istnienie. Porwał się jednak, gotów do walki z tem nieznanem a z góry mu przeznaczonym, nie chciał, aby go zaszło skrycie i znienacka. Przedewszystkiem zwrócił się ku Frani.

Z twarzą, obrzękłą od łez, leżała, czuwając, walcząc jakby o każdy oddech.

Oczy ich spotkały się. Pochwycił ją w swe ramiona

— Nie truj się, nie martw, Poranku. A przede wszystkim nie bój się. Ja cię obronię.

Wstrząsnęła smutnie głową.

— Są rzeczy, przed którymi nawet ty, Tatuńciu, nie poradzić nie możesz.

— Tak... ale w tem, co się ciebie dotyczy, takich rzeczy niema.

— Są, Tatuńciu, są. To rzeczy takie podłe, takie... ochl...

— Ja wiem. Ale naprawić można.

— Nie dadzą, Tatuńciu! nie dadzą.

— Kto? Skoro ty zechcesz...

— To na nic moje chcenie. Żeby im moje ręce odrąbała i oddała, to oni swoje zrobią...

Zapukano do drzwi.

Ukryła głowę w poduszki.

— Co to? co to?

Krajewski powstał. Romanowa przeze drzwi uchylone podała mu mleko.

— To nie... to mleko.

Powrócił do Frani. Zamyślił się chwilę. Ujął jej głowę i odwrócił ją twarzą ku sobie.

— Słuchaj mnie, Poranku! — wyrzekł, siłąc się na zupełną równowagę i spokój — ja się postaram o to, aby ten człowiek, którego wczoraj spotkałaś na ulicy i który się tu przywłóczy, nie pokazał się tu więcej!...

Westchnęła ciężko i nie odpowiedziała.

— Ja sobie z nim poradzę.

— Ty? nie mów ty do niego, Tatuńciu, o to cię prosiłem... bardzo... bardzo...

Złożyła ręce. Widział, że cała drżała z szalonego zdenerwowania.

— Ja do niego mówić nie będę — odparł — ale ja mam na to policję.

Cisnęła się nagle w tył całym ciałem. Oczy jej szeroko się rozwarły.

— Nie ruszaj ty ich, Tatuńciu... nie ruszaj ty ich!

Roześmiał się.

— Ej, Poranku! Już za dużo tego wszystkiego. Trzeba się trochę otrząsnąć i zebrać w kupę. Co to jest wszystko? To chorobliwe. To są przywidzenia. U mnie jesteś, i nikt ci nie złego zrobić nie może. Twoje życie przeszłe skończyło się.

— Nie skończyło się!... — wyszeptała, i dwie duże łzy zawisły na jej długich rzęsach.

Sądził, że robi aluzje do jego częstych brutalnych słów, gdy, włączając mu się u nóg, zapewniała go, że z dawnego jej życia nie pozostało w niej nic, że on jest tylko jeden i dominuje nad nią bezpodzielnie.

— Skończyło się! — powtórzył — ja ci wierzę, Poranku. Wierzę ci teraz zupełnie. Już ci nigdy nie powiem, że kłamiesz. Nigdy, słyszysz!..

— Słyszę.

— I nie cieszysz się?

Lzy jej spływały wolno, aż na puch włosów, w którym tonęła jej głowa. Jak srebrna rosa, zatrzymując się, ciągnąc ku sobie wzrok Krajewskiego.

— Będziemy się kochać znów, jak dawniej — mów obejmując ją i kołysząc, jak dziecko. — Zmienimy mieszkanie. Weźmiemy dwa pokoje, kuchnię. Urządzą ci wszystko. Będziesz gotować w domu. Zobaczysz, jak to wszystko będzie ślicznie...

Czekał wybuchu radości z jej strony. Lecz zamknęła oczy i poddawała się jego pieścizdom z marzącością.

— Cóż? czy słyszysz mnie, Poranku? — powtórzył.

— Słyszę, Tatuńciu.

— I nie cieszysz się?

— Cieszę... Ale ty tak nie mów, Tatuńciu... mów, że to wszystko być może tak ślicznie i dobrze... moje serce pęknie.

Przypomniawszy sobie, że owego pamiętnego wieczoru przedtem nim spotkał ją w hotelu pod Hjeną, na ofiarę jego małżeńską ona odpowiedziała mu więcej w tych słowach. I cały aż skręcił się skurczem moralnym, myśl, że taka rzecz powtórzyć się może. Teraz zwłaszcza gdy posiadał ją zupełnie, na wyłączną swą własność, wzrastała się w nim ta cała gamma uczuć niepojętych a minujących w przywiązaniu mężczyzny do kobiety, w którejś chwili przełomowej, w której poza zasłoną tajemnicy drży możliwość utraty tego, co niesie ze sobą pełnię dowolenia.

— Cóż to? — krzyknął, starając się powściągnąć. — Kornblum? znów coś...

Chciał cisnąć jej w twarz całym jadem zatrutego obelgu, ale powstrzymał się.

— Uciekać chcesz?

— Ja?

Cały świat był w tem powiedzeniu. W powstającym dniu, w jego różowawej teraz jasności poprzez topniejące firanki srebrzystych palm mrozu, zabłysła ku niemu czarem rozmiłowania w swych błękitnych oczach.

I coś więcej było, niż proste przywiązanie, w tem spojrzeniu, jakieś wyzbywane to lepsze z dna, z głębokości tajemniczej ludzkiej istoty, bo Krajewskim przeniknął prąd ciepły i jakby sercu miły.

Cicho odział się i wysunął z pokoju. Frania patrzyła teraz za nim tępo. Poprzedni jej promienny wzrok zagasł.

Krajewski przy drzwiach się zatrzymał. Chciał jej dać jakiś dowód zaufania. Chciał zetrzeć nagle poprzednie swe postępowanie. Wydobyć z niej ten pierwiastek ludzki i dać jej do zrozumienia, że go ocenić potrafi. Przyszło mu na myśl nie zamykać Frani. Ale, mimo wszystko, szarpnęło się w nim tamto poprzednie. Prawo własności. Więc szukał ustępstwa. Wzrok jego padł na kufer.

— Może chcesz kluczy od kufra? — zapytał.

— Całuję rączki! — odparła cichutko.

Położył klucze na brzegu kufra.

— Do widzenia... ja wrócę dziś wcześniej.

— Całuję rączki!

Wyszedł i dawnym gestem zamknął drzwi na klucz.

.

Krajewski szedł z biura wyjątkowo późno.

Stała się rzecz przykra bowiem i niespodziewana. Oto jeden z jego kolegów padł, rażony atakiem apoplektycznym, wtedy gdy już prawie wszyscy urzędnicy, z wyjątkiem kilku, biuro opuścili. Krajewski, już odziany do wyjścia, śpiesząc się, ciągle pod wrażeniem Frani, natknął się na leżące nieruchome ciało u progu głównej sali. Przerażony, nerwowo lękający się fizycznych katastrof, pochylił się ku zsiniałej masce, w której rozpoznał twarz jednego

z miłszych i o większej kulturze urzędników biurowych. Gdy na zapytania leżący nie odpowiadał, Krajewski porwał się i zaczął biegać po gmachu, opustoszałym szybko, nawet ze służby. W łożu portjera odnalazł jeszcze woźnego i razem z nim złożyli apoplektyka na wytartej i brudnej sofie, sterczącej w przedpokoju. Krajewski telefonicznie wezwał Pogotowie i, gdy to przybyło, sumienie nie pozwoliło mu zdawać na opiekę obcych konającego, który mu jakby padł u stóp, prosząc o zmiłowanie. Krajewski wiedział, że chory nie miał nikogo, że był samotny, bez rodziny. Jakaś solidarność opuszczonych i osamotnionych ocknęła się w sercu kochanka Frani.

— I ze mną tak być może!... — myślał, jadąc dorożką w ślad za karetką, unoszącą z jakąś kokieterijną junakierką zsiniałego, owiniętego kocami półtrupa.

Gdy wyładowano chorego i przetransportowano do pokoju, ten chłód, pustka, która zawiała z „kawalerskiego” mieszkania, przybiły Krajewskiego ostatecznie. Jakkolwiek widać było, że ten człowiek dążył do tego, co jest „lepsze” co jest sztuką, więc usiłowaniem poprawienia natury, mimo to ani śladu ciepła nie było w tych ścianach.

Na łóżku mahoniowym, nawet dość artystycznym o kolumnach kręconych i baldachimie, złożono smutne milczące ciało o nieruchomym spojrzeniu. Zaczęto kręcić się i poszukiwać za kimś „bliskim”. Jakiś portret pastelowy, delikatnie zdjęty z dawnej fotografii. I więcej nie. Szuflady biurka zamknięte szczelnie.

Przywołany stróż oznajmił, że przychodziły tu różne dziewczęta. Zawsze jednak „coś lepszego”. Nigdy razem. Jak się z jedną skończyło, zaczynało się z drugą. Teraz nie było żadnej.

Znalazł się wreszcie adres jakiegoś dalekiego siostrińca.

Z kartką Krajewskiego stróż pobiegł.

Wrócił w godzinę, oznajmiając, że owego pana nie zastał w domu, ale list zostawił.

Krajewski zapalił światło, bo już się ściemniło i, ubrany w paltocie, co chwila gotując się do odejścia, spoglądał niecierpliwie na drzwi, przy których na krzeselku siedział jakiś zawołany z sąsiedztwa masażysta. Krajewski czuł, że na nic się obecnie choremu przydać nie może, ale obowiązek nakazywał mu „zdać” tę martwą bryłę, przyjętą darem losu, komuś, co coś tam z nią zarządzi nadal...

Wreszcie dały się słyszeć kroki. Wszedł młody człowiek, zdziwiony i niezadowolony. Widoczne było, że ta cała awantura była nie na rękę jego eleganckiej istocie. Prawie milcząc, wysłuchiwał relacji Krajewskiego i, podziękowawszy mu zimno, łypnął czarnymi oczkami w stronę łóżka.

— Bardzo, bardzo jestem panu wdzięczny! — powtarzał przez nos — bardzo, bardzo.

Krajewski skłonił się i wyszedł natychmiast.

Odetchnął głęboko, wydostawszy się na ulicę.

Te kilka godzin w sąsiedztwie śmierci zdławiło w nim bezlitośnie energję życiową. Stał wobec nieuniknionego, i rozwyło się w nim od trwogi i żalu. Teraz chciał przytulić się do czegoś żywego, młodego, świeżością swą i siłą podtrzymującego w nim jakby zamarłe nerwy.

— Poranek!... mój Poranek!... — wyszeptał prawie zamarłemi ustami.

Wziął dorożkę i kazał jechać jak można najprędzej. Z daleka dojrzał smugę od oświetlonych okien swego pokoju.

— Znów nie zapuściła rolet smarkata — uśmiechnął się prawie dobrotliwie — zawsze zapomina, że to parterowe mieszkanie!

Czuł w sobie masę jakiejś chęci, prawie dziecinnego uczucia, raczej dawno nieznanej mu już czułości. Chęć

tulenia się i mówienia pieszczotliwych wyrazów cicho, jakby poszum młodej, świeżej trzciny. I to pragnienie świeżości nawiodło mu na myśl wakacyjną radość i oddech młodej duszy, zmęczonej ciężko, a nadlatującej do gniazda, skąd dech wiał odświeżający na dalekie staje.

Dorożka zatrzymała się przed domem. Krajewski wysiadł. Zapłacił i gotował się do wejścia. Zdziwiło go, że jedno z okien jest otwarte i nawet nie założone na haczyk. Wiatr kołysał niem, unosząc firankę. Przed kamienicą oparta stała Romanowa.

Krajewski wbiegł do sieni i otworzył szybko drzwi mieszkania. Przeciąg, jaki wywołał, zgasił palącą się na stole lampę. Ogarnął go od progu chłód i pustka. Przez otwarte okno biło zgnilizną ulicy.

Krajewski cofnął się pod ścianę.

— Franiu! — zawołał z trudem, wiedząc dobrze, że woła w pustkę. — Franiu!

Milczenie.

Drżącymi rękami zaświecił zapalkę.

Lękał się spotkać jej trupa. Lecz trupa nie było i nie było żyjącej.

Pokój był pusty.

.
Frania uciekła.

.
Po chwili obejrzał się dokoła.

Widoczne było, iż coś z kufra wyjmowała. Trochę rozrzuconych przedmiotów leżało na ziemi. Jakaś jedwabna koszula błękitna, nawleczona białą wstążką, zwieszała się na tle szarego pokrowca.

Tchnęło to wszystko pośpiesznem szarpnięciem się na swobodę, jednak jakieś myśli musiały nurtować to postanowienie, jakieś przygotowania do dalszych obmyślonych kroków.

Krajewski stał milcząc, z rękami opuszczonemi wzdłuż ciała. Twarz mu pobladła i wydłużyła się. Usta znikły, ściągnięte kurczowo. Przeżywał w tej chwili jedną z cięższych godzin swego życia. A że nie był na nią przygotowany, nie umiał jej przeżyć.

Machinalnie zwrócił się ku drzwiom, za którymi wyczuwał kogoś, jakąś istotę żyjącą. Zapragnął mieć ją przed sobą, kimkolwiek będzie. Podeszedł do drzwi, otworzył je. Stała tam Romanowa.

Powiedział cicho:

— Wejdźcie!

Stróżka weszła. Zasłoniła pół twarzy chustką i długą chwilę milczała. W cieniu tak oboje stali, wyczuwając się wzajemnie.

Wreszcie stróżka przemówiła:

— Moja też uciekła.

— Al ..

— Tak. Dwa tygodnie temu. Ale ja ją sama wygnała. Już nie chcę jej nigdy psiakrwi widzieć, nawet na śmiertelnej pościeli.

Zapadło milczenie.

Krajewski z cichego zapadu, jaki nań naleciał, zaczął rozróżniać brzękot myśli.

Uciekła.

Tak. A więc z kimś, do kogo. Ten mężczyzna, snujący się pod oknami i po sieni, ten jakiś dwuznaczny ohydny człowiek, od którego wiało rozpustną tajemniczością, czy nie on był bezpośrednim sprawcą ucieczki Frani. Romanowa musiała coś wiedzieć.

Zwrócił się ku niej.

— Romanowo! — zaczął — tu kręcił się jakiś człowiek. Widzieliście go!

Westchnęła ciężko.

— Widziałam! — wyrzekła po chwili.

— Czy mówił z wami? kto to?

Milczała.

— Mówcie wszystko. Ja wiem. To pewnie jakiś faktor od kogoś z dawnych znajomych Frani. Powiedźcie mi lepiej wszystko. Trzeba, żebym wiedział...

— Nie, proszę wielmożnego pana. To nie był faktor.

— To może kto z jej rodziny?

— Nie, proszę wielmożnego pana. Ja już go dawniej znam. To zaczęło się przez moją Mańkę! To pierwszy raz on się tu o moją, a nie o panową przywłókł!

I nagle zerwała się w piersi Romanowej wichura. Zawyla tam, jakby skowyt całej bandy na śmierć skazanych psów. Bić poczęła suche piersi pięściami. Z twarzy jej spadła chustka.

— Za Mańką się przywłókł — charczała. — A jakże, za nią. I po co? Aby szła do policji, bo tam już ją wpisał! Wielmożny panie, jak zwierzę na targu, dali numer, i mby że to jest t o l e r o w a n a... To oni tak nazywają!... A że się u mnie schowała, to ją znaleźli i taszczą. A jak nie przyjdzie, to jej dadzą jakie areszty lub grzywny. Jakem się dowiedziała o tej ostatniej hańbie, to złapałam ją za włosy, do krwi twarz sprąłam i wykopałam z domu... A ona bestja, pan wie, co krzyczała?

— Nie.

— Krzyczała. Czego matka chce? Sama policja mi pozwala i daje na to blank, to matka powinna mnie nie tykać. Czego matka chce? J a r z ą d o w a l

.
Zapadła wielka cisza.

Krajewskiego ogarnął jakiś straszny, przeogromny wstyd.

Ogarnął go niezrozumiale, niepojęcie. Czuł, że wyłania się w tej chwili z mroków bagnistych rzecz hańbiąca, potworna, że pełza jakiś potwór, rozciągający czarne, dłu-

gie, oślizgłe ramiona, że wylawia z czarnych, ciężko przewalających się fal jakieś szczupłe, młode ciała, pachnące ieszce wiosennem sitowiem, że ciała te rzuca w przestrzeń ku całemu szeregowi takich, jak on, mężczyzn, rzuca, jak piłkę, jak bańkę, tęczowej jaśni pełną. I potem ściąga ku sobie znów ciała te, prawie dziecięce, i piętnuje je hańbą, zdzierając ostatki wstydu, odbierając to, co mogłoby jeszcze dźwignąć się, uratować...

Znaczy się więc, że i Frania, ..

Ku Romanowej się zwrócił:

— Słuchajcie! — wyrzekł — to wasza, ale Frania ..

— On teraz szukał Frani! — odezwał się głos z cienia — już odkąd u pana siedzi, to im zniknęła. Oni za nią ęsigają. Wielmożny pan mógłby też odpowiadać, że ją przechowuje...

— Ja?

— A no! tak ten agent mówił. Ja kara spotka, że się nie jawiła.

— Jakże? po co? kiedy żyła porządnie, tylko ze mną? uczciwie...

Romanowa milczała.

— Ja tam nie wiem, proszę wielmożnego pana. Jeno to wiem, że teraz dla mnie moja Mańka umarła. Ja nad nią krzyż. To już tak jak pies, co go by cel złapie, taka dziewczyna. Już z niej nic nie będzie! Wielmożny pan niech też krzyż położy i plunie...

Zastukano do drzwi.

Krajewski szybko otworł.

W oświeellonej sieni widać było sylwetkę małego hoesego chłopca.

Chłopak ten wyciągnął rękę z listem.

— Proszę wielmożnego pana.

— Od kogo?

— Nie wiem.

Krajewski wziął list. Dość duży i ciężki. Chłopiec w jednej chwili, z tupotem nóg bosych, uciekł. Krajewski na kopercie dostrzegł wielkie, niewprawne litery.

Wszedł w głąb pokoju i, siłąc się na spokój, zapalił lampę. Romanowa przysunęła się do ściany i prawie zatarła się na niej, szara, nędzna w swej chustce, którą się owinęła.

Krajewski rozdarł dużą, trochę brudną kopertę. Z wewnątrz wypadła jakaś jakby książka, jakby notes, owinięty w papier biały. Oprócz tej książeczki znajdowała się w kopercie ćwiartka papieru, zapisana wielkiem, niewprawnem pismem. Krajewski poznał odrazu jedno z pism, które Frania używała do listów, poprzednio mu przysyłałych.

Pochylił się ku lampie.

I czytać zaczął.

— Tatuńcio jedyny! ukochany! święty złoty mój serdeczny. Jak bendziesz czytać te litery to mnie Tatuńcio mój ukochany jusz na świecie nie będzie. Bo ja powiedziałam, że ja się stracę i ja się stracę. Bo ja tak muszę Tatuńcio. Ja ci' posyłam te moją hańbę co oni mi ją dali wtedy jeszcze kiedy ja dopiero zaczynała być taka bo mi cienszko było ze życiem i że ja wtedy nie była jeszcze nie warta. Ja późni to jusz za złość i przez to że oni mnie ciągal na takie wstydy że ja już była z ostatniemi to ja gorzej robiła bo co mi było już chronić co powiedz ty, Tatuńcio? Może ja byłaby inna, gdyby oni zanim mnie zapisali zapytali mnie czy ja sie niechce zmienić na lepszą i kazali wybierać. Albo iść pod książkę albo być lepsza. Ale oni nie zapytali ino wzieni 12 halerzy i dali mnie te czarne podłe książke i ja wtedy padła twarzą do ziemi, bo jósź wiedziałam co dla mnie nima na świecie mieńsca. Ja sie tego wstydziła przed tobą strasznie i nocami się zapłakiwała i czekała tylko że oni mnie odnajdą a oni mnie znaleźli

i tera by mnie potaskali do aresztu albo kazali dać dwieście koron. Ta skąd ja zapłaci Tatuńciu? ja nimam tyle pieniędzy — to ja się strace bo ja jósź wole jak potem, jak otsiedze znów muszę iść na ulicę bo żebym chciała jusz nie to jeszcze bede musila do nich chodźć tszy miesiacy, choćbym była najutrzciwsza w świecie. Ja wole umrzeć ja wole śmierć sobie zrobić i jusz zginąć bo i ciebie, Tatuńciu, mogą taskać że mnie miałeś na przechowaniu. A ty na mnie teraz plujesz i nie będziesz nawet na mój grub chciał przynść. A jeżelibyś przyszed to ja cię wyczuje Tatuńcio przes ziemie i kamienie i za nozki obejmę i s płacem przypadne i bede całować ci nozki i prosić zmiłowania i wiecznego odpocznienia. Ja jusz niemogę wiencej a ja myślę że to było jakoś źle że na mnie jak na psa napadli bo jak latają za psem i krzyczą że wściekły to on się wścieknie ta i my dziewęta tak samo bidne. Tatuńciu pożałuj — pokochaj niepluj na Franię bo ona jusz idzie do ziemi i Tatuńciowy Poranek była i wszystko“.

Na ukos jeszcze dopisane było:

„A że to święta prawda, to ci posyłam te przekłeto książkę żebyś niemyślał że ja kłamie. Popatrz Tatuńciu i pożałój swoją Franie bo to tak jakby mi kto serce darte na ćwierci. I rzuć to precz albo spal. Ino ja nimogłam rzucić ani spalić bo im musiałam za to setki płacić. Tatuńcio złoty, złoty“.

.

Z białej karty papieru wypadła mała, płaska, czarna książeczka z grzeczną karteczką na wierzchu. A na tej karteczce widniało, pewną, brutalną ręką napisane:

Franciszka Wątopek.

Krajewski mimowoli uchylił pierwszą stronę. W ciemnej ramce widniała fotografia Frani, biedna, uboga trochę, zrudziała. Była to słodka twarzączka, prawie jeszcze dzie-

cinna, o zastraszonych oczach, bez typu, które ohyda społecznego ustroju później swą niecną klasyfikacją na twarze dyplomowanych prostytutek wywołuje. Widoczne było, że Frania w chwili, gdy płaciła owe 12 halerzy taksy i oddawała swą fotografię do hańbiącej kontroli, miała w głębi duszy całego człowieka wolnego, swobodnego, mogącego pojąć nawet jeszcze, na czym szlachetne piękno miłości zależy.

Nic więcej, tylko ta drobna, czarna ćma, którą sprzedano jej za takse śmiesznie małą, ale za takse. I wzięto ją w niewolę najcięższą, mianując ją szyderczo kapłanką wolnej miłości. Zabroniono jej czynić tajemne, ciche usiłowanie w kierunku szlachetnym i nałożono na nią podatek pieniężny za takie usiłowanie. Te dwieście koron kary, lub czternaście dni więzienia to był szczyt tragicznej normy, jaką ustanowiono.

Krajewski stał ciągle koło stołu. Wicher zimny, zgnily, uliczny bił mu w twarz i przyciemniał światło lampy.

Tak! gdy był młody, żądał od takich dziewczyn wylegitymowania się podobną książeczką. Na to mu pozwalał paragraf odpowiedni. Czyniły to ze śmiechem i bez wstydu w oczach. Potem wpadano w ekstazę miłosną. Nigdy nie przeszła mu przez głowę r o b o t a tajemna i podziemna, przez jaką przeszła psychiczna część takiej rządowej istoty. Chronił siebie, i to mu wystarczało. Pożądał chwilowego dreszczu. Ten dreszcz należało mu zabezpieczyć. Troszczyło się o to państwo i wprawiało w ruch całą maszynę biurową i sanitarną. Opatentowano mu całe legiony, przepędzano je przez różgi hańby i dozwolono na „zabawę“, bacząc tylko, aby niesforne żywioły, te, które chciały choć na chwilę poczuć się paniami swej woli i ciała, wytropić, pochwycić, uwięzić, lub zedrzeć zarobionych nierządem trochę pieniędzy.

Zaiste! dziwić się tylko należało, iż pieniądze te nie rozdzielono pomiędzy tych z podniesionemi kołnierzami ludzi, poszukujących po zaułkach otaksowanej i już uzuchwalonej zwierzyny.

Dwanaście halerzy i strącenie na samo dno, na samą czeluść takiej Franki, za którą wyje mu teraz coś w głębi serca, takiej Mańki, za którą tam pod ścianą tragiczna, bolesna stoi znieważona w swem dostojeństwie matka błada, z plamami wypłakanych oczów, ciemniejących w oddali.

Dwanaście halerzy!

.
Z ciemni zachodzi ku niemu głos cichy, rozbity, jak dalekie echo:

— Z mojej już nie być nie mogło, ale z panowej to może co jecze, bo psia krwie jeszcze z niej wszystkiego wstydu nie wydarli.



WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA w KIELCACH
BIBLIOTEKA

78715



Biblioteka WSP Kielce



0173882